



TRYLOGIA NIEPOSKROMIONYCH

ŻELAZNA KSIĘŻNICZKA

MEGHAN

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

MARCH

 editored

Meghan March

Żelazna księżniczka

Trylogia Nieposkromionych #2

Przekład: Olgierd Maj



Rozdział 1

Dzisiaj

— Prochy prochom, popioły popiołom. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, aż Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel, wskrzesi cię z martwych w dzień ostateczny...

Kapłan wypowiada słowa, które zbyt wiele razy już słyszałam, tym razem nad trumną, której nie powinno tu być. Żadnego z nas nie powinno tu być, ten pogrzeb w ogóle nie powinien mieć miejsca.

Pastor nadal mamrocze słowa modlitwy, a ja pochylam głowę i przypatruję się zdeptanym źdźbłom trawy pod stopami. Nie mogę już nawet przez chwilę patrzeć na tę drewnianą skrzynię.

Powinnam się pocić pod warstwami czerni, jednak mam wrażenie, jakby w mojej piersi znajdował się kawał lodu i całe ciało zamarzało w miejscu, gdzie stoję.

Nie czuję upału.

Niczego nie czuję.

Nie jestem pewna, czy jeszcze kiedykolwiek cokolwiek poczuję.

Jestem odrętwiała... wypełnia mnie jedynie poczucie winy.

To ja do tego doprowadziłam.

To wszystko moja wina.

Rozdział 2

Kane

Piętnaście lat wcześniej

Autobus z lotniska włókł się niemiłosiernie, jednak — pragnąc zrobić mamie niespodziankę — nie mogłem poprosić, żeby ktoś mnie odebrał. Wydałem niemal ostatnie pieniądze na bilet lotniczy, a czek od Wuja Sama miał nadejść dopiero za kilka dni. Nie żeby to były jakieś duże pieniądze, biorąc pod uwagę, przez co musieliśmy przejść.

Wstąpiłem do armii, myśląc o *honorze, patriotyzmie, obowiązku*. To rzeczy, w które człowiek może uwierzyć... przy okazji zaskakując swoją matkę decyzją o odejściu z domu.

Autobus dowiózł nas wreszcie na dworzec. Poczekaliśmy, aż dwie starsze panie i jakiś mężczyzna wysiądą, nim zarzuciłem na ramię worek i ruszyłem w dół po schodkach. Do domu miałem ponad kilometr piechotą, ale to było tego warte: mama będzie naprawdę zaskoczona.

Nie spodziewałem się jedynie, że ja też.

Piętnaście minut później otworzyłem tylne drzwi do domu i wsunąłem głowę do kuchni. Stary pies mamy, Rudy, nie zaszczekał, ostrzegając o moim przybyciu.

Wślizgnąłem się do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Dopiero wtedy usłyszałem jakiś szmer dochodzący z pralni. Stąpając cicho, przeszedłem po wypolerowanej drewnianej podłodze korytarza i w tym momencie blondwłosa głowa mamy wychynęła zza drzwi.

— Niespodzianka! — ryknąłem, a ona upuściła kosz z praniem i krzyknęła, zakrywając dłonią usta, po czym spojrzała na mnie.

— Mamo! Co się, u diabła, stało? Wszystko w porządku?

Kopnąłem kosz z praniem, usuwając go sobie z drogi, kiedy ruszyłem w jej stronę. Moja mama miała rozciętą wargę, a na prawym policzku siniak, którego nie udało się zamaskować makijażem.

— Miałaś wypadek? Co się stało?

— Kane, nic nie mówiłeś, że wracasz do domu — w jej głosie nie było podekscytowania, którego się spodziewałem.

Podszedłem i ująłem jej twarz w dłonie.

— Mamo, co, do cholery, się stało?

Bładoniebieskie oczy, tak podobne do moich, spojrzały w bok.

— Nic, nic. Po prostu byłam niezdarna.

Poczułem zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, a włoski na karku zjeżyły mi się jak u wkurzonego psa. Było tylko jedno wyjaśnienie i naprawdę nie chciałem go usłyszeć.

Spojrzałem jej przez chwilę w oczy.

— Powiedz mi, że on tego nie zrobił.

Jej wzrok powędrował ku mojej piersi.

— Kane, nie wysnuwaj pochopnych wniosków. Nikomu nic dobrego z tego nie przyjdzie. Wiesz, jaka jestem. Starsza, niezgrabna pani się ze mnie zrobiła.

— Nie jesteś ani stara, ani niezdarna. Zabiję tego skurwysyna za to, że cię tknął choćby palcem. — Puściłem ją i odwróciłem się. — Jest w pracy?

Spojrzała na mnie oczami rozszerzonymi z przerażenia.

— Proszę, Kane. Nie możesz! Nawet o tym nie myśl.

— Dlaczego nie? — Byłem tak wściekły, że aż trzęsły mi się ręce. — Ma posiedzenie w sądzie? Tym lepiej, wszyscy będą widzieli, jak stłukę sędziego na kwaśne jabłko.

Zdażyłem zrobić krok, nim mnie złapała. Wypielęgnowane paznokcie wbiły mi się w skórę.

— I co się stanie, gdy wyjedziesz? Myślisz, że wkurzenie go sprawi, że moje życie stanie się lepsze?

— W takim razie nie wyjadę — wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Znowu pociągnęła mnie za ramię.

— Musisz. Musisz do czegoś dojść. A jeśli nie, trafisz do więzienia. Nie będę odwiedzała swojego syna w więzieniu, rozumiesz?

— Powiedz, że to był pierwszy raz, kiedy cię uderzył. — Wiedziałem, że — cokolwiek odpowie — i tak jej nie uwierzę, choćbym chciał. Miałem jedynie nadzieję, że to usmierzy nieco wściekłość krążącą mi w żyłach.

Zmarszczki wokół ust pogłębiły się, gdy zacisnęła wargi.

— To była moja wina — powiedziała drżącym głosem. — Upuściłam jego ulubioną whiskey i butelka się stłukła, a on właśnie wrócił do domu po bardzo trudnym procesie. Powinłam była bardziej uważać.

Słuchanie, jak moja matka usprawiedliwia działania mojego ojczyma, było, jakby ktoś dźgał mnie nożem w brzuch.

— Odejdź od niego, mamó. Teraz. Dzisiaj.

Jej wargi zadrżały, po czym zacisnęła je znowu.

— To nic takiego, Kane, przysięgam. I nie złożę pozwu o rozwód z powodu czegoś tak trywialnego.

Trywialnego?

Słuchając jej, potrząsnąłem głową.

— Jak możesz uważać, że to trywialne? On cię uderzył, do kurwy nędzy. Żaden facet, który podnosi rękę na kobietę, nie powinien nazywać się prawdziwym mężczyzną. Trzeba mu dać lekcję i jestem stuprocentowo pewny, że mogę to zrobić.

Zacisnęła mocniej palce.

— Przyjechałeś tu, żeby sprawiać kłopoty i uczynić moje życie jeszcze trudniejszym? Bo właśnie tak to wygląda. Jeśli zależy ci na mnie i na tym, żebym mogła żyć możliwie najspokojniej, to będziesz udawał, że nic nie widziałeś. Postaram się lepiej umalować, kiedy już przygotuję ci pokój.

Poczułem przyływ obrzydzenia zmieszanego z wściekłością. Nie wiedziałem, co robić. Nie byłbym wart funta kłaków jako mężczyzna, gdybym pozwolił, żeby mu to uszło bezkarnie, jednak jakim byłbym synem, postępując wbrew życzeniom matki?

Wyrwałem ramię z jej uścisku.

— Nie zwracaj sobie głowy szykowaniem mi pokoju. Nie zostanę tu i nie będę patrzył na tego wypierdka, bo wyrwałbym mu ręce ze stawów i pobił go nimi na śmierć.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

— Kane, proszę... Po prostu... zapomnij o tym. Nie możesz mu nic powiedzieć. Z powodu tego procesu przeżywa wielki stres.

— Nie martw się, nic mu nie powiem, bo nie zobaczy mnie, dopóki tutaj jestem. Ten człowiek jest dla mnie jak martwy.

— To twój ojczym.

— To pierdolony drań. I był już taki, gdy za niego wyszłaś.

— Zaopiekował się nami, kiedy tego potrzebowaliśmy.

— Możesz sobie wmawiać, co chcesz. Mógłbym cię stąd zabrać, znaleźć ci mieszkanie w pobliżu bazy, oddawać całą moją wypłatę i pilnować, żeby ci niczego nie brakowało. Musiałabyś mi tylko obiecać, że od niego odejdziesz, i moglibyśmy zaraz spakować samochód. Wyjechalibyśmy, zanim wróci do domu na obiad.

— Wiesz, że nie mogę zostawić twojej babci. Może i nie pamięta, jak mam na imię, ale tylko ja jej zostałam.

— To ją też zabierzemy.

W jej spojrzeniu zabłysła nieustępliwość i wiedziałem już, że niczego nie wskóram.

— Powinieneś iść umyć się przed kolacją.

Zacisnąłem powieki i potrząsnąłem głową.

— Zatrzymam się gdzie indziej.

— Kane, poczekaj...

Odwrociłem się i wyszedłem.

Z torbą na ramieniu przewędrowałem pięć kilometrów do kolejnego miejsca, które przyszło mi do głowy. Otworzyłem drzwi frontowe, wywołując brzęczenie dzwonek wykonanych z łusek po pociskach.

— Już idę! — zawołał znajomy schrypnięty głos z zaplecza.

Wciągnąłem w nozdrza zapach prochu i pleśni i nagle poczułem się bardziej u siebie niż w tym wysprzątanym, idealnym domu, na którego utrzymanie w perfekcyjnym porządku mama poświęca cały swój czas.

Podszedłem do szklanej gablotki mieszczącej lśniące rewolwery i matowe czarne pistolety. Musnąłem palcami szybę, patrząc na broń i marząc o tym, żeby ją mieć i móc wysledzić sędziego, i dokonać wyboru za mamę.

Ale z drugiej strony nie chciała mnie przecież odwiedzać w więzieniu.

— Czym mogę służyć, synu? — Usłyszałem przepalony od papierosów głos z drugiej strony gabloty i uniosłem wzrok. — Jasny gwint, Kane Savage. Nie miałem pojęcia, że wróciłeś do domu, żołnierzu.

Jeremiah Prather, właściciel Kuloodpornego, zasalutował mi i odwzajemniłem ten gest.

— To miała być niespodzianka — wyjaśniłem. Wymuszony uśmiech, w który na moment ułożyły mi się wargi, zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

Jego wzrok powędrował do moich zbiegających palców zaciśniętych na pasku torby.

— Niespodzianka dla ciebie czy dla mamy?

Coś w jego tonie zwróciło moją uwagę.

— Czy całe miasto wie, że on ją bije?

Jeremiah zrobił zasmuconą minę.

— Wieści zaczęły się rozchodzić. Ktoś słyszał, że jakiś czas temu doszło do sprzeczki z sąsiadem wyprowadzającym psa, a wszystko rozdmuchało się jeszcze bardziej, gdy twoja mama nie przyszła w niedzielę do kościoła, ale za to w sklepie na rogu widziano ją w ciemnych okularach i z makijażem grubym na dwa centymetry.

Czułem, że za chwilę udławię się z gniewu.

— I nikt nic nie zrobił?

Jeremiah skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

— A co niby mieliby zrobić? Giles jest zaprzyjaźniony zarówno z komisarzem policji, jak i prokuratorem... Nie ma nikogo, kto odważyłby się złożyć skargę, nawet gdyby twoja mama chciała tego spróbować.

To miasto praktycznie należało do mojego ojczyma, Bernarda Gilesa. Jego rodzina trzęsła całą okolicą. Każdy, kto go wkurzył, trafiał przed jego oblicze w sądzie, po czym był wywlekany stamtąd w kajdankach. Giles słynął z bezlitosnych wyroków, jednak nikt nie ośmielił się powiedzieć niczego przeciwko niemu. Jako że jego skorumpowany brat pełnił funkcję prokuratora generalnego, a szef policji nie był lepszy od nich obu, razem stanowili naprawdę niebezpieczny zespół.

— Zabiję go! — W moim głosie nie było nawet śladu wahania, a Jeremiah znał mnie na tyle długo, żeby wiedzieć, że nie żartuję.

Spojrzał na mnie i zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się.

— Nie mów takich rzeczy przed kamerą, chłopcze. Powinieneś mieć więcej rozumu.

Zniknął w biurze na zapleczu, po czym wyłonił się stamtąd kilka minut później. Zamiast jednak z powrotem stanąć przede mną, podszedł do drzwi, obrócił tabliczkę tak, żeby pokazywała napis „Zamknięte”, i przekręcił zamek w drzwiach.

— Musiałem wymazać cały zapis z kamer od momentu, gdy tu wszedłeś, a potem je wyłączyć. Ostatnie, czegoś byś chciał, to dać im do ręki sznur, na którym mogliby cię powiesić.

Oparłem się plecami o blat, zaciskając dłonie w pięści.

— Daj mi broń, którą będę mógł potem wyrzucić, a zmyję się stąd, zanim dowiedzą się, że tu byłem.

— Chłopcze, wiem, że w wojsku każdego dnia nosisz broń, ale to, o czym teraz mówisz, to coś zupełnie innego. Nie możesz zrobić czegoś takiego, nie odciskając śladu w samiotkim środku duszy.

Zazgrzytałem zębami.

— Nie sądzisz, że robiłem już rzeczy, które i tak przekreśliły moje szanse na niebo? Dwie tury w piekle... Nie wróciłem jako ten sam człowiek, którym byłem, wyjeżdżając.

— Wiem. Naprawdę nie musisz mi tego tłumaczyć. — Jeremiaś unosi przedramię, na którym widać wyblakły tatuaż upamiętniający więźniów wojennych i zaginionych w akcji. — Ale to i tak co innego. Może skoczysz na strzelnicę i postrzelasz trochę do puszek, żeby wyładować nieco tego gniewu, który cię teraz rozsadza. Dam ci strzelbę. *Moją* strzelbę.

Ani nacisk położony na to słowo, ani wybór broni nie były przypadkowe. Jeremiaś wiedział, a przynajmniej zdawało mu się, że wie, iż nie użyłbym jego broni do zastrzelenia Gilesa. Stary cwaniak.

Wyślizgnął się znowu zza lady i zniknął na chwilę, po czym wrócił ze starą czterdziestką piątką. Położył ją na blacie i wziął trzy pudełka amunicji z półki za sobą.

— Jeśli nie usłyszę, jak strzelasz, to wysłędzę cię z moim AK i to nie będzie dobry dzień.

Mógłbym przysiąc, że tego dnia nic nie będzie w stanie skłonić mnie do uśmiechu, jednak nawiązanie do piosenki Ice Cube'a *It Was a Good Day* przywołało jego cień na moje wargi.

— Pójdę postrzelać, ale nie obiecuję ci, że gdy skończę, nie zechcę jednak pożyczyć tego AK.

— Spuść trochę pary, oczyść głowę i wtedy pogadamy. Nie pozwolę, żebyś zrobił coś nieodwracalnego, nie przemyślawszy sobie tego dogłębnie.

Rozdział 3

Kane

Niszczyłem jedną tarczę za drugą wystrzałami z czterdziestki piątki. Przy każdym strzale wyobrażałem sobie głowę Gilesa, jednak nie tylko nie pomogło mi to uporać się z gniewem, ale wręcz rozpałiło go jeszcze bardziej. Moja wściekłość przerodziła się w zimną, śmiertelną determinację.

Giles nie zasługuje na to, żeby żyć. Żaden mężczyzna, który w gniewie podnosi rękę na kobietę, na to nie zasługuje. Obraz pokrytego makijażem siniaka na policzku mamy i jej rozbitej wargi został wypalony w moim mózgu jak znak na krowiej skórze.

Skoro nikt inny w tym mieście nie odważył się choćby tknąć tego potężnego sędziego z jeszcze potężniejszej rodziny, nie miałem żadnego innego wyboru, z którym byłbym w stanie się pogodzić. Potem muszę zniknąć, zdezerterować, może nawet uciec do Meksyku i przez resztę życia mieszkać na plaży, pijąc coronę i z dala czuwając nad losem mamy.

Pociągnąłem za spust i pistolet szczęknął sucho.

Naboje się skończyły.

Spojrzałem na pudełka z amunicją.

Puste.

To oznaczało, że już czas.

Ruszyłem korytarzem wzdłuż pustych stanowisk strzeleckich w stronę ciężkich metalowych drzwi prowadzących do sklepu, jednak nagle zorientowałem się, że Jeremiaś nie był sam.

Pochyliłem głowę i naciągnąłem niżej czapkę, żeby ukryć tożsamość przed osobą, która z nim była. Im mniej świadków, tym lepiej.

— Już się zmywam. Wyjdę tylnymi drzwiami.

Zanim jednak zdążyłem zrobić krok, stojący przy kontuarze mężczyzna w eleganckim garniturze odwrócił się.

— Jesteś akurat na czas, Savage.

Kim, do kurwy nędzy, jest ten facet? I skąd, u diabła, wie, jak się nazywam?

Poczułem, unosząc wzrok, jak włoski na karku jeżą mi się ostrzegawczo.

— Chyba się nie znamy.

Przenikliwe spojrzenie jego czarnych oczu nie tyle mnie onieśmieliło, co wywołało cholerny niepokój.

— Nazywam się Mount. Rozumiem, że obydwo nas interesuje sędzia Giles.

Spojrzałem na Jeremiaha z żalem. Zdradził mnie.

— Co, do cholery, mu powiedziałaś?

Jeremiaś uniósł dłonie.

— Zadzwoń do kogoś, kto może pomóc, zanim zaczniesz rzucać pogrożki lub zrobisz coś pochopnego.

— Kogo? Płatnego zabójcę? Bo nie mam ani grosza, żeby komukolwiek zapłacić, a poza tym wolałbym się tym zająć osobiście.

Mężczyzna przyjrzał mi się uważniej. Nie wiem, co zobaczył, ale miałem wrażenie, jakby przewiercał mi się spojrzeniem przez ciało aż do kości.

— Nie zajmuję się już mokrą robotą. Za bardzo brudziły mi się przy tym koszule, a to wkurzało mojego krawca.

— W takim razie zapomnij o tym, co powiedział ci Jeremiaś, razem z imieniem moim i Gilesa.

— Czekaj no, chłopcze — wtrącił się Jeremiaś. — Mount ma dla ciebie propozycję. Może zechcesz go wysłuchać.

— Nie jestem chłopcem — warknąłem.

— Nie, ale twój ojciec i ja służyliśmy razem i obiecałem mu, że będę miał na ciebie oko, a zatem chodź tutaj i posłuchaj. Taka oferta nie trafia się dwa razy.

Jeremiah nigdy wcześniej mnie nie zawiódł, więc jego zdrada boleśnie mnie dotknęła, ale nie miałem wielkiego wyboru. Wsunąłem pustą czterdziestkę piątkę z tyłu za pasek spodni i pozwoliłem, żeby drzwi się za mną zamknęły.

— Jaką ofertę?

Mount wyjął grubą kopertę z kieszeni i rzucił na kontuar.

— Pięćdziesiąt kawałków. Połowa teraz, połowa — kiedy wykonasz robotę.

Spoglądałem raz na niego, raz na Jeremiaha.

— O czym ty, do kurwy, mówisz?

Popchnął palcem kopertę w moją stronę.

— Dwadzieścia pięć tysięcy. Połowa twojego wynagrodzenia. Dostaniesz drugą połowę, gdy Giles będzie martwy.

Wreszcie dotarło do mnie, o co chodzi.

— Chcesz zapłacić, żebym to *ja* zabił Gilesa? Faceta, którego i tak chcę wykończyć? Co to, do cholery, za interes?

Mount zachował stoicki spokój.

— To nie wszystko.

Skrzyżowałem ramiona na piersi.

— Wiedziałem, że musi w tym być jakiś haczyk. Strzelaj.

Mount stanął tak samo jak ja, tyle że w jego wykonaniu wyglądało to groźniej.

— Kiedy już to skończysz, załatwisz dla mnie jeszcze trzy zlecenia. Gdy to zrobisz, będziesz mógł zająć się swoimi sprawami.

— Jakie zlecenia? Nie mogę się zgodzić z góry, nie wiedząc, o co chodzi.

— Zabójstwa. Kontrakty.

— Chcesz, żebym został twoim zabójcą na zlecenie? Bo ty już nie zajmujesz się mokrą robotą? — Oderwałem od niego wzrok i spojrzałem na Jeremiaha. — Czy ten facet mówi poważnie? Po pierwszym skończę albo w więzieniu, albo w kostnicy, albo w kraju trzeciego świata.

Mount powoli potrząsnął głową.

— Nie, bo najpierw *ty* musisz umrzeć.

Otworzyłem usta ze zdumienia.

— Coś ty, kurwa, powiedział?

— Weźmiesz dwadzieścia pięć tysięcy i ten telefon. — Wyjął z kieszeni aparat i położył go na kontuarze obok koperty. — Upozorujemy twoją śmierć. Twoje identyfikatory znajdą się przy ciele, ciało w jakimś zdezelowanym gracie, który podpalimy. Potem zmienimy twój wygląd tak, że rodzona matka cię nie pozna. I dopiero wtedy powiem ci, gdzie i kiedy zdejmiesz Gilesa. Zadzwoń, gdy wykonasz robotę, i dostaniesz drugie dwadzieścia pięć kawałków. Następnie będziesz odbierał, kiedy zadzwonię, wykonasz trzy kolejne zlecenia za tę samą kasę i zadecydujesz, co chcesz zrobić dalej.

Przełknąłem ślinę. Jezu-kurwa-Chryste. On już to wszystko zaplanował, a ja jeszcze nie mogłem uwierzyć, że w ogóle prowadzimy tę rozmowę.

— Mówisz poważnie? — zapytałem. — Chcesz, żebym... — W myślach odtworzyłem jeszcze raz jego słowa.

— Tak. Masz pięć minut na decyzję, potem wyjdę stąd i moja oferta przepadnie na zawsze.

— A co, jeśli tego nie zrobię? Znajdziesz kogoś innego do tej roboty?

Odpowiedział z obojętnym wyrazem twarzy.

— Nie. Wiedza o tym, że ten drań Giles bije twoją matkę, sprawia, że jesteś w morderczym nastroju. I tak go w końcu zabijesz, ale zrobisz to bez tych pięćdziesięciu tysięcy, porządnego planu działania i drogi ucieczki. Jak sądzisz, czy twojej mamie podobałoby się jeżdżenie do więzienia w każdą sobotę tylko po to, żeby porozmawiać z tobą przez piętnaście minut?

Odmalował słowami tak plastyczny obraz, jakby był prawdziwym artystą z pędzlem w dłoni. Brat Gilesa, który był prokuratorem, i szef policji, który siedział u nich w kieszeni, nigdy by nie pozwolili, żeby uszło mi to na sucho. Prawdopodobnie nie spoczęliby, dopóki nie dostałbym śmiertelnego zastrzyku.

— Kane, powinieneś o tym pomyśleć. I tak to zrobisz, a to najrozsądniejszy sposób.

Te słowa padły z ust Jeremiaha, którego radom zazwyczaj ufałem. Ale jak, do cholery, miałem zaufać temu drugiemu facetowi, którego nigdy wcześniej nie spotkałem?

— Nie mogę uwierzyć, że go tu sprowadziłeś.

Mount przerwał mi.

— Masz trzy minuty. Kończy mi się cierpliwość.

Jak to możliwe, że w ogóle się nad tym zastanawiam? — zapytałem sam siebie w myślach.

— Kim ty w ogóle jesteś? — zapytałem.

— Lachlan Mount.

— Powiniennem był o tobie słyszeć?

Uśmiech, który pojawił mu się na wargach, można było opisać jako drapieżny.

— Nie, bo w moim świecie nie istniejesz. Jeśli jednak przyjmiesz tę ofertę, to dostaniesz miejsce przy stole, chociaż zasiądziesz przy nim jako duch. Widzę to tak, że masz dwie możliwości: więzienie albo życie, jakiego nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Nie będziesz się już narażał za marne grosze. Nikt poza tobą nie będzie podejmował za ciebie decyzji.

— I tobą — zauważyłem.

— Na razie. Nie potrzebuję psa, Savage. Potrzebuję człowieka, który nic nikomu nie jest winien i potrafi podjąć ryzyko, jakiego nie podejmie się nikt inny. Twój przyjaciel twierdzi, że właśnie takim człowiekiem jesteś. Masz jeszcze minutę na decyzję. Wchodzisz w to czy nie? Tak czy siak, twoje życie zmieni się w tym momencie.

Rozdział 4

Kane

Miesiąc przed pogrzebem

— Do diabła, coś ty właśnie powiedział?

Temperance, kobieta, której nie powinienem nigdy dotknąć, stoi przede mną, usiłując zrozumieć, co jej przed chwilą powiedziałem, a co jest jak tykająca bomba — podobna do rzuconej mi przez Mounta lata temu. Tamta nigdy nie wybuchła mi w twarz, jednak tym razem będzie inaczej.

— Przyjąłem zlecenie, żeby zabić twojego brata, za pół miliona. Mam trzydzieści dni na realizację, w przeciwnym razie poszukają kogoś innego.

Mruży oczy i całe jej ciało sztywnieje.

— Ty nic niewarty sukinsynu! — rusza w moją stronę, pochylając się, żeby jak zawodowy futbolista wpaść we mnie barkiem. Ktoś powinien jej powiedzieć, że nie powinna próbować walki wręcz z człowiekiem szkolonym przez najlepszych.

Wyciągam ręce, żeby ją objąć i unieruchomić, nie doceniam jednak tego, jak jest zwinna i szybka. Okręca się i sięga po coś leżące na stoliku kawowym.

Ostatnie, czego chcę, to żeby zdołała chwycić pistolet, który już zdążyłem znaleźć i rozładować. Kto by pomyślał, że jedna kobieta może być tak uzbrojona? Chociaż z drugiej strony, biorąc pod uwagę, kim jest jej brat, może nie powinienem być tak zaskoczony.

Ona jednak nie sięga po pistolet. Uderza dłonią w blat, chwytając długopis i celuje nim w moją tętnicę szyjną.

— Jezu Chryste, kobieto! — Chwytam jej nadgarstek jedną dłonią, po czym wykręcam jej ręce do przodu, więc w końcu nie ma innego wyjścia niż wypuścić długopis.

— Zabiję cię!

— Nie jesteś pierwszą osobą, która to mówi, i z całą pewnością nie będziesz ostatnią.

— Będę, bo mnie się to uda — warczy, podczas gdy ja unieruchamiam jej ręce na piersi.

— Skończyłaś?

Najwyraźniej to niewłaściwe pytanie, bo Temperance odrzuca głowę do tyłu i wali mnie nią w podbródek, po czym podcina mi nogi. Oboje upadamy ciężko na drewnianą podłogę.

Próbuje się ode mnie odczołgać, ale chwytam ją za rozcięcie nogawki dżinsów na wysokości kolana, spowalniając ją. Spodnie drą się, kiedy Temperance wymierza kopniaka w stronę mojej twarzy.

— Uspokój się, do cholery.

Najwyraźniej znowu nie jest to coś, co należy mówić kobiecie zdeterminowanej, żeby zabić. Odwraca głowę, jakby rozglądając się za kolejną bronią, a ja wykorzystuję ten moment nieuwagi, żeby się na nią rzucić i przygniść swoim ciałem. Łąduję piersią na jej piersi.

Wydaje z siebie bojowy okrzyk, z którego każda Amazonka mogłaby być dumna, a potem zamierza się pięścią, celując w moją skroń. Chwytam ją za nadgarstki i przygniadam je do podłogi.

— Puszczaj — cedzi przez zaciśnięte zęby.

— Nic z tego.

— W takim razie zabij mnie, bo tylko w taki sposób będziesz mógł chodzić po ulicach, nie oglądając się nieustannie przez ramię. Nigdy nie przestanę na ciebie polować.

Gwałtowność jej reakcji zaskakuje mnie... tak samo jak to, że jej groźby sprawiają, że mi staje.

— Jesteś zajebiście seksowna, gdy grozisz mi śmiercią.

Jej nozdrza rozszerzają się i trzeci raz w ciągu trzech minut uświadamiam sobie, że powiedziałem nie to, co powinienem.

Tak właśnie się dzieje, kiedy przez ostatnie piętnaście lat więcej gada się do siebie niż z innymi ludźmi. Moje umiejętności społeczne, które nigdy nie były wybitne, teraz w ogóle zeszyły na psy. Zazwyczaj

odpowiadam na pytania na piśmie lub za pomocą chrząknięcia. Temperance jednak namieszała w moim życiu bardziej, niż może to sobie uświadamiać.

Wygina biodra, zapewne starając się mnie z siebie zrzucić, jednak jedyne, co udaje jej się osiągnąć to potrzeć kroczeniem o mojego kutasa.

— Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Mruży brązowe oczy z wściekłością.

— Nigdy ci tego nie daruję. Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Gdy Mount się o tym dowie, *zniszczy cię*.

— I tu się mylisz. Mount już wie.

Jej twarz blednie, jakby odpłynęła z niej cała krew.

— Co? — szepcze, mrugając szybko raz za razem. — To... To niemożliwe.

— Powiedziałem mu to, gdy zadzwonił, każąc mi tu przyjechać.

— Ale...

— Żadnych ale. Czy jesteś gotowa przestać próbować mnie zabić przynajmniej przez chwilę, żebym mógł cię puścić? W przeciwnym razie będę cię trzymał tak długo, jak to będzie konieczne.

Na jej policzki wypływa rumieniec. Najwyraźniej uświadamia sobie, że mój penis we wzwodzie znajduje się tuż przy jej cipce.

— Nie jest to nic, czego nie zaznałybyś wcześniej, księżniczko.

Odsłania zęby niczym dzikie zwierzę.

— Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam ci...

— Przelecieć się od każdej możliwej strony? Powinnaś jeszcze dodać, że nie możesz uwierzyć, jak bardzo ci się to podobało.

— Nienawidzę cię.

Z jakiegoś powodu sprawia to, że się uśmiecham.

— Nie słyszałaś, że miłość i nienawiść to dwie strony samego medalu? Założę się, że mógłbym cię doprowadzić i do tego drugiego. Może zacznę od tego, że powiem ci, że wcale nie zamierzam pakować kulki w łeb twojemu bratu.

Otwiera usta i mruga ze zdumienia.

— Nie zamierzasz go zabić?

— Znamy się od lat i chociaż najwyraźniej wydymał niewłaściwą osobę w cholernie głupi sposób, to nie mam zwyczaju zabijać ludzi, których lubię. Ta lista i tak jest krótka. Nie mam ochoty wykreślać z niej imion bez dobrego powodu. Aczkolwiek w jego przypadku mam pięćset tysięcy niezłych powodów.

— Nie rozumiem. Powiedziałeś... — Temperance potrząsa głową, jakby naprawdę miała problemy ze zrozumieniem.

Przesuwam się i czuję, jak jej biodra się rozluźniają.

— Przyjąłem zlecenie na wyłączność. To oznacza, że nikt inny nie może wziąć za to kasy i spróbować tego zrobić, chyba że ja nie wypełnię zadania w ciągu trzydziestu dni.

— Ale nie zamierzasz go zabić — oddycha z ulgą, jednak jeszcze na to za wcześnie.

— Nie myśl, że Rafe jest już bezpieczny. Wpakował się w niezłe gówno i nawet jeśli uda nam się go z tego wyciągnąć, i tak mogę go pobić na śmierć za to, że był tak kurewsko głupi. To właśnie głupota sprawia, że ludzie giną. Dodaj do tego jeszcze całą tę dodatkową robotę, której mi przysporzył, i fakt, że trzeba było zaangażować Mounta, i naprawdę będzie miał szczęście, jeśli wyjdzie z tego cało.

— Kto pragnie jego śmierci?

Potrząsam głową.

— Nic ci nie powiem, bo jestem pewny, że zaraz poprosisz swoją przyjaciółkę hakerkę, żeby spróbowała namierzyć tę osobę, a to zdradziłoby, że próbujemy ją dopaść. Chcę to mądrze rozegrać.

— Puść mnie. Proszę.

Spoglądam w ciepłe brązowe oczy Temperance, z których już ulotniła się chęć zamordowania mnie. Przynajmniej na razie. Zapewne znowu zamarzy o tym później, bo jeszcze nie powiedziałem jej wszystkiego.

Ale kiepski były ze mnie zawodowy morderca, gdybym zdradzał od razu wszystkie swoje sekrety.

Rozdział 5

Temperance

Gdy facet, który wdarł się do mieszkania, stacza się ze mnie, w głowie kotłuje mi się tak wiele myśli, że nie wiem, jak sobie z nimi wszystkimi poradzić.

Wróc. Nie wiem, jak sobie poradzić choćby z jedną z nich.

Odwracam się do niego plecami i próbuję się pozbierać i skupić na faktach.

Ktoś zlecił zamordowanie mojego brata.

Ten facet — którego poznałam w sensie *biblijnym*, ale nawet nie wiem, jak się ma na imię — jest kumplem mojego brata.

Mount wie, że on zgodził się przyjąć zlecenie na zabicie mojego brata.

Bo jest pieprzonym *płatnym zabójcą*.

A ja właśnie odwróciłam się do niego tyłem.

Odwracam się gwałtownie z powrotem. Trudno mi odczytać jego wyraz twarzy. Widnieje na niej mieszanina rozbawienia, aprobaty i... podniecenia? Najwyraźniej przyłapałam go, jak kończył sobie poprawiać członek w spodniach.

— Od dawna znasz się z Rafem?

Z jakiegoś powodu ze wszystkich rzeczy, które powiedział, tę najtrudniej mi przyjąć. No, może oprócz tego, że zajmuje się *zabijaniem*. Jak to możliwe, że spośród wszystkich mężczyzn na świecie przespałam się akurat z tym, który jest *płatnym zabójcą* oraz zna mojego brata?

Serio, to nie fair.

Kiwa głową, najwyraźniej wracając do swojego małowównego wydania.

— Od jak dawna?

— Bardzo dawna.

Spoglądam na niego tak ostro, że gdyby moje oczy mogły ciskać laserowe promienie, to teraz świeciłyby się na czerwono.

— I od samego początku wiedziałeś, kim jestem?

Jego twarz nie wyraża zupełnie żadnych emocji.

— Czy to ma znaczenie?

Czy on oszalał?

— Tak, do cholery, to ma znaczenie. Myślałam, że przeżywam ognisty romans z seksownym nieznajomym, a dowiaduję się, że pieprzyłam się z kumplem mojego brata! — Wargi mu drgają, jakby próbował powstrzymać śmiech, i czuję, że moja wcześniejsza wściekłość powraca. — Nawet nie waż się ze mnie śmiać!

— Seksownym nieznajomym, tak?

— Zamknij się. To nie jest śmieszne.

— Ale ty jesteś zajebiście seksowna, kiedy się wściekasz. Gdybym tylko wiedział to wcześniej...

— Powiedziałabyś mi, kim jesteś, i wkurzyłabyś mnie wcześniej?

Rozbawienie ulatnia mu się z twarzy.

— Nie. Gdyby to zależało ode mnie, nigdy byś się nie dowiedziała. — Jego spojrzenie staje się bardziej intensywne. — Wiedziałem już wtedy, że nie powinienem być się do ciebie zbliżać.

— To dlaczego to zrobiłeś?

Przesuwa po mnie spojrzeniem, i chociaż jestem wkurzona, przestraszona i zagubiona, i tak wbrew sobie czuję ogarniające mnie gorąco. Siłą woli zmuszam się do koncentracji na tym, co naprawdę ważne.

— Nic z tego nie rozumiem. Musisz mi to wyjaśnić. Dlaczego ktoś miałby chcieć śmierci Rafe'a?

— Musimy przenieść się z tą rozmową gdzieś indziej, w bezpieczniejsze miejsce.

To znowu zbija mnie z pantafyku.

— Co masz na myśli?

— Pakuj manatki, księżniczko. Jedziesz ze mną. To rozkaz twojego szefa. Albo może powinienem powiedzieć po prostu „rozkaz szefa”.

Nie musi mi tłumaczyć, o kim mówi, ale to nie oznacza, że zamierzam się na wszystko zgodzić bez cienia sprzeciwu. Zaczynam w końcu rozumieć, że ten mężczyzna jest zupełnie inny, niż wydaje się na pozór.

— Nie oczekuj, że jeszcze kiedykolwiek uwierzę w to, co mi powiesz. — Łapię telefon i odwracam się, ruszając w stronę sypialni.

Dlaczego znowu pokazuję zabójcy plecy?

Szybko odwracam się z powrotem, wbijając wzrok w jego twarz, i idę tyłem, wyciągając jedną rękę za siebie i macając w poszukiwaniu drzwi. Otwieram je i wsuwam się do sypialni, ani na moment nie odrywając od niego spojrzenia.

— Jasne, zadzwoń do niej. Ufaj, ale sprawdzaj.

— Ufać? A to dobre! — Zamykam drzwi powoli, centymetr za centymetrem, stopniowo odcinając sobie widok...

Widok na *faceta tak seksownego, że aż ślinka napływa do ust*. Po naszych zapasach na podłodze ma zmierzwiłone włosy i rozpięty kołnierzyk.

Nie, Temperance, przestań. Nie jesteś już zainteresowana. Śmieję się sama do siebie, bo nie wierzę w to, co sobie wmawiam. Potem przypomina mi się, że on jest płatnym zabójcą, i ta myśl mnie *otrzeźwia*.

Wybieram numer Keiry i czekam, aż odbierze.

— Znalazł cię? — pyta zamiast powitania.

— Jeśli masz na myśli to, czy znalazł mnie płatny zabójca, który przyjął zlecenie na mojego brata, chociaż go zna, to tak. Owszem, znalazł. Czy możesz mi powiedzieć, co, do diabła, się dzieje i co, u licha, mam teraz robić?

— Poczekaj chwilę, Lachlan chce z tobą rozmawiać.

Oczywiście, że tak. Dominujący sukinsyn, myślę sobie, ponieważ nie odważyłabym się powiedzieć tego na głos.

— Temperance. — Jego głęboki głos jest jakby bardziej zrelaksowany niż zwykle, co wydaje mi się zupełnie nielogiczne w zaistniałej sytuacji.

— W moim salonie jest płatny zabójca — wypalam.

— Dobrze. Rób, co ci każe.

— Żartujesz? Bo naprawdę, naprawdę mam taką nadzieję.

Po drugiej stronie słuchawki słyszę jedynie ciszę.

— Aha, a więc to jednak *nie* żart, rozumiem. — Próbuję przepełnić swój głos rozbawieniem.

— Twój brat ma poważne kłopoty i te kłopoty mogą rzutować na ciebie. Moja żona nie chce, żeby cokolwiek ci się stało, więc wykonałem telefon i teraz jesteś bezpieczna.

Przełykam ślinę i staram się znaleźć słowa, które umożliwią mi ułożenie w miarę spójnej odpowiedzi na takie dictum.

— A co z Rafem?

Znowu milczenie.

— Saxon jest najlepszy — pada w końcu. — Jeśli ktokolwiek jest w stanie mu pomóc, to tylko on.

Saxon. A więc ma imię. Wyobrażam sobie mężczyznę czekającego w moim salonie i stwierdzam, że zupełnie do niego nie pasuje.

— W porządku? — pyta Mount.

W porządku? Czy on mówi poważnie?

— Nie wiem, jak się powinnam teraz czuć — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— Jesteś zrobiona z tego samego materiału co moja żona. Staniesz na wysokości zadania.

Kończy połączenie, zanim zdążyłam coś odpowiedzieć.

— Kurwa mać — mówię do czterech ścian.

— Pakuj się. Spadamy stąd.

Piszczę i odwracam się gwałtownie. Mój nieznajomy — Saxon — stoi w otwartych drzwiach sypialni. Nawet nie słyszałam, jak się otwierają, do cholery!

— Nigdy więcej tego nie rób!

— Niczego nie obiecuję.

Mrużę oczy.

— Jak to możliwe, że poruszasz się tak cicho?

Uśmiecha się do mnie krzywo.

— Taka praca.

Rozdział 6

Kane

Jest pociągająca jak cholera i nie mogę przestać się na nią gapić, gdy próbuje przyswoić wieści, którymi ją zarzuciłem. Temperance albo ulegnie... albo znowu spróbuje mnie zabić. Widzę, że mimo rozkazów Mounta jeszcze nie podjęła decyzji.

Teraz pracuję dla niepisanego króla Nowego Orleanu tylko wtedy, kiedy nie mogę tego uniknąć, albo gdy jest to zlecenie, które przyjąłbym niezależnie od tego, kto jest zleceniodawcą. Ostatnimi czasy Mount i ja głównie wymieniamy się przysługami. On wolałby, żeby było inaczej, ale ja nauczyłem się — i to szybko — że przysługa od Mounta jest warta więcej niż jakiegokolwiek pieniądze.

Mount znajduje się na szczycie krótkiej listy ludzi, którzy wiedzą, kim jestem i czym się zajmuję, i nadal żyją. O dziwo, nie mam nic przeciwko temu, żeby dodać do tego spisu Temperance Ransom.

Jej brat, Rafe Ransom, już w nim jest. Znamy się od lat, chociaż nie powiedziałbym, że jesteśmy przyjaciółmi. Ja nie mam przyjaciół.

Mój pośrednik w ciemnej sieci jest bezimiennym, pozbawionym twarzy awatarem, który nie wie o mnie nic prócz tego, że potrafię zrealizować kontrakt z idealną konsekwencją.

Jest jeszcze Jeremiaś, który wprowadził mnie na tę drogę lata temu, wykonując telefon do Mounta. Opiekuje się moją mamą, pilnując, żeby niczego jej nie brakowało. Przelewam mu pieniądze w kryptowalucie, żeby nie można ich było wysledzić i powiązać z moimi zarejestrowanymi za granicą firmami.

— Dokąd jedziemy?

Wciąż przyłapuję się na tym, że przy Temperance mam ochotę się uśmiechać. To dla mnie zupełnie nowe uczucie. Nawet nie wiedziałem, że moje wargi potrafią to robić tak często, i teraz z całej siły staram się zachować kamienną twarz. Kolejne nowe wyzwanie.

— W bezpieczne miejsce.

Powoli nabiera powietrza i je wypuszcza.

— Może zechciałbyś mi zdradzić nieco więcej szczegółów?

— Nie. — Znowu z trudem powstrzymuję uśmiech, gdy Temperance mruży oczy i odwraca się w moją stronę, opierając dłonie na biodrach. — Zabierz wszystko, czego możesz potrzebować. Przez jakiś czas nie wrócisz do domu.

— Wiesz, że muszę chodzić do pracy, prawda? Nie mogę po prostu się ukryć i zostawić destylarni samej sobie. Keira na mnie liczy.

— Wróć szybciej, niż planowali. Do tego czasu dla wszystkich pracowników destylarni będę twoim nowym asystentem.

— Dopóki nie sprzedam ci kopa w tyłek — rzuca ze złością.

Przegrywam wewnętrzną walkę i na twarzy pojawia mi się drapieżny uśmiech.

— Sądzę, że bardziej powinnaś się martwić o swój tyłek.

Jej twarz czerwienieje na wspomnienie naszych spotkań w klubie. Czuję przypływ pożądania.

Nie mogę jej tknąć. Nie tutaj. To nie byłoby bezpieczne.

Zmuszam się, żeby przestać o tym myśleć, i pytam:

— Gdzie twoja torba?

Zamiast odpowiedzieć, wyjmuje z szafy za sobą niewielką podręczną walizkę.

Przyglądam się jej sceptycznie.

— Chcesz powiedzieć, że zmieścisz w tym wszystko?

— Nie martw się, mam drugą torbę na broń.

Odzywam się, zanim zdążyłem pomyśleć, a to naprawdę nieczęsto mi się zdarza.

— Któż mógłby wiedzieć, że jesteś kobietą idealną?

— Tak, jasne — prycha i pokazuje mi środkowy palec, po czym zaczyna się pakować.

Nie ma pojęcia, że powiedziałem prawdę. Jest zajebście idealna.

Zdeterminowana. Wygadana, piękna i świetna w łóżku.

Moje instynkty prowadzą kłótnię z samokontrolą, bo najbardziej w świecie miałbym ochotę rzucić ją na to łóżko i...

Stary, naprawdę musisz przestać. Jeszcze nie. Najpierw musisz ją stąd zabrać.

Ku mojemu zdumieniu w ciągu piętnastu minut Temperance jest spakowana i gotowa do wyjścia.

— A więc dokąd? Do bat-jaskini?

Moje wargi drgają.

Czy już wspominałem, że jest zajebście idealna?

Rozdział 7

Temperance

— Chyba oszalałeś. Nie mam zamiaru tego zakładać.

— Nie zmuszaj mnie, żebym cię uspił.

Wprawdzie wygląda na lekko rozbawionego, ale jakoś jestem pewna, że nie żartuje.

Zerkam na wełnianą czapkę, którą trzymam w dłoni i którą mam ponoć naciągnąć na oczy, żeby nie widzieć drogi prowadzącej do bat-jaskini. Naprawdę sądziłam, że wystarczającym poświęceniem z mojej strony było, że zgodziłam się, by przyprowadził mojego bronco następnego dnia. To już zdecydowana przesada.

— A co, jeśli zatrzymamy się obok jakiegoś policjanta? Będzie myślał, że zostałam porwana. Jak zamierzasz to wyjaśnić?

Nie skrępował mi rąk paskami zaciskowymi ani nie zakleił ust taśmą, co, jak zakładam, jest standardową procedurą płatnego zabójcy. A może po prostu od razu się strzela? Saxon okazuje mi dziwną cierpliwość.

Saxon. Nadal nie uważam, żeby to imię do niego pasowało. Spogląda teraz na mnie zza kierownicy po przeciwnej stronie długiego siedzenia idealnie odnowionego international harwestera stouta.

Trzeba przyznać, że zazdrość, którą poczułam przy wsiadaniu do tej terenówki, mogła pomóc nieco w przewyciężeniu moich oporów. Gdy otworzył przede mną drzwiczki i zobaczyłam niesamowitą białą-czarną tapicerkę pokrywającą przednią kanapę, zapragnęłam mieć nieco więcej gotówki, żeby móc odnowić porządnie swojego bronco. Mimo wszystko jednak nie mam ochoty bez oporów zasłaniać sobie oczu.

Przyciska jakiś guzik na desce rozdzielczej i szyby natychmiast stają się czarne.

— I po problemie.

— Jaja sobie robisz? — wykrzykuję ze zdumieniem, po czym obracam się za siebie, żeby zerknąć przez tylne okno. Wszystkie szyby są teraz przyciemnione jak w limuzynie. — Gdzie zainstalowałeś rakiety?

Spoglądam na niego z ukosa i słyszę dobiegający z jego strony stłumiony chichot.

— Nie jestem Batmanem. Nie ma żadnych rakiet. Moja praca wymaga nieco większej subtelności.

Nie wierzę, że nie ma tu broni.

— Karabiny maszynowe? Szyby kuloodporne? Nie pozwoliłeś mi otworzyć drzwiczek, bo są pancerne i bardzo ciężkie?

— Po prostu to załóż.

Jego cierpliwość jest na wyczerpaniu i mimo że powinnam się go obawiać, nie odczuwam strachu. Wysuwam brodę do przodu, zacinając się w uporze.

— Możesz wybierać: pojedziesz tam przytomna lub nie, Temperance.

Patrzę na niego z wściekłością.

— Ty kutasie!

— Lubisz mojego kutasa — odparowuje.

Niestety ma rację, ale postanawiam skłamać.

— *Lubiłam*. To już przeszłość. To było, zanim dowiedziałam się, że jest przyczepiony do płatnego zabójcy. — Na te słowa z jego twarzy znika całe rozbawienie i trochę żaluję, że nie mogę ich cofnąć.

— Załóż to.

— Dobrze.

Naciągam czapkę na głowę i głęboko na oczy. Nie wiem, z jakiego materiału ją zrobiono, zapewne z tego samego, co peleryna Batmana, ale jest zupełnie nieprzeźroczysta. A poza tym pięknie pachnie. Zupełnie jak on.

Wdycham czysty, lekko korzenny, męski zapach. Czuję, jak samochód rusza i włącza się do ruchu.

Przez chwilę próbuję zapamiętywać zakręty, ale po jakichś pięciu minutach staje się to niemożliwe.

— Opowiedz mi o destylarni — prosi. — Jakies wielkie imprezy w najbliższym czasie? Tłumy gości?

— Pod koniec tego tygodnia organizujemy szybkie randki. Coś dla robiących karierę samotnych, którzy chcą kogoś poznać. Poza tym aż do następnego weekendu nic nie planujemy, nie licząc zwykłego zwiedzania. Dzięki Bogu, bo inaczej chyba zupełnie bym zwariowała.

— Czy to twoje główne zajęcie? Organizacja imprez?

— Nie, tak naprawdę jestem dyrektorką operacyjną.

— Brzmi pięknie, ale co to tak naprawdę znaczy?

Przewracam oczami, chociaż nie może tego widzieć, skoro schowałam je pod czapkę.

— Że robię wszystko, co każe mi Keira, włączając w to organizację imprez. Aczkolwiek mamy zatrudnić kogoś, kto się będzie zajmował tylko tym, bo zaczyna być tego za dużo.

— Dobrze sobie poradziłaś z organizacją aukcji.

Wzruszam ramionami.

— Nie miałam innego wyjścia. Zresztą cel był szczytny. Ale pilnowanie wszystkich szczegółów do ostatniej chwili, żeby zapewnić gładki przebieg imprezy, to nie jest coś, co pragnę robić w życiu. — Przez chwilę zastanawiam się, czy na pewno mądrym pomysłem jest mówienie o tym komuś, kto ma bezpośredni numer do męża mojej szefowej, ale wątpię, żeby zamierzał to komuś przekazywać.

— A co chciałabyś robić w życiu?

Jestem zaskoczona, że o to pyta, ale z drugiej strony ten facet zaskakuje mnie pod każdym możliwym do wyobrażenia względem.

Zastawiam się przez chwilę i natychmiast przypominam sobie niedokończoną rzeźbę, która stoi w warsztacie Elijaha. Nie jest to coś, o czym chcę mu opowiadać, więc zmieniam temat.

— To drapie, a poza tym jest mi za gorąco — kłamię, poprawiając czapkę.

— Przeżyjesz.

— Jesteś pewien?

— Biorąc pod uwagę, że na tym polega moje zadanie, tak.

Marszczę brwi. Ta wypowiedź przywodzi mi na myśl kolejne pytanie.

— W jaki sposób zostaje się płatnym zabójcą? Są jakieś kursy czy coś? — Nie jest to najbardziej zgrabna zmiana tematu, ale trudno.

Przez dłuższą chwilę milczy i żałuję, że nie mogę w tej chwili widzieć jego twarzy.

— To nie był mój pierwszy wybór.

— Armia czy marines?

Nie widzę tego, ale czuję, że ze zdumieniem odwraca głowę w moją stronę.

— Dlaczego tak sądzisz?

Miałam takie przeczucie i postanowiłam strzelić.

— Twoja postawa. Zawsze potrafię to rozpoznać. W college'u podobał mi się jeden rezerwista. Poruszał się tak samo jak ty.

— Jak się nazywał? — pyta, siląc się na swobodny ton. Prawie mu się udaje.

— Naprawdę zamierzasz go wysledzić, bo jego postawa pomogła mi cię rozszyfrować? — pytam ze śmiechem.

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jak bardzo ci się podobał i jak daleko to zaszło.

Nie wiem, dlaczego podoba mi się jego zazdrość, ale tak jest.

— Gdzie chodziłaś do college'u? — pyta.

Milknę na chwilę, nim odpowiem.

— Nie zadawaj mi pytań, na które już znasz odpowiedź. To obłudne.

— Jeśli wydaje ci się, że znam całą historię twojego życia, to się mylisz. Ransom nie opowiadał mi zbyt wiele o swojej młodszej siostrze — a ja wcale nie kopałem aż tak głęboko.

Dlaczego jego odpowiedź w równym stopniu mnie cieszy, co irytuje? Czy chciałabym, żeby próbował się więcej o mnie dowiedzieć? Chyba coś ze mną jest nie tak.

— Co ci powiedział? — pytam, żeby wypełnić nabrzmiewającą ciszę.

Znowu muszę poczekać na odpowiedź i nie wiem, czy to dlatego, że musi się skupić na prowadzeniu samochodu, czy nie umie znaleźć odpowiednich słów.

— Wystarczająco dużo... Że jesteś młodsza od niego, że poszłaś na studia, a on nie, że pracujesz dla kobiety Mounta i że mam się do ciebie nie zbliżać.

— Masz się nie zbliżać? — Nie powiedziałabym, żeby mój brat był szczególnie opiekuńczy, ale zdecydowanie odstraszył ode mnie paru kolesi.

Czuję, że Saxon na mnie patrzy.

— Tak. Zakazany owoc.

Przychodzi mi do głowy mnóstwo pytań, jednak jedno z nich wydaje mi się najważniejsze.

— To w takim razie dlaczego...? — urywam.

— Następne pytanie — ucina krótko.

Czuję w środku jakby smak zwycięstwa i nie mam pojęcia, co zrobić z tym uczuciem. Oboje milczymy przez kilka minut, po czym uświadamiam sobie, że tracę szansę dowiedzenia się o nim czegoś więcej... to znaczy przesłuchania go.

— A ty? Zaciągnąłeś się po szkole średniej?

— Tak.

— Poszedłeś w ogóle do college'u?

— Nie. — Odpowiada monosylabami, co nie zachęca do dalszych pytań.

— Czym się zajmowałeś?

Milczy, jakby w ogóle nie zamierzał odpowiedzieć, po czym mówi:

— Byłem snajperem.

— To chyba pasuje... Jak długo służyłeś?

— Dostatecznie długo.

Te wymijające odpowiedzi powinny mnie zniechęcić do zadawania pytań, ale nie zamierzam zmarnować takiej okazji.

— Dlaczego zrezygnowałeś? Nie podobało ci się?

— Już był czas. — Chrząka.

— Jak to się stało, że zacząłeś pracować dla Mounta?

— Nie pracuję dla niego.

— Zaraz, nic nie rozumiem. Myślałam...

— To źle myślałaś. Nie pracuję dla nikogo, a już na pewno nie przyjmowałbym od niego rozkazów każdego dnia.

— Nadal nie rozumiem.

Znowu chrząka, jakby nie miał ochoty odpowiadać, ale w końcu znowu się odzywa.

— Wyświadczam mu przysługę. Nie odpuszczam szansy na to, żeby Mount był mi coś winien. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogę tego potrzebować.

Nie wiem, jak to wszystko rozumieć, ale nie przestaję go wypytywać.

— Skąd znasz mojego brata?

— Przez Mounta — odpowiada, nadal zdawkowo i to znowu sprawia, że moje pytania wracają do punktu wyjścia.

— Co zrobił Rafe? Co było innego w tym zleceniu? Mount brzmiał, jakby to było coś gorszego niż zwykle... — urywam, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Ile wiesz na temat tego, czym zajmuje się twój brat?

To pytanie zupełnie mnie zaskakuje, przede wszystkim dlatego że nigdy o tym z nikim nie rozmawiam. Nie tylko ponieważ nie chcę go wpakować w kłopoty, ale również dlatego że to pozwala mi udawać, że mój brat nie jest przemytnikiem, który częściej działa wbrew prawu niż zgodnie z nim.

— Wystarczająco dużo. — Teraz z kolei ja odpowiadam zdawkowo.

— Mów dalej.

— Przewozi różne rzeczy — odpowiadam i znowu niemal czuję, jak spogląda na mnie z ukosa.

— Twój brat jest przewoźnikiem.

— Wiem, nie jestem idiotką. I wiem, że za nielegalną robotę dostaje więcej kasy niż za legalną, więc

często ją bierze.

— Czy to ci przeszkadza?

— To nie moje życie ani nie moja decyzja. To zależy od Rafe'a. — Przerywam. — Ale gdyby to był twój brat, czy nie przeszkadzałoby ci... — milknę, bo uświadamiam sobie, jak absurdalnym jest pytać o to zabójcę na zlecenie.

Saxon udaje, że tego nie zauważa.

— Ransom przyjął poważne zlecenie. Nie wiemy dokładnie, co to było, ale najwyraźniej wystawił do wiatru niewłaściwych ludzi. Takich ludzi, których naprawdę nie powinno się wystawiać do wiatru, jeśli chce się żyć.

Mam w głowie gonitwę myśli i zaczynam odczuwać przeszywający aż do kości lęk o brata.

— Dlaczego zaryzykował coś takiego? Powinien wiedzieć lepiej. Powiedział mi, że to wielka robota, więc dobrze zdawał sobie sprawę ze stawki.

— Nie wiem, ale mam nadzieję, że naprawdę miał kurewsko dobry powód.

— Nie zjawił się na moich urodzinach — mówię cicho. — Przysięgał, że przyjdzie, a jednak się nie zjawił. Może nie jest najporządniejszym człowiekiem na świecie, ale mam tylko jego. I zawsze dotrzymywał słowa.

Znowu czuję na sobie jego spojrzenie.

— Kiedy były twoje urodziny?

Mimo że mam oczy zasłonięte tą głupią czapką i tak opuszczam wzrok i pochylam głowę.

— Dzisiaj — szepczę.

— Cholera, żartujesz?

Potrząsam głową.

— Nie. Wszystkiego, kurna, najlepszego dla mnie.

Nie cierpię brzmieć tak żałośnie, ale nic nie mogę na to poradzić. Poza wiadomością od Keiry dzisiaj rano nie dostałam żadnych innych życzeń. Nikt nie pamiętał o moich urodzinach. Czyż to nie godne pożałowania?

— Jezu, naprawdę mi przykro, Temperance.

— Nie przejmuj się. To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia poza tym, żeby Rafe był bezpieczny. Więc cokolwiek chcesz, żebym w tym celu zrobiła, Saxon, zrobię to.

Urywam na chwilę i zastanawiam się.

— Czy to w ogóle twoje prawdziwe imię?

Rozdział 8

Kane

Saxon... Imię, które wybrałem sobie z jakiejś cholernej książki historycznej na zapleczu u Jeremiaha w oczekiwaniu na zielone światło, żeby wykonać pierwsze zabójstwo niezlecone przez rząd Stanów Zjednoczonych. Wtedy wydawało mi się, że brzmi dobrze — wtedy to wszystko wydawało mi się dobrym pomysłem — ale byłem dwudziestojednoletnim smarkaczem niemającym o niczym pojęcia.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję, że naprawdę nie cierpię imienia, które sobie wybrałem. Nie chcę go słyszeć z jej ust.

Tylko dwie osoby wiedzą, że nadal żyję, i znają moje prawdziwe imię, które bardzo pragnąłbym znowu usłyszeć, czego aż do tej pory sobie nie uświadamiałem. Nie używałem go od tak dawna... Nie chcę, żeby ta kobieta nazywała mnie imieniem używanym przez morderców i kryminalistów. A już na pewno nie chcę, żeby wypowiadała je, kiedy w niej będę.

— Kane.

Skoro tylko wypowiadam je głośno, mam ochotę to cofnąć. Mogłaby je wykorzystać przeciwko mnie. Dowiedzieć się jakoś, kim naprawdę jestem. Wyciągnąć moją przeszłość i prawdziwą tożsamość, która musi pozostać pogrzebana. Jej przyjaciółka jest hakerką... Wyznanie Temperance prawdy czyni ze mnie kretyna.

— Kane — powtarza, jakby je wypróbował, i nagle nie mam już wrażenia, że to była zła decyzja. Nagle wydaje mi się, że to najlepsza decyzja, jaką podjąłem od cholernie dawna. — Podoba mi się.

Nie wiem, dlaczego jej aprobata ma dla mnie znaczenie, ale sprawia mi przyjemność.

Co, u diabła, jest ze mną nie tak? Już w chwili gdy zobaczyłem ją wtedy w tej biurowej scenie w klubie, wiedziałem, że wywróci moje życie do góry nogami, ale aż do tej pory nie uświadamiałem sobie, jak bardzo.

Naprawdę lubię tę dziewczynę.

Konsekwencje tego mogą być niewyobrażalne. Nie mogę mieć z ludźmi takich relacji jak wszyscy. Nie jestem jak zwykli ludzie. Nigdy nie miałem tego luksusu. Jasne, mógłbym się przeprowadzić na przedmieścia i machać rano na pożegnanie ruszającym do pracy sąsiadom, jednak po jakimś czasie zaczęliby zadawać zbyt wiele pytań i musiałbym wyjechać, żeby nigdy nie wrócić, a takie zniknięcia rodzą kolejne pytania. Dlatego jestem sam. Tak jest bezpieczniej i łatwiej.

— Dokąd mnie zabierasz, Kane?

Kiedy tylko Temperance zadaje to pytanie, znowu zmieniam zdanie. Jednak spieprzyłem sprawę. Może mnie zapytać o cokolwiek, a jeśli użyje przy tym mojego prawdziwego imienia, będę chciał powiedzieć jej prawdę.

Nie bądź głupi. Myśl głową, a nie kutasem. Postępuj tak, żeby pozostać przy życiu.

Odpowiadam w możliwie najprostszy sposób, jednocześnie mówiąc prawdę.

— Do mnie.

— Do bat-jaskini?

Uczucie paniki, które przeszło mnie parę sekund temu, zupełnie się ulatnia.

— Mam trochę fajnych rzeczy, ale niestety nie mam ukrytego podwodnego wejścia.

— Co za rozczarowanie. Ale skoro nie masz na imię Bruce, to jakoś to przeżyję.

— Dzięki.

— Ale musisz zawrzeć ze mną umowę. Jeśli kiedyś sprawisz sobie takie wejście, to będziesz musiał pozwolić mi je zobaczyć bez tej głupiej czapki na oczach.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udaje jej się zachować poczucie humoru, ale to też mi się w niej podoba.

— Umowa stoi.

— Dobrze. Może powinniśmy uścisnąć sobie ręce, żeby ją przypieczętować, a potem mógłbyś zdjąć

ze mnie tę głupią czapkę, zanim się uduszę.

— Nic z tego.

— Ale...

— Nie zakrywa ci ust. Nic ci nie będzie.

Prycha, wypuszczając powietrze z głośnym „pffft”. Kosmyk włosów podskakuje jej na szyi. Szyi, po której miałbym ochotę przeciągnąć językiem...

Cholera jasna. Naprawdę muszę przestać zauważać wszystkie tego typu szczegóły.

Tak jakby to było możliwe. Naprawdę zaczynam mieć obsesję na punkcie tej kobiety. *I to porządną.*

Rozdział 9

Temperance

Dziesięć minut później samochód zwalnia, a zmysły znowu mi się wyostrzają. Wcześniej nieco przytłumił je monotony szum autostrady i zaskakująco przyjazne milczenie między nami.

Skreca jeszcze kilka razy, nim zatrzymuje samochód, i słyszę otwierające się drzwi garażowe. Znowu rusza i po chwili dźwięk powtarza się. Zakładam, że wjechaliśmy do środka, kiedy Kane parkuje i wyłącza silnik.

— Czy jest tu Alfred? — pytam, ściągając czapkę ze spoczonej głowy bez czekania na pozwolenie. Nie wiem, dlaczego tak uczepiłam się żartów o Batmanie. Batman nie był płatnym mordercą ze skłonnościami do podglądactwa jak facet siedzący obok mnie. Z drugiej strony... może Bruce Wayne nieco przypomina Kane'a.

Kane. To imię pasuje do niego dużo bardziej niż Saxon, jednak mimo wszystko zastanawiam się, czy to kolejny pseudonim, czy imię rzeczywiście nadane mu po urodzeniu. Muszę się tego dowiedzieć.

— Nie ma Alfreda.

— Szkoda. — Obracam się dookoła, próbując dostrzec otoczenie przez przyciemniane szyby, jednak niewiele widzę. To, co jednak zauważam, wywołuje we mnie wybuch zazdrości. — *Rany*, ja chyba śnię!

Mam wrażenie, jakbym umarła i trafiła do nieba dla miłośników motoryzacji. Opada mi szczęka. Wsiadam z samochodu — przy okazji przekonując się, że miałam rację w kwestii pancernych drzwi. Są ciężkie jak cholera, ale to mnie nie spowalnia, bo czuję się zbyt podekscytowana.

Znajdujemy się w warsztacie, w którym stoi mnóstwo zupełnie odnowionych i będących w idealnej kondycji starych samochodów. Scouty, bronco, land cruisery, hummery, jeepy i o wiele więcej.

— To jest prawdziwe? Czy też uśpiłeś mnie i śnię o rajach?

Podłoga pomalowana jest na czarno, przez środek przechodzą czerwone rajdowe pasy. W rogu znajdują się dwa podnośniki hydrauliczne oraz tyle skrzynek z narzędziami i samych lśniących narzędzi, że mogłyby stanowić mokry sen każdego mechanika. Obok rozciągają się jakieś hektary półek z częściami samochodowymi.

— Podoba ci się?

Odwracam się w jego stronę.

— Żartujesz sobie? To... To musi być jedna z największych prywatnych kolekcji starych samochodów z napędem na cztery koła w całym kraju!

Jeden kącik jego ust unosi się.

— Tak naprawdę to na świecie.

— Chyba się zakochałam.

Drugi kącik też się unosi.

— A więc tego było trzeba.

— W samochodach! — doprecyzowuję szybko.

Obrzuca swoją kolekcję takim spojrzeniem, jakim król mógłby spoglądać na wiernych poddanych.

— Ile ich jest?

— Tutaj? Sto czternaście. Ale w sumie mam ich ponad czterysta.

Prawie się dławię z wrażenia.

— Jak to?

— Mokra robota popłaca.

Można by się spodziewać, że wzmianka o tym, że za zakup i odnowienie tych pięknych samochodów zapłacił pieniędzmi brudnymi od krwi, nieco przygasi mój entuzjizm... ale to nie byłaby prawda.

— Czy to jest twoje oficjalne zajęcie? Sposób, w jaki pierzesz pieniądze?

Wzrusza ramionami.

— Coś w tym rodzaju. Chodź — mówi, ruszając z miejsca.

Nie mogę oderwać spojrzenia od samochodów i wyciągam rękę, żeby pogłodzić tył lusterka jednego z nich. Chrom jest nieskazitelny, tak jakby samochód przed chwilą zjechał z taśmy produkcyjnej.

— Temperance. — Moje imię odbija się echem w gigantycznym warsztacie. On zatrząskuje klapę bagażnika scouta na tyle głośno, że zwraca moją uwagę. W jednej ręce trzyma walizkę, na ramię zarzucił torbę.

Powinam powiedzieć, że Kane trzyma moje bagaże. *On ma imię.*

Wraca do mnie wcześniejsze pytanie.

— Czy Kane to twoje prawdziwe imię, czy kolejny pseudonim?

Zadaję mu tyle pytań z paru powodów. Po pierwsze, ponieważ informacja to władza. Po drugie dzięki temu nie myślę o moim bracie. Gdyby Mount nie rozkazał mi robić tego, co każe Kane, domagałabym się, żebyśmy natychmiast spróbowali odnaleźć Rafe'a. Zamierzam jednak poczekać z tym żądaniem jeszcze parę minut, ale potem mu nie odpuszczę.

— Czy to ważne?

Stawia walizkę na kółeczkach i otwiera drzwi windy towarowej. Nigdy nie widziałam takiej w prawdziwym życiu, jedynie na filmach.

Wchodzę do środka i patrzę, jak zamyka drzwi i wciska guzik z oznaczeniem drugiego piętra.

— Wiesz, jak ja się nazywam, więc wydaje się ważne.

Spogląda na mnie z ukosa.

— Nie dlatego, że cię przeleciałem?

— Nawet mi nie przypominaj.

Mówię poważnie, bo jeśli powie coś więcej, to zacznę myśleć o tym, jak bardzo chciałabym, żeby to zrobił znowu. *A to nie może się stać.* Nie tylko dlatego, że jest płatnym zabójcą, ale również dlatego, że muszę się skoncentrować na moim bracie.

Niesamowity zapach, który w tej chwili wyczuwam od Kane'a w niewielkiej zamkniętej przestrzeni, przypomina mi, że nie wszystko w nim jest okropne.

Winda zatrzymuje się. Kane zamiera na chwilę, nim zacznie otwierać drzwi windy.

— Tak, to moje prawdziwe imię.

W tym wyznaniu kryje się coś więcej... Tak jakby chciał mi powiedzieć, że muszę strzec jego prawdziwego imienia nawet za cenę własnego życia, bo naprawdę narobiłabym mu poważnych problemów, gdybym je komukolwiek zdradziła.

Powinam pobiec na policję z tą informacją, na przykład do męża Valentyny... albo choćby do Ariel. Ale nie chcę tego robić nie tylko dlatego, że zapewne mąż mojej szefowej osobiście wydałby na mnie wyrok, gdybym ich w jakiś sposób w to wplątała. Praca dla Keiry ma coś wspólnego z dorastaniem na bagnach — sami załatwiamy nasze sprawy, nie dopuszczając do nich nikogo z zewnątrz.

Ta myśl przelatuje mi przez głowę, gdy robię pierwszy krok i wysiadam z windy.

O. Mój. Boże.

— Jasna cholera — szepczę.

Moja rzeźba stoi wyeksponowana w wejściu do olbrzymiej otwartej przestrzeni mieszkalnej.

Moja rzeźba. W jego domu.

Odrywam wzrok od metalu i spoglądam Kane'owi w twarz. On wciąż patrzy na rzeźbę, jakby nadal ją podziwiał, co wywiera na mnie większe wrażenie, niż chciałabym przyznać.

— Musiałem ją kupić. Nie mogłem tego nie zrobić.

— Czy wiedziałeś... — zaczynam, ale tracę odwagę.

— Co?

Zmieniam pytanie.

— Czy wiedziałeś, że to nie jest dzieło Gregora Standisha?

— Nie obchodziło mnie, kim jest autor, po prostu musiałem ją mieć.

Duma sprawia, że unoszę podbródek wyżej i odważam się wyznać prawdę.

— To moja rzeźba.

Odwraca się i patrzy na mnie zmrużonymi oczami.

— Co masz na myśli?

— Ja ją stworzyłam. To moje dzieło.

Spogląda na mnie, na rzeźbę i znowu na mnie, jakby nagle zobaczył mnie w nowym świetle i podoba mi się to bardziej, niż byłoby mądrze lub zdrowo.

— Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałem?

Wzruszam ramionami jak gdyby nigdy nic.

— Niewiele osób o tym wie. To była pomyłka, ta rzeźba nie miała być wystawiona na aukcję.

— Nie zamierzam jej zwracać — oznajmia Kane, mrużąc oczy. — Jest moja.

Coś w tym wojowniczym stwierdzeniu rozpala ogień w moim podbrzuszu. Przełykam ślinę, próbując to zignorować.

— Nie prosiłabym o to. Pieniądze poszły na szczytny cel.

Wyraz jego twarzy staje się nieprzenikniony. Odchrząkuje.

Przez chwilę stoimy w milczeniu, oboje zapatrzeni w moją rzeźbę. Widzę w niej teraz niedociągnięcia. Niektóre spawy mogłyby być lepsze. Niektóre kawałki równiej przycięte. Widzę ostrą krawędź, która przecięła mi dłoń, gdy wyciągnęłam ten kawałek metalu ze złomu.

— Teraz jestem lepsza. Mogę zrobić lepszą rzeźbę — oznajmiam. Nie wiem, co mnie opętało, jednak Kane znowu zwraca się do mnie.

— Możesz to rozwinąć?

— Jedna z galerii w Dzielnicy Francuskiej zleciła mi kilka rzeźb. Muszę nad nimi popracować w tym tygodniu. Chcę rozwijać swoje umiejętności, stawać się coraz lepszą. Ludzie będą płacić za moje rzeźby.

— Ja zapłaciłem za tę.

— Ale ona nie była przeznaczona na sprzedaż. Po prostu... bawiłam się. Tę część mogłabym pospawać lepiej. — Wskazuję na fragment rzeźby, który mnie irytuje.

— Te niedoskonałości sprawiają, że jest wyjątkowa. Nie przeprasza za nie.

Chłonę jego słowa, podczas gdy on odstawia moją torbę na stolik przy windzie.

— Chodź, oprowadzę cię, jeśli masz ochotę.

Chwytam okazję, żeby nie zrobić czegoś głupiego, na przykład nie rzucić się na niego.

— Zrezygnować z szansy obejrzenia bat-jaskini? Nigdy!

Znowu chrząka i prowadzi mnie przez olbrzymie, przestronne wnętrza. To otwarta przestrzeń. W dwóch ścianach znajdują się wielkie okna przyciemnione tak, że z zewnątrz nie można niczego zobaczyć.

— Co tu kiedyś było?

— Magazyn.

— Wiem, że nadal jesteśmy w Nowym Orleanie, więc jeśli chcesz się upewnić, że nigdy nie dowiem się, gdzie mieszkasz, to zapewne ci się to nie uda.

— Cóż, mogę próbować.

— Zapominasz, że mam GPS w telefonie — stwierdzam zadowolona, że udało mi się znaleźć lukę w jego planach.

Unosi do góry kącik ust.

— Nie działa w promieniu pół kilometra od tego budynku, ale niezły pomysł, księżniczko.

Wzruszam ramionami, jakby to było nic takiego, po czym rozglądam się po dużej kuchni, w której ciągną się jakieś kilometry granitowych blatów. Różne urządzenia równie dobrze mogłyby mieć na sobie ceny, bo aż krzyczą, że były *bardzo drogie*.

— Naprawdę jesteś dziany, prawda? — To głupie pytanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę komentarz, który wygłosił na dole odnośnie samochodów.

— Nie narzekam. — Wskazuje gestem kuchnię. — W lodówce i szafkach jest jedzenie, bierz, co chcesz. Jeśli masz ochotę gotować, to też się nie krępuj. Jeśli masz ochotę na coś, czego nie mam, powiedz mi.

Nie czeka na moją odpowiedź, lecz kieruje się w stronę strefy dziennej.

— Salon. Telewizor jest podłączony do satelity i wszystkiego innego, o czym mogłabyś zamarzyć. — Idzie dalej w kierunku szerokich schodów. — Sypialnie i łazienki są na najwyższym piętrze.

Chłonę wszystko, co widzę. Wystrój jest zdecydowanie industrialny, co pasuje do tego wnętrza. Czarne skórzane kanapy wyglądają na wygodne. Aż zachęcają, żeby zwinąć się w kłębek i uciąć sobie drzemkę. To znaczy, gdyby gdzieś były jakieś poduszki i koc, jednak w tym miejscu brakuje kobiecej ręki.

Żadne ze zdjęć w ramach nie przedstawia ludzi, jedynie zabytki z różnych stron świata. Obok oprawionych fotografii wiszą na ścianach płótna, maski i broń. Zastanawiam się, czy sam robił te zdjęcia.

Na półkach leży mnóstwo przedmiotów, których przeznaczenia nie mogę nawet odgadnąć. *Pamiętki z podróży?*

Kane podchodzi do wysokiej szafki z metalu i drewna.

— Chcesz coś do picia? — pyta, nalewając sobie do szklaneczki czegoś, co wygląda jak whiskey, bez lodu.

Biorąc pod uwagę, jaki miałam dzień, nie zamierzam odmawiać, chociaż zwykle mocne trunki nie leżą w moim guście.

— Podwójną. — Zawsze chciałam to powiedzieć.

Kane nalewa i niesie szklaneczki w stronę stolika przy sofie. Kiwa w moją stronę brodą, jakby mnie przywołując. Ponieważ ma alkohol, idę. Biorę od niego szklaneczkę i zanim zdążę ją unieść do ust, on trąca jej brzeg swoją.

— Wiem, że to dalekie od ideału, ale wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Temperance.

Te życzenia przypominają mi o wszystkim, co jest nie tak w moim życiu... to znaczy *po prostu o wszystkim*. Spoglądam na rzeźbę w wejściu i poprawiam się w myślach. *Prawie wszystkim*.

— Dziękuję. — Mój głos nadal brzmi szorstko.

— Powiedz mi, co Rafe mówił ci, zanim zniknął.

Obejmuję szklanekę obiema dłońmi, po czym zapadam się w luksusową skórzaną sofę. Pytanie przypomina mi o tym, co najważniejsze — o moim bracie.

— Że dostał jakąś dużą robotę. I niebezpieczną.

— Nie podał żadnych szczegółów?

— A czy ty podałyś je swojej siostrze? — pytam, pociągając łyce. Ciepło rozlewa mi się na języku.

— Gdybym miał siostrę, dopilnowałbym, żeby nic złego nie mogło mieć do niej dostępu.

A zatem nie ma siostry.

— Aby to zrobić, Rafe musiałby całkowicie zerwać ze mną kontakt, a tego nigdy bym mu nie wybaczyła. — Czuję, jak zalewa mnie fala emocji, a łzy zaczynają palić pod powiekami. — I tak nigdy nie wybaczę temu durniowi, że tak głupio naraził swoje życie.

Kane wyciąga dłoń i przykrywa nią moje kolano.

— To dorosły mężczyzna i niegłupi. Wie, co robi. — Ścisną moje kolano, ale zauważam, że nie czyni żadnych obietnic, że sprowadzi Rafe'a bezpiecznie z powrotem.

— To dlaczego postanowił kogoś wydymać? Musiał wiedzieć, że to nie może się dobrze skończyć.

Kane zaciska usta.

— Twój brat nie zadaje zbyt wielu pytań przed przyjęciem zlecenia, zwłaszcza jeśli cena jest wysoka. Pociągam kolejny łyk alkoholu i czuję, jak wypala mi ścieżkę do żołądka. Odchylam głowę do tyłu na poduszkę i przymykam oczy.

— Albo jest głupi, albo chciwy. To dwa powody, dla których mógłby spieprzyć coś takiego, prawda?

Kane kiwa głową.

— A więc który z tych dwóch?

— Nie mogę powiedzieć, zresztą jest jeszcze inna możliwość.

— Jaka?

— Że natrafił na granicę, której nie chciał przekroczyć.

Prycham.

— Jasne. Facet, który przemyciłby wszystko za odpowiednią cenę, nagle odnajduje w sobie sumienie.

Kane spogląda na mnie dziwnie.

— Sądzisz, że twój brat przemyciłby wszystko?

— Tak zakładam.

Kane potrząsa głową.

— Przede wszystkim, z tego, co wiem, Kane nie przyjmuje każdej proponowanej roboty. Może wybierać, tak samo jak ja. Nawet jeśli dużo pracuje, jest wybredny.

Nie wiem, czy to sprawia, że czuję się lepiej lub gorzej.

— A zatem jaki będzie nasz następny krok? Zabić ludzi, którzy planują zabić jego? Znaleźć go, zanim oni go dopadną?

Kane wychyla szklankę do końca.

— Najpierw musimy trochę pokopać, a potem będziemy działać.

Ta wymijająca odpowiedź wcale mnie nie uspokaja.

— Jak długo, patrząc realistycznie, Rafe będzie jeszcze bezpieczny? Powiedziałeś, że masz kontrakt na wyłączność na trzydzieści dni, a potem co?

Rozdział 10

Kane

Temperance to anomalia. Spodziewałem się, że będzie płakać i błagać, żebym odnalazł jej brata, oferować *wszystko*, czego zapragnę, bylebym tylko sprowadził go bezpiecznie z powrotem i to natychmiast. To, że tego nie robi, mnóstwo mi o niej mówi.

Po pierwsze ma o wiele większą świadomość tego, jak funkcjonuje świat Rafe'a, niż sobie to uświadamiałem, chociaż wiem, że Rafe stara się ją trzymać od tego z dala. Jej pytania są inteligentne i konkretne.

Wszystko to sprawia jedynie, że pragnę jej jeszcze bardziej.

Przez ostatnie piętnaście lat zdołałem sobie wmówić, że żadna istniejąca na tym świecie kobieta nie byłaby w stanie pasować do mojego życia lub zaakceptować tego, co robię, chyba że sama zajmowałaby się czymś podobnym. Nie powinienem myśleć, że być może Temperance byłaby dla mnie odpowiednia... jednak na podstawie dotychczas uzyskanych informacji nie jestem w stanie się przed tym powstrzymać.

— To zależy. Rafe potrafi zniknąć. Zna te bagna lepiej niż większość ludzi i powiedziałbym, że jeśli nie zechce zostać odnaleziony, to nie będzie przez cholernie długi czas.

Pociera twarz.

— A więc jak to działa? Co jest największym zagrożeniem?

Postanawiam odpowiedzieć wprost.

— Jeśli nie będą mogli dopaść Rafe'a, spróbują wykorzystać ciebie, żeby go wywabić z kryjóWKi. Zabiją was oboje. Jeśli znajdą go, zanim wymyślimy jakiś plan, to zabiją.

— W takim razie jaki jest plan? Albo kiedy zamierzasz go opracować?

— Pracuję nad tym.

— Nie chcę podawać w wątpliwość twoich umiejętności, ale wygląda na to, że mnóstwo kwestii jest jeszcze nierozstrzygniętych...

— Tak jest, ale Mount zadzwonił do mnie, żebym zadbał o twoje bezpieczeństwo. Nie jesteś w to wplątana i nie ma potrzeby, żebyś cierpiała z powodu tego, co zrobił twój brat.

— Ale musisz zadbać również o jego bezpieczeństwo. Ja nie mogę... nie mogę go stracić. Tylko on mi został.

Nie mogę jej powiedzieć, że szanse na szczęśliwe zakończenie są naprawdę bardzo niewielkie.

— Nie możesz po prostu zabić tych złych, a wtedy Rafe mógłby wrócić?

Spoglądam jej w oczy.

— Zadbamy o to, żebyś nie wpadła im w łapy, a ja popracuję nad Rafem. Tylko tyle mogę zrobić.

Gdy wychyla resztę whiskey, wstaję i biorę karafkę, żeby mu dolać, po czym nalewam również sobie.

— I to jest ten plan? Siedzieć i czekać? Dlaczego ich nie wysledzić?

Nie odpowiadam i jakoś sama do tego dochodzi.

— Och, poczekaj, nikt ci za to nie płaci...

— Za to też nikt mi nie płaci. Mount jest mi teraz winien przysługę.

— Wiesz, o co mi chodzi.

Oboje popadamy w milczenie. Sączymy w ciszy alkohol, pogrążeni w podobnych rozmyślaniach.

— Nie mogę złożyć żadnych obietnic. Zrobię, co będę mógł, i koniec końców postaram się zapewnić ci bezpieczeństwo.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. W końcu uświadamia sobie, że niczego więcej ze mnie nie wydusi, więc kiwa głową.

— Okej.

Teraz muszę szybko zmienić temat, zanim zacznie się jeszcze bardziej tym zamartwiać. Dziś wieczorem żadne z nas nie może nic więcej zrobić. Rozesłałem wici, gdzie trzeba, a teraz czekamy.

— Jak to się stało, że zaczęłaś robić rzeźby z metalu? — pytam.

To pytanie dręczyło mnie, odkąd przyznała mi się, że to ona jest autorką rzeźby, którą kupiłem. I tak wsparłbym finansowo Dom Marii, ale ta rzeźba naprawdę mnie urzekła. Gdy ją zobaczyłem, wiedziałem, że muszę ją mieć. Kiedy dowiedziałem się, że Temperance ją stworzyła, zarówno rzeźba, jak i jej autorka jeszcze urosły w moich oczach.

Temperance opuszcza wzrok na szklaneczkę, jakby znajdujący się w niej płyn stanowił najbardziej fascynującą rzecz na świecie.

— Gdy dorasta się w takim miejscu, jak ja, nie ma zbyt wielu możliwości, żeby się czymś zająć. Rafe kochał polować, łowić ryby i włóczyć się po bagnach. Opowiedział mi o sześciometrowym aligatorze, którego kiedyś spotkał, i to mnie śmiertelnie przeraziło. Przez długie miesiące nie odważyłam się wsiąść do łodzi, niezależnie od tego, jak bardzo mój ojciec na mnie krzyczał. Zamiast tego kręciłam się wokół jego warsztatu i zbierałam kawałki metalu, złom, a potem zaczęłam je ze sobą łączyć i robić różne rzeczy. Gdy byłam starsza, nauczyłam się lutować i spawać, i to wszystko jakby zaczęło być własnym życiem. Nigdy nie planowałam sprzedawać swoich rzeźb. Nawet nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby chcieć zapłacić, zwłaszcza tyle pieniędzy, za coś takiego.

Myślę o tym, ile skłonni byli zapłacić inni licytujący. Zdecydowanie istnieje rynek na prace Temperance. Nie ma co do tego wątpliwości.

— A teraz, gdy już coś sprzedałaś? Jak to wpłynie na twoją pracę w Seven Sinners?

Spogląda na mnie spod długich ciemnych rzęs.

— Jestem dość pewna, że to klasyczny przykład, że nie powinno się porzucać dobrej stałej pracy. — Uśmiecha się jakoś krzywo.

— Ale nie wygląda na to, żebyś szczególnie lubiła swoją pracę — mówię, a w duchu dodaję: „Nie rozjaśniasz się tak cała, mówiąc o swojej pracy, jak kiedy opowiadasz o sztuce”.

— Tylko niektórych rzeczy nie lubię — poprawia mnie.

— A więc nawet gdybyś zarabiała dostatecznie dużo na sprzedaży rzeźb, nadal pracowałabyś w destylarni?

Milknie na chwilę, jakby w ogóle się nad tym wcześniej nie zastanawiała.

— To nie jest pewne źródło dochodów. A poza tym nie jest to równie szanowana praca, co bycie dyrektorką operacyjną.

Jej odpowiedź naprawdę mnie zaskakuje.

— Szanowana? Naprawdę cię to obchodzi?

Mruży oczy.

— Spróbowałbyś sam urodzić się jako śmieć z bagien, a potem mi mówić, jak to jest.

Aaaach. Właśnie kolejny kawałek fascynującej układanki, jaką jest Temperance Ransom, wskakuje na swoje miejsce.

— A więc nadal wykonywałabyś pracę, której nie lubisz, zamiast robić to, co naprawdę kochasz, tylko z powodu tego, co ludzie na ten temat myślą?

— Nie rozumiesz. — Pociąga kolejny łyk.

— Nie, nie rozumiem. W końcu sam nie mam pracy, którą otacza się szacunkiem, i w ogóle mi to nie przeszkadza. Pieprzyć bycie szanowanym i to, co myślą inni. Posiadanie szanowanej pracy nie czyni nikogo dobrym człowiekiem.

Rozdział 11

Temperance

Odpowiedź Kane'a naprawdę mną wstrząsa. On jest *płatnym zabójcą*. Zarabia na życie, zabijając. Jak może nie przejmować się, co ludzie o tym myślą? Co prawda nie sądzę, żeby wielu ludziom o tym mówił, ale i tak...

— Cóż, zapewne masz trochę racji.

Nic na to nie odpowiada, po prostu w zamyśleniu sący alkohol. Co uznaję za dobry pomysł i robię to samo.

Po chwili moja szklaneczka jest pusta i czuję, jak rozgrzewający bourbon krąży mi w żyłach, sprawiając, że jestem o wiele bardziej rozluźniona. *Może to dlatego ludzie piją? Alkohol usuwa wszystkie złe rzeczy.*

Zazwyczaj wystarcza mi kieliszek wina, więc kilka szklanek mocnego alkoholu od razu uderza mi do głowy.

— Powinieneś mieć tu Alfreda — wypalam.

Wyrywa mu się wybuch chrypliwego śmiechu.

— Skąd ta obsesja na punkcie Batmana?

— Nie mam obsesji na punkcie Batmana, po prostu to miejsce i ta sytuacja wydają mi się surrealistyczne, więc gdybyś na dodatek miał lokaja z brytyjskim akcentem, mogłabym uwierzyć, że po prostu mi się to śni.

Wyjmuje szklanekę z mojej dłoni.

— Chyba już dość wypiałś.

— To nawet nie smakowało tak źle.

— Gdybyś wiedziała, ile kosztowało, pewnie utknęłoby ci w gardle. — Śmieje się.

— Albo miałabym naprawdę wyrzuty sumienia, gdybym splunęła tym prosto na ten piękny dywanik.

Kto urządził to miejsce?

Rozglądam się po przestronnym wnętrzu — które zarazem ma męski charakter, wydaje się przyjazne i funkcjonalne z wyeksponowanymi przewodami, metalowymi i drewnianymi podporami, kosztownymi nowoczesnymi meblami i mahoniowo-kremową kolorystyką.

— Sam to zrobiłem.

— Nieźle! — Chociaż z drugiej strony chyba nie powinnam być zaskoczona, biorąc pod uwagę, że zapewne nie mógł po prostu zatrudnić architekta wnętrz, żeby urządził mu tajną kryjówkę. *Chociaż i tak „bat-jaskinia” brzmi lepiej.* Zwłaszcza teraz, kiedy jestem wstawiona.

— Jeszcze jednego — proszę, nie chcąc, by uczucie podchmielenia minęło. Czuję ciepło i jestem w stanie nie zamartwiać się rzeczami, które są poza moją kontrolą, przez kolejną godzinę czy dwie. I tak dostatecznie szybko dopadnie mnie rzeczywistość.

— Zdawało mi się, że nie pijesz.

Przewracam oczami.

— Naprawdę wierzysz w zasadę *nomen omen*? To, że moje imię oznacza „umiarkowanie”, jeszcze niczego nie przesądza.

— Nie, ale nie widziałem, żebyś kiedykolwiek zaglądała do baru w klubie, żeby się napić.

— Nawet nie wiedziałam o barze, dopóki Magnolia mi go nie pokazała. A poza tym odniosłam wrażenie, że kręcą się tam jakieś podejrzanе typki.

Ściąga brwi.

— Kto?

— Jakiś facet, który nazywa się Giles. Wydawał się straszliwie pretensjonalny. W ogóle zdziwiłam się, że Magnolia zwróciła się do niego po imieniu, sądziłam, że to w klubie zabronione.

Twarz Kane'a przybiera jakiś dziwny wyraz, który znika, zanim zdążę zinterpretować jego znaczenie. Nie żebym była w swojej najlepszej formie, albo w ogóle była szczególnie dobra w odczytywaniu jego wyrazu twarzy.

A chciałabym być.

Ta myśl wstrząsa moim światem w posadach. Już i tak muszę sobie poradzić z faktem, że naprawdę pożądam mężczyzny, który jest zabójcą, a teraz uświadamiam sobie, że na dodatek najwyraźniej zaczynam go *lubić*. Nie powinnam chcieć poznawać go bliżej.

Mój racjonalny umysł natychmiast podsuwa mi kontrargument. *Twój brat jest przestępcą i najwyraźniej wkurzył jakichś naprawdę złych ludzi. Czy to sprawia, że mniej go kochasz?*

Trafione, trzeba przyznać.

— Gdybym potrafił czytać w myślach... — Jego głęboki głos wyrывa mnie z rozmyślań.

— To co?

— Mógłbym się dowiedzieć wielu interesujących rzeczy, gdybym umiał odczytać twoje.

Potrząsam głową, jednak nadal nie mogę zapomnieć o poprzedniej myśli: naprawdę mogłabym go *polubić*. *Ale nie mogę sobie na to pozwolić.*

Kłamię zatem... co dzisiaj jakoś często mi się zdarza w jego towarzystwie.

— Nie sędzę. Zazwyczaj nie dzieje się tam nic ciekawego.

— Na pewno nie, biorąc pod uwagę, jak często musisz wyobrażać mnie sobie nago — mówi, uśmiechając się łobuzersko.

Widzę w myślach, jak z tym samym uśmiechem zbliżał się do mnie w klubie, i mamrocze pod nosem:

— Teraz już tak.

Jego brwi unoszą się i czuję, jakbym spadała niczym Alicja w głąb króliczej nory. Jest zdecydowanie zbyt atrakcyjny i nie mogę przestać myśleć o tym, co kryje się pod tymi idealnie skrojonymi spodniami i wszystkimi guzikami do rozpięcia.

Naprawdę powinnam przestać o tym myśleć. Muszę przestać o tym wszystkim myśleć... zwłaszcza o tym, jak sprawnie posługiwał się dłońmi, ustami i swoim...

Przechylałam szklankę i wychylałam zawartość do końca.

— Przyhamuj trochę.

Ignoruję go i znowu dolewam sobie alkoholu. Nigdy nie byłam typem, który topi smutki w butelce, ale zaczynam rozumieć popularność tego rozwiązania.

Masz problem? Napij się, a twój mózg zacznie działać wolniej i wszystko wyda ci się mniej dotkliwe. Nadal masz problem? Dolej sobie albo po prostu upij się do nieprzytomności i zapomnij o wszystkim.

Przez chwilę zdrowy rozsądek dochodzi do głosu i przypominam sobie, że znajduję się w towarzystwie zabójcy. *Zabójcy o najbardziej niesamowitych oczach, jakie w życiu widziałam, i doskonałym guście w kwestii sztuki.*

Przestaję wpatrywać mu się w oczy i podchodzę do stojącego w rogu słupa totemicznego, na którego szczycie wyrzeźbione są orli dziób i rozpościerające się na boki skrzydła.

— Opowiedz mi o swojej kolekcji sztuki, wydaje się dość eklektyczna. — Z trudem udaje mi się wymówić ostatnie słowo, ale jednak udaje. Ledwo.

— Jestem człowiekiem o eklektycznych gustach — stwierdza sugestywnie, tak jakbyśmy nie rozmawiali jedynie o jego gustach dotyczących sztuki.

— Masz na myśli, że w tym samym czasie posuwałeś brunetkę, blondynkę i rudą? — wyrывa mi się, jednak w swoim stanie nie zamierzam tego cofnąć. Od tej nocy, gdy mnie wystawił do wiatru, męczyło mnie pytanie: *czy był wtedy z inną kobietą?*

Teraz uświadamiam sobie, że prawdopodobnie nie, ale nie mam na to żadnych dowodów. Czy to nie dziwne, że wolałabym, żeby w tym czasie kogoś zabijał, niż uprawiał seks z inną kobietą?

Naprawdę coś jest ze mną nie tak.

Znowu się śmieje, tym razem mniej chropawo.

— Tylko jedną uroczą brunetkę. — Jego głos rozlega się tuż przy moim uchu i czuję na plecach ciepło przesączające się przez bluzkę.

Odwracam się w jego stronę.

— Jak to możliwe, że poruszasz się tak cicho? To przerażające. Jakbyś był Edwardem Cullenem. —

Urywam, czując, że moja wyobraźnia zaczyna pracować na pełnych obrotach. — Jesteś wampirem?

Jego twarz łagodnieje. Kane odrzuca głowę do tyłu i wypełnia całą tę wielką otwartą przestrzeń śmiechem.

— Jesteś jedyna w swoim rodzaju, Temperance, naprawdę — mówi i chłoneń ten komplement niczym słońce po burzy. — Jeszcze jakieś pytania?

Otwieram usta, żeby zadać kolejne z długiej listy, jednak on kładzie mi palec na ustach.

— Nieważne. Już znam odpowiedź. Powiem ci to, co będę mógł... w odpowiednim czasie. — Urywa i jego lodowatoniebieskie oczy rzucają błyskawice. — Ale podoba mi się to, że byłaś zazdrosna.

— Wcale nie byłam zazdrosna.

— Kłamczucha.

Przesuwa po mojej dolnej wardze palcami, a ja wysuwam język, żeby je polizać.

— Grasz w bardzo niebezpieczną grę, Temperance.

Podoba mi się, że wypowiada moje imię. Z jakiegoś powodu dzięki temu czuję się pewniej, jakbyśmy nie byli już dwójką zupełnych nieznajomych. On wie, kim jestem i skąd pochodzę, i nadal patrzy na mnie w taki sam sposób jak wcześniej — jakby chciał mnie schrupać.

— Nie słyszałeś? Moje życie jest niebezpieczną grą. — Nie wiem, skąd się u mnie wziął ten seksowny, zdyszany głos. Przymykam powieki i pochylam się w jego stronę. Moje wargi czekają na dotknięcie jego ust...

...które jednak nie nadchodzi.

Otwieram oczy i wpatruję się w niego. Jego rysy przestały układać się w wyraz pełen pożądania, zamiast tego twarz przypomina kamienną maskę.

— Nie powinno tak być. Powinnaś być bezpieczna. Niech szlag trafi twojego brata za to, że cię w to wciągnął. Niech szlag trafi mnie za to, że ośmieliłem się do ciebie zbliżyć. Obydwu nas należałoby zastrzelić.

Wszelkie pozytywne uczucia, które wypełniały mnie jeszcze przed chwilą, ulatniają się bez śladu i to mnie wkurza. *Podobało mi się, gdy się tak czułam.*

Stukam go w pierś palcem.

— Zsiądź z tego wysokiego konia. Wiem, kim jesteś, i jakoś nie uciekam gdzie pieprz rośnie, ponieważ... *wcale się ciebie nie boję.* — Podkreślam każde słowo, dźgając go palcem w pierś.

Znowu ciska błyskawice oczami i zaciska szczęki.

— Niech tak będzie.

Zanim zdążę zrozumieć, co się dzieje, porywa mnie w ramiona i rusza w kierunku schodów. Świat wiruje. Obejmuję go ramionami za szyję. Kane jest niczym skała, jedyny stabilny punkt w wirującym chaosie wokół mnie.

Górne piętro jest ciemne, jednak on porusza się z pewnością siebie. Nie zdziwiłabym się, gdyby potrafił widzieć w ciemnościach. Kiedy stawia mnie na nogi, spodziewam się, że będziemy w sypialni, jednak zamiast tego znajdujemy się w pomieszczeniu pełnym szkła i luster.

Łazienka?

Włącza przyćmione światła i dostrzegam coś, co chyba jest kabiną prysznicową. Kane wchodzi do środka i przyciska jakieś guziki. Po chwili z dysz zaczyna wydobywać się para.

Mimo wzrastającej temperatury pomieszczenia czuję, że sutki prężą mi się na baczność. Łechtaczka zaczyna pulsować. Najwyraźniej moje zahamowania zostały splukane przez alkohol, bo sięgam do zapięcia bluzki.

On odsuwa moje ręce i sam rozpina mi guziki jeden po drugim.

— Gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak wchodzisz do tamtego pokoju, poczułem, jakby ktoś walnął mnie młotem prosto w pierś.

Unoszę wzrok i spoglądam mu w oczy.

— A gdy uświadomiłaś sobie, co się dzieje w pokoju obok? Nigdy w życiu nie widziałem niczego równie podniecającego. Jak bardzo pragnęłaś wtedy się dotykać?

Nie mogę nawet opisać, jak bardzo, zwłaszcza gdy on patrzy na mnie w ten sposób.

Rozpina mi ostatni guzik i zsuwa jedwabny materiał z ramion. Pozwalam, żeby bluzka opadła na podłogę.

— Chciałem patrzeć, jak się dotykasz, obserwując ich. Naprawdę wymagało ode mnie całej samokontroli, żeby ci to przerwać.

Dłonie wędrują mi do guzików dzinsów, ale Kane już się nimi zajmuje. Zsuwa mi spodnie z nóg i staje przed nim, umierając z pragnienia, żeby dotknął mnie znowu.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Bo w chwili, w której zaczęłabyś się dotykać, przyparłbym cię do biurka...

Moje sutki twardnieją, gdy wyobrażam sobie, że mógłby wtedy wyjść z cienia i posiąść mnie jak tamten mężczyzna swoją kobietę. Obraz tego, jak pieprzył ją w usta, pojawia się w mojej głowie. Pragnęłam tego. Teraz pragnę tylko swojego nieznajomego.

Już nie jest nieznajomym... Pragnę Kane'a.

Podnosi się z klęczek przede mną. W dzinsach i koszulce wygląda jeszcze lepiej niż tamtej nocy w garniturze. Rękawy opinają mu się na bicepsach i mam ochotę wodzić językiem po konturach widocznych tatuaży, i ściągnąć ubranie zakrywające pozostałe. Kane jest potężny i stanowi zakazany owoc, co czyni go w moich oczach nieskończenie bardziej pociągającym. Trafiło mnie tak mocno, że jestem zupełnie wytracona z równowagi.

Jest niebezpiecznym człowiekiem. Nie powinnam czuć do niego pożądania, nie powinnam pragnąć go bardziej niż powietrza, ale jest inaczej. I z jednej strony mam ochotę rzucić mu całą samokontrolę do stóp, z drugiej jednak hamuję się resztkami sił, mówiąc sobie, że to ważne.

Robię krok w stronę buchających kłębow pary i sięgam za siebie, żeby rozpiąć biustonosz, a następnie ściągam go i rzucam na podłogę.

— Teraz też chcesz na mnie patrzeć, prawda?

— O tak.

Jego głos jest pełen napięcia i takiego pożądania, jakie wypełnia teraz moją głowę. Czuję przyływ poczucia władzy, gdy ściągam majtki, a następnie odnajduję dłońią drzwi do kabiny prysznicowej i otwieram je. Zanurzam się w parze, a ciepło intensyfikuje jeszcze wszystko, co już czuję.

— Ja też chcę patrzeć, jak się dotykasz — Od tamtej pierwszej nocy myślałam o tym częściej, niż chciałam się do tego przyznać.

Pozwalam drzwiom się zamknąć i cofam się, aż natrafiam plecami na wyłożoną kafelkami ścianę. Wilgoć sprawia, że włosy wokół twarzy zwijają mi się w ciasne loczki. Przesuwam palcami wzdłuż obojczyków, wywołując rozkoszny dreszcz przechodzący po ciele.

W jego oczach pojawia się błysk i mam poczucie, jakbym drażniła dzikie zwierzę. Uderza mi to do głowy bardziej niż alkohol.

— Chyba naprawdę lubisz niebezpieczne gry, bo teraz właśnie w taką grasz. — Jego głos staje się niższy, bardziej szorstki, jakby ta sytuacja działała na niego równie silnie, co na mnie.

Chcę, żeby dla mnie płonął. Chcę, żeby stracił panowanie nad sobą. Co by się stało, gdyby przestał się hamować i po prostu mnie *wziął*?

— Dopiero zaczynam. Możesz się przyłączyć, kiedy tylko będziesz miał ochotę. — Dotykam sutków i stają się jeszcze twardsze, chociaż sądziłam, że to niemożliwe.

Nozdrza Kane'a rozszerzają się, po czym sięga za głowę i ściąga z siebie koszulkę. Rzuca ją na podłogę i spogląda mi w oczy, jakby mówiąc, że kolejny ruch należy do mnie.

Dobry Boże, on jest naprawdę niemożliwie seksowny. Jego ciało nie mogłoby być doskonalsze, gdyby jeden z wielkich mistrzów wyrzeźbił je z kamienia, a następnie ozdobił tatuażami. Mam wrażenie, że jest tak bardzo nie z mojej bajki, że to nawet nie jest śmieszne. A jednak widzę, jak zaciska wielkie dłonie w pięści u swoich boków, jakby musiał się siłą powstrzymywać, aby nie rozbić szklanych drzwi kabiny, żeby się do mnie dostać.

Czuję kolejny przyływ pożądania i poczucia władzy, co podnieca mnie jeszcze bardziej. Okrążam palcami sutki, jakbym chciała je uszczypnąć, ale tego nie robię. Drażnię się z nim.

Kane robi groźnie krok w moją stronę, po czym przypomina sobie, że nadal ma dzinsy i buty. Najpierw pozbywa się butów, potem błyskawicznie rozpina rozporek i — jako że nie ma na sobie bielizny — kutas wyskakuje mu na zewnątrz. Następnie ściąga dzinsy i rzuca je za siebie. Robi kolejny krok do przodu, jednak zamiast otworzyć drzwi, opiera się o nie, rozczapierzając dłonie.

— Nie masz pojęcia, jak na mnie działasz. Jesteś grzeszną pokusą.

Rozdział 12

Kane

Temperance, grzeszna pokusa. Dokładnie tym jest. Może dlatego właśnie czułem do niej taki pociąg od samego początku, gdy próbowałem sobie wmawiać, że jej nie tknę. Jednak wszystko w niej — poczynając od każdego kosmyka gęstych, ciemnych włosów, poprzez gładką skórę, a na kuszących krągłościach ciała, które opina, kończąc — wydaje się stworzone, żeby zniszczyć mi samokontrolę.

A może nawet zniszczyć mnie.

Nigdy nie pragnąłem niczego w życiu tak bardzo, jak pragnę jej. Pragnienie to rozrasta się i rozprzestrzenia, pożerając mnie całego.

Na dodatek jej nastawienie i wewnętrzna kruchość, którą stara się ukryć, sprawiają, że ma nade mną jeszcze większą władzę. Nie tylko to, że teraz zaczyna się pieścić, gładząc palcami sutki, sprawia, że jestem uwikłany w jej sidła.

Nie. Odpowiada za to wszystko, czym jest Temperance Ransom. Trzyma mnie w uścisku.

W pułapce, w którą dobrowolnie wszedłem.

Boże, dopomóż mi, jeśli ona kiedykolwiek to sobie uświadomi.

— Wchodzisz czy nie?

Znowu przyszczypuje sobie sutki i mam ochotę tak przygryźć jeden z nich, żeby jęknęła, jednak nie taki był pierwotny plan. Pragnę patrzeć, jak się dotyka, bardziej niż dożyć jutra.

— A czy będziesz grzeczną dziewczynką, jeśli to zrobię?

Na jej usta wypływa koci uśmiech, a po chwili wydobywa się z nich tylko jedno słowo:

— Nie.

Cholera. Ta kobieta jest więcej niż niebezpieczna.

Pierwszy raz był niczym zabawa z ogniem, jednak planowałem uciec, nim się oparzę. Zamiast tego ona uciekła z pokoju, gdy jeszcze nie byłem gotowy jej wypuścić. Ale i tak powtarzałem sobie: *nigdy więcej.*

Potem zobaczyłem ją na aukcji. Zacząłem ją tam obserwować.

Wiedziałem, że się okłamuję. Musiałem za nią pójść, znaleźć sposób, żeby zwabić ją z powrotem do klubu. Powiniennem był poczekać, nie powiniennem spotykać się z nią drugi raz... A potem okryłem ją kocem, wychodząc. Zostawienie jej wtedy wymagało całej mojej siły woli, miałem wtedy ochotę powiedzieć sobie „pieprzyć tę robotę”, na którą i tak już byłem spóźniony, chociaż mogłoby mnie to kosztować utratę reputacji, a może nawet życia.

Temperance Ransom nie ma pojęcia, jak bardzo jest niebezpieczna. Każdy człowiek ma coś, co może doprowadzić go do upadku, chociaż do tej pory wydawało mi się, że jestem na to zbyt sprytny.

Ale potem spotkałem ją...

Powiniennem ją przeklinać, ale pragnę jedynie rozpętać w niej taką samą burzę, jaka szaleje we mnie. Pragnę, by poczuła to samo uzależnienie.

Kurwa, pragnę ją zatrzymać.

I to byłby gwóźdź do mojej trumny. Ale jeszcze nie dziś. Dzisiaj weźmiemy to, co możemy dostać.

— Idziesz? — pyta.

Kurwa, tak, myślę. Dzisiaj wieczorem oboje dojdziemy.

Pozwalam, żeby na twarz wypłynął mi leniwy uśmiech, po czym poważnieję i chwytam metalową kławkę drzwi do kabiny.

— Gdy otworzę te drzwi, będziesz moja. Będziesz wykonywać moje polecenia, słuchać moich rozkazów.

Unosi ciemne brwi.

— Zobaczmy, czy uda ci się mnie do tego zmusić, *Kane.*

Wypowiada moje imię z naciskiem i to wyzwala we mnie kolejną falę pożądania. Szarpnięciem

otwieram drzwi. Spogląda na mnie spod rzęs, nie przestając się bawić sutkami, po czym wysuwa język, żeby zwilżyć dolną wargę.

Temperance kusicielka.

I należy do mnie.

Rozdział 13

Temperance

Gdy znowu spogląda mi w oczy, przełykam ślinę.

— Chcę wiedzieć, jak smakujesz, gdy dochodzisz mi głęboko w gardle.

Zupełnie jakbym uwolniła bestię.

— A niech mnie — mówi z jękiem, po czym rzuca się na mnie.

Nie ma w nim wahania, to czysta dominacja. Jego wagi miażdżą moje, język domaga się wstępu do środka. Połyka moje jęki i wymamrotane słowa, które chyba są błaganiem. Nie przestaje, aż całe ciało mi płonie i czuję, że jedynym sposobem na ugaszenie tego pożaru jest wspięcie się na niego i nadzianie na kutasa, który wypełni mnie do granic tak, że nie będzie już mnie ani jego, tylko my.

Przyciskam się do niego biodrami, podczas gdy moja prawa noga unosi się jakby z własnej woli i obejmuje jego biodro, próbując przyciągnąć członek do mojej piczki.

— Potrzebuję cię, teraz.

Odrywa usta i unosi mój podbródek, zmuszając mnie, żebym na niego spojrziała.

— Tak szybko zmieniłaś zdanie? Sądziłem, że pragniesz tego... — Porusza biodrami i czuję, że jego penis jest twardy jak skała. — ... w swoim gardle.

— Ale...

— Każdy może rzucać odważne słowa, księżniczko, ale czy jesteś w stanie je zrealizować?

Kiwam głową.

Jego niebieskie oczy rozpalają się.

— Dobrze, bo nie dostaniesz mojego kutasa, zanim nie połkniesz ostatniej kropli mojego nasienia i nie będziesz mnie ssać, aż znowu stanę się twardy.

Nabieram gwałtownie powietrza. Jego słowa są równie mocne jak jego dominujące pocałunki.

Jeśli sądzi, że się wycofam i przestraszę mrocznych żądań, to nie zna mnie zbyt dobrze. Nie ma pojęcia, jak długo o tym marzyłam — o mężczyźnie na tyle silnym, żeby przejąć kontrolę i nagiąć mnie do swej woli, a jednocześnie obdarzonym takimi umiejętnościami, żeby sprawić, iż będę kochała każdą chwilę swojego podporządkowania.

Kobieta alfa jest w stanie nagiąć się jedynie do woli mężczyzny, który jest dość silny, by na nią zasłużyć.

— Zmusz mnie — każde słowo wypowiadam wyraźnie i dobitnie. Z nadzieją. Może to perwersyjne, ale chcę, żeby zmusił mnie do wyjścia ze strefy komfortu.

Widzę wyraz aprobaty na jego twarzy. Rozszerzają mu się źrenice. *Jest tym zachwycony* tak samo jak ja.

Jego dłonie zamykają się wokół moich nadgarstków. Prowadzi mnie w stronę wbudowanej w ścianę ławeczki. Nad nią wisi na pręcie ręcznik. Kane sięga po niego i kładzie na podłogę.

— Na kolana, księżniczko.

Puszcza moje nadgarstki. Zerkam na ręcznik, który szybko wilgotnieje od pary. Jestem tak bardzo zaskoczona troskliwością Kane'a, że niemal natychmiast wykonuję polecenie, jednak najpierw poprawiam ręcznik, składając go w wygodną poduszeczkę. Następnie spoglądam mu w oczy.

— Jak bardzo chcesz, żebym uklękła, Kane?

Jego oczy błyskają — domyśla się, czego potrzebuję.

Wyciąga ręce i chwyta wielkimi dłońmi za moje ramiona.

— Tak bardzo, żeby cię osobiście tak ustawić.

Zwiększa nacisk na moje ramiona. Opieram się przez chwilę, po czym ustępuję. Na chwilę wzmacnia uścisk, a potem mnie puszcza.

— Mężczyźni zabijaliby się, żeby mieć cię przed sobą na kolanach, gdyby tylko wiedzieli, jak

niesamowicie pięknie wyglądasz w tej pozycji. — Gwałtownym ruchem ujmuje swój penis, a drugą ręką chwyta mnie pod brodę, zmuszając do spojrzenia w górę. — Czuję moc rozchodzącą się od ciebie falami. Nawet na kolanach to ty sprawujesz kontrolę.

Jego uwaga zupełnie mnie zadziwia swoją przenikliwością — bo jest słuszna.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, on jednak przesuwając kciukiem, po czym wsuwa go do środka.

— I tak będę sprawdzał twoje granice, kusicielko, bo ty starasz się zniszczyć moje. A teraz ssij. Pokaż mi, jak bardzo pragniesz mojego kutasa między swoimi wargami.

To wyzwanie. Nie chodzi tylko o seks, to dekadencja gra o władzę i pokaz siły. Dawanie i branie. Ustępowanie i otrzymywanie. Jestem jednak zdeterminowana, żeby to jego zmusić do ustępstwa.

Obejmuję wargami kciuk i liżę opuszkę, a potem zaczynam ssać, jęcząc. Wsuwa go głębiej. Wyobrażam sobie, że to jego członek, i traktuję go z odpowiednią czcią. On tymczasem pieści swój penis coraz mocniej z każdą sekundą, w czasie której jego palec znajduje się w moich ustach.

Ogarnia mnie zazdrość, gdy palcem ściera kroplę płynu przed ejakulacyjnego z czubka kutasa. Moje myśli muszą być chyba wypisane na twarzy, bo Kane pyta:

— Chcesz tego?

Powoli kiwam głową, a on wyciąga z moich ust kciuk i puszcza członek, po czym rozsmarowuje mi swoją wilgoć na dolnej wardze. Wysuwam język i zlizuję tę słoność. To jednak dopiero przygrywka.

Pragnę więcej. Pragnę, żeby doprowadził mnie nad samą krawędź.

Rozdział 14

Kane

Żądza... To właśnie widzę w jej twarzy, gdy zlizuje mój smak z wargi.

Nigdy nie sądziłem, że może to wyglądać tak seksownie.

— Chcesz mojego kutasa? Weźmiesz go jak grzeczna dziewczynka?

Kiwa głową.

— Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

Temperance pochyła się do przodu, opierając mi dłonie na udach, i przesuwa policzkiem wzdłuż mojego trzonu, ledwie go dotykając.

Spogląda na mnie.

— Chcę zobaczyć, ile zmieści mi się w ustach.

Jak poprzednio jej słowa są odważne, ale ja jestem jeszcze śmielszy. Ujmuję jej twarz w dłonie.

— Zmieścisz każdy centymetr, nawet jeśli to oznacza, że będziesz musiała wziąć mnie aż w swoje śliczne gardelko. — Jej palce napinają mi się na nogach. Ujmuję członek w jedną dłoń i ustawiam główkę przy jej ustach. — Poliz. Chcę, żebyś pieściła go tak, jak przed chwilą mój kciuk.

Jej oczy rozszerzają się i przez chwilę zastanawiam się, czy jednak się nie wycofa, ale ona uśmiecha się.

— Wreszcie — mówi, po czym obejmuje wargami główkę mojego penisa i zaczyna mnie niszczyć.

Rozdział 15

Temperance

To nie tylko seks oralny — to też walka na siłę woli, a przynajmniej tak jest przez pierwszą minutę. Jednak gdy słyszę, jak jęczy z rozkoszy, zapominam o wszystkim skupiona tylko na tym, żeby znowu wydał z siebie taki dźwięk. Liżę go, ssę i biorę głębiej w usta.

— Kurwa, tak, właśnie tak.

Przytrzymuje moją twarz, a wydawane przez niego dźwięki stają się głośniejsze. Pchnięcia przybierają na sile, członek uderza mnie w tył gardła i zaczynam się dławić, a lzy napływają mi do oczu. Tak naprawdę mimo pewnej siebie gadki nie mam w tym dużego doświadczenia i Kane jakoś się tego domyśla.

Gładzi mnie po policzku.

— Dasz radę wziąć go całego, księżniczko. Następnym razem połknij, oddychaj przez nos.

Wycofuje się i wchodzi znowu, tylko wolniej, uważnie mnie obserwując. Znowu się dławię i odsuwam, ocierając lzy z rzęs.

— W porządku?

Nie i nie czuję już tej pewności siebie, co kiedy moje usta składały obietnicę, której najwyraźniej moje gardło nie jest w stanie wypełnić.

Przemykam oczy.

— Popatrz na mnie — mówi łagodnie, lecz stanowczo, gładząc mój policzek. Unoszę wzrok. — Jeśli zmieniłaś zdanie, to powiedz. Wtedy przerwiemy albo zamienimy się rolami. Nigdy nie będę przekraczał twoich granic. Jeśli coś, co robimy, nie będzie dla ciebie podniecające, to nie będzie też podniecające dla mnie.

Jego wyrozumiałość porusza coś we mnie, jakby w murze, który zbudowałam sobie wokół serca tak dawno temu, że już tego nie pamiętam, pojawiło się długie, poszarpane pęknięcie.

— Nie miałaś problemu z powiedzeniem mi, czego pragniesz. To samo powinno dotyczyć tego, czego nie chcesz. Rozumiesz?

Znowu kiwam głową. Nie czuję się głupio, zamiast tego pojawiają się we mnie spokój i determinacja.

— Usiądziesz?

Zerka na ławeczkę za sobą.

— Czego tylko zechcesz, księżniczko.

Uśmiecham się.

— Uważaj, co mówisz.

— Nie dzisiaj. — Opuszcza potężne ciało na ławeczkę i przez chwilę drży, dotykając zimnych kafli.

— Rozszerz nogi.

Słucha mojej prośby, a ja przesuwam się razem z ręcznikiem w jego stronę.

— Tylko powiedz, a zamiast tego przelecę cię na stojąco przy ścianie.

Potrząsam głową.

— Może później, teraz jestem zajęta.

Rozdział 16

Kane

Rozumiem, dlaczego Ransom zawsze ostrzegał mnie, żebym trzymał się z daleka od jego młodszej siostry. Jest zajebista. Wcześniej byłem nią zafascynowany... teraz jednak staje się czymś jeszcze bardziej niebezpiecznym.

Nalogiem.

To żadna tajemnica, że lubię sobie popatrzeć. To właśnie robię. Przyglądam się i badam.

Jeśli jednak chodzi o Temperance, to jeszcze się zachwycam.

Stoję w drzwiach sypialni i patrzę, jak śpi, obejmując poduszkę, tak jak przed chwilą obejmowała mnie, nim wysmyknąłem się z łóżka. Ścisłej rzecz biorąc, zanim zmusiłem się do tego, żeby ją zostawić.

Minęło ponad piętnaście lat od czasu, gdy spędziłem noc z kobietą, a nawet wtedy nie tyle spaliśmy razem, co straciliśmy przytomność pod wpływem alkoholu. Nigdy nie chciałem być blisko nikogo przez całą noc, jednak z Temperance to co innego.

Temperance jest niczym pięćdziesięciomilimetrowy pocisk w głowę — *game over*.

Z tą myślą zmuszam się, żeby się odwrócić i iść popracować. Zerkam ostatni raz za siebie i pozostawiam śpiącą kobietę, żeby zająć się czymś znacznie mniej przyjemnym.

Sprzątaniem bałaganu, którego narobił jej brat.

Rozdział 17

Temperance

Następnego poranka budzę się w skotłowanej pościeli w cudzym łóżku i mija pełna paniki chwila, nim przypominam sobie, gdzie jestem.

U mojego nieznajomego... to znaczy teraz on ma imię. U *Kane'a*.

Wracają do mnie wspomnienia tego, co robiliśmy poprzedniego wieczoru. Mimo wypitego mocnego alkoholu nie mam nawet bólu głowy i wszystko pamiętam z zupełną jasnością. Może to jakaś sztuczka płatnego mordercy?

Ta myśl nagle mnie paraliżuje.

Płatny morderca.

Mój brat jest przemytnikiem, ja sama pomagałam w rozbiórce samochodów na części i wymazywaniu numerów VIN, więc to nie tak, że mogę kogokolwiek osądzać z moralnych wyżyn... ale to jednak coś innego.

Więszego. Obcego. Bardziej przerażającego.

Zawsze byłam w stanie wmawiać sobie, że przemyt, którym zajmuje się Rafe, nie powoduje żadnych ofiar. Wiem, że tak naprawdę to chowanie głowy w piasek, ale pomaga mi sypiać nocami. Moje występki z przeszłości składam na karb błędnych wyborów lub konieczności. W końcu żebrak nie może wybrzydnąć, a moje młodzieńcze lata upłynęły w niedostatku.

Ale bycie płatnym zabójcą? W świetle dnia jeszcze trudniej mi to zaakceptować.

W powietrzu rozchodzi się zapach kawy, kiedy mężczyzna, wokół którego krążą moje myśli, staje w drzwiach, trzymając w ręku kubek.

— Nie byłem pewny, jaką lubisz, więc przyniosłem ci czarną.

Przechodzi przez pokój i zatrzymuje się przy łóżku. Wyciąga do mnie kubek z kawą. Biorę go i wciągam w nozdrza bogaty aromat. Pachnie zupełnie inaczej niż kawa z przelewowego ekspresu, z którego korzystamy w destylarni.

— Czarna jest w porządku.

Obejmuję kubek obiema dłońmi i czuję rozchodzące się w nich ciepło. Gdy biorę łyk, moje oczekiwania się potwierdzają: smakuje niczym manna z nieba. Jak już mówił, mokra robota jest świetnie płatna. Na tyle, że wystarcza na dobrą kawę, olbrzymi magazyn przerobiony na dom i garaż, i największą na świecie kolekcję odrestaurowanych samochodów z napędem na cztery koła.

Przepyszna kawa nagle zaczyna mi smakować gorzko, kiedy przypominam sobie, że została kupiona za pieniądze uzyskane z przelewu krwi.

Nie mogę się powstrzymać przed zadaniem pytania, którego nie potrafię wyrzucić z myśli.

— Jak możesz sam ze sobą żyć? Robiąc to, co robisz?

Ciepłe spojrzenie Kane'a staje się lodowate. Odwraca się i wychodzi z pokoju bez słowa.

Świetny sposób na rozpoczęcie dnia, Temperance.

Czuję się jak ostatni dupek, zwłaszcza gdy odkrywam, że moje ciuchy są starannie złożone na krześle. Ubieram się i powoli dopijam stygnącą kawę. Sama nie wiem, czy mam ochotę go zobaczyć i czy powinnam go przeprosić za zadanie tego pytania.

Wreszcie zbieram się na odwagę i wychodzę z pokoju, niosąc kubek z kawą. Niemal zmuszam się do zejścia po kolejnych schodkach, wiedząc, że za chwilę będę musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Jak to możliwe, że wczoraj wieczorem czułam z nim taką więź, a dzisiaj wszystko wygląda zupełnie inaczej? Powinnam była zacząć od pytania o brata i czy Kane'owi udało się dokonać jakichś postępów w tej sprawie.

Tylko to się liczy.

Nic innego.

Ostrożnie schodzę po schodach i zatrzymuję się w połowie, gdy dostrzegam założone czymś blaty w kuchni.

Co u licha?

Kane jest do mnie odwrócony plecami i zajęty, ale musi sobie uświadamiać moją obecność, bo

sztynnie. Dostrzegam, że na kuchennym blacie leżą obok siebie stosy gazet.

Spoglądam na niego i kończę powolną wędrówkę po schodach.

— Chcesz odpowiedzi? Jak mogę żyć, będąc płatnym zabójcą? Weź którąkolwiek z tych gazet i powiedz mi, że świat nie jest lepszym miejscem bez każdego z tych chorych skurwysynów.

Podchodzę bliżej i czytam nagłówek gazety leżącej na wierzchu.

Dziewczyna więziona przez 16 lat wreszcie postanawia przemówić.

Potem kolejny:

Mężczyzna odpowiedzialny za strzelaninę w centrum handlowym staje przed sądem.

Na górze kolejnego stosu leży gazeta z Paryża i chociaż mój francuski nie jest zbyt dobry, i tak udaje mi się zrozumieć nagłówek:

Terrorysta wjeżdża w tłum i zabija 7 osób.

— Jeśli nie chcesz, żeby dotykał cię zabójca, mogę to zrozumieć, ale nie będę też przepraszał za to, czym się zajmuję.

Odzyskuję głos.

— A więc niektórzy ludzie zasługują na śmierć? — szepczę. — O to chodzi, a nie o pieniądze?

— Żadna suma pieniędzy nie nakłoni mnie do przyjęcia zlecenia, jeśli nie mógłbym żyć sam ze sobą po jego wykonaniu.

Spoglądam na jego poważną twarz i w jakiś sposób znajduję pocieszenie.

To nie jest człowiek, który zabiłby każdego i nie ceni ludzkiego życia. Zapewne rozumie jego wartość lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ wie, jak to jest pociągnąć za spust i je zakończyć.

— Wierzę ci. — Odstawiam kubek na blat i biorę gazetę leżącą po lewej, tę z nagłówkiem mówiącym o dziewczynie przetrzymywanej przez jakiegoś szaleńca. — Sama bym zabiła tego gnoja, gdybym miała okazję.

Lodowaty wyraz jego twarzy odrobinę się ociepla.

— Nie mówię tego, żeby ci sprawić przyjemność, naprawdę tak uważam.

— Wierzę ci — powtarza moje słowa sprzed chwili.

Przez prawie minutę przyglądamy się sobie w milczeniu i nie wiem, co powiedzieć. Na szczęście Kane odzywa się pierwszy, zmieniając temat.

— O której musisz być w pracy?

Zerkam na zegar na wyświetlaczu piekarnika.

— Jak najszybciej. Zwykle przychodzę przed wszystkimi innymi.

— I zostajesz dłużej niż ktokolwiek inny.

To nie pytanie, ale i tak kiwam głową.

— Zazwyczaj.

— Będziesz musiała w tym tygodniu pracować krócej.

— Bo będziemy pracować nad odnalezieniem Rafe'a?

— *Ja* będę nad tym pracował.

Krzyżuję ramiona na piersi.

— Chcę pomóc. To mój brat. Znam go i jego zwyczaje lepiej niż ktokolwiek inny.

— Dlatego o wszystkim mi opowiesz i pozwolisz wykonywać swoją pracę.

O, nie, do diabła.

— Nie możesz mnie od tego odsunąć. Sam mówiłeś, że jeśli tego nie rozwiążemy, to będę w niebezpieczeństwie, więc nie spodziewaj się, że będę się trzymać z boku.

Otwiera usta.

— I nie waz się mówić mi, że to zbyt niebezpieczne. Nie będę siedzieć w zamknięciu odcięta od tego, co ty będziesz robić.

— Szykuj się do pracy, porozmawiamy po drodze.

— O ile tylko ta dyskusja skończy się tym, że się ze mną zgodzisz, to nie widzę przeszkód.

Odwracam się na pięcie i wchodzę z powrotem po schodach, już układając sobie w myślach kolejność przedstawiania argumentów w drodze do destylarni.

Kane jeszcze nie wie, co go czeka.

Rozdział 18

Kane

Temperance naprawdę zrobiła na mnie wrażenie podczas drogi do destylarni: mimo że miała oczy zasłonięte czapką, przedstawiła rozbudowaną argumentację na rzecz tego, że powinna być częścią *Operacji Ratowania Tylka Rafe'a*, jak ją nazwała. Jednak dopiero gdy zobaczyłem ją w działaniu w *Seven Sinners*, uświadomiłem sobie, że naprawdę jest kozacka.

Ta kobieta jest jak niepowstrzymana siła natury, gdy już się do czegoś zabierze.

Siedzę w fotelu dla gości w jej gabinecie w destylarni i słucham, jak ochrzania dostawcę za opóźnienie, strasząc zerwaniem kontraktu, jeśli towar nie dotrze w ciągu kolejnych dwunastu godzin, żeby nie wpłynęło to na produkcję.

Jednak nie to robi na mnie największe wrażenie. Naprawdę budzi mój szacunek, gdy po zakończonej rozmowie pytam ją:

— Czy blefowałaś, mówiąc o zerwaniu kontraktu?

Unosi ciemną brew, krzyżuje ramiona na piersi i wydyma usta.

— Nigdy nie blefuję.

— Zalewasz.

Uśmiecha się.

— To prawda. Jeśli nie będzie dostarczał nam surowców na czas bez dodatkowej zapłaty, to konkurencja już czeka w kolejce, żeby zająć jego miejsce. Keira i ja wynegocjowałyśmy z nimi kontrakt w zeszłym miesiącu i są gotowi ruszyć z dostawami w ciągu czterdziestu ośmiu godzin — i to bez dopłat. Jeśli ten dupেক chce robić trudności, możemy zmienić dostawcę. Nie taki był plan, ale nie zamierzam pozwolić, żeby mu się wydawało, że może nam dyktować warunki. Nic nie może spowolnić procesu destylacji, a już na pewno nie arogancki dupেক, który łudzi się, że trzyma nas za jaja.

— Czy jest coś, z czym nie byłabyś sobie w stanie poradzić?

Słyszałem już dzisiaj, jak rozstrzygała konflikt pracowniczy, rozmawiała z poirytowanym klientem, umówiła trzy spotkania dotyczące organizacji imprez, sprawdziła, czy recepcjonistka potrafi oprowadzać wycieczki po destylarni, a poza tym odpowiadała na e-maile, pisząc wszystkimi palcami, przeglądała umowy i kłóciła się z prawnikami w kwestii jakiegoś punktu negocjacji, na który nie chciała się zgodzić.

Ta kobieta wykonuje pracę nie jednej, lecz trzech osób, i zaczynam podejrzewać, że nie może być zwykłym człowiekiem.

— Potrzebujesz asystentki. Albo trzech.

Rzuca mi krzywe spojrzenie.

— To *ja* byłem asystentką.

— I tak potrzebujesz kogoś do pomocy.

— Nie musisz mi tego mówić. Keira też o tym wie. Zostawiła mi wiadomość, że na przyszły tydzień będziemy umawiać rozmowy kwalifikacyjne, muszę tylko przejrzeć ten stos podań i wyłonić grupę najbardziej obiecujących kandydatów, którzy by nie sprawiali wrażenia dupków. — Wskazuje na stos papierów po prawej. Obok leży lista umów, która — jak mi powiedziała — jest kolejna na liście rzeczy do zrobienia.

— Czy kiedykolwiek robi się tu spokojniej?

— Jeszcze się tak nie zdarzyło — odpowiada, potrząsając głową.

Zerkam na ścienny zegar i uświadomiam sobie, że już prawie południe, co wyjaśnia moje burczenie w brzuchu.

— Robisz sobie kiedykolwiek przerwę na jedzenie?

Zanim zdąży odpowiedzieć, jej telefon dzwoni. Temperance krzywi się.

Odbiera z radosnym powitaniem, jednak słyszę w jej głosie, jak się spina. Być może jest świetna

w swojej pracy, ale jej nie lubi. Teraz wyraźnie jest w nastroju *robienia dobrej miny do złej gry*.

— Dzisiaj? Cóż... Tak, chyba dam radę. O której? — przerywa i zerka na mnie. — Teraz? Tak, chyba mogę. Spotkajmy się na górze w restauracji, dobrze? Wezmę kalendarz. Dziękuję za telefon, Yve.

Temperance rozłącza się.

— O co chodziło?

Temperance bierze ołówek i zaczyna nim obracać w palcach.

— Być może kolejna impreza.

— Kobieto, potrzebujesz coś zjeść.

— Taki mam zamiar. Właśnie umówiłam się na lunch.

— Jezu Chryste, to się nigdy nie kończy. Z kim się spotykasz? Potrzebuję informacji. Nie zgadzam się, żebyś usiadła przy stoliku z kimś, kogo nie zatwierdzę.

Temperance przewraca oczami.

— Ona nie jest zagrożeniem. To przyjaciółka. Nowa przyjaciółka.

— Nowa przyjaciółka? Nie podoba mi się to.

— Nie musi ci się podobać, ale Yve naprawdę nie stanowi zagrożenia. Jest właścicielką sklepów w Dzielnicy Francuskiej.

— Jakich sklepów?

— Cóż, między innymi z bielizną.

— A więc po pracy... wybierasz się na zakupy?

— Chciałbyś — mówi Temperance, wstając i zabierając kalendarz i notes.

Księżniczko, nie masz pojęcia, czego bym chciał.

Rozdział 19

Temperance

Po tym, jak Kane ostrzega mnie, żebym nie ujawniała jego prawdziwej tożsamości ani nie zdradzała żadnych informacji na temat swojego brata lub naszej obecnej sytuacji, ruszamy do restauracji, żeby spotkać się z Yve.

Czuję na sobie jego spojrzenie, gdy siadam przy stoliku naprzeciwko niej. Można by pomyśleć, że po tym, jak spędziliśmy razem cały dzień, będę przyzwyczajona do jego uwagi, jednak nadal mnie to rozstraja, podobnie jak sprzeczne uczucia na jego temat.

Zanim się dowiedziałam, kim jest Kane, byłam nim zafascynowana. Teraz? Moja fascynacja wzrosła do niezdrowego poziomu.

Jest zupełnie inny, niż się spodziewałam. Myślałam, że będzie siedział w kącie mojego biura i gapił się w drzwi jak Blizna pilnujący Keiry, jednak ku mojemu zdumieniu Kane zaczął mi *pomagać*. Gdy zrzuciłam cały stos faktur z zagraconego biurka, podniósł je i porządnie poukładał.

Chwilę mi zajęło zrozumienie, że facet, który zapewne ma większe doświadczenie w posługiwaniu się bronią palną niż w pracach biurowych, ułożył moje faktury *alfabetycznie*.

To zdecydowanie poniżej jego kwalifikacji, jednak nawet się nie zawahał.

Tak długo znajdowałam się na najniższym poziomie hierarchii w Seven Sinners, że trudno mi się przyzwyczaić do faktu, że ktoś przejmuje moje obowiązki. A teraz zamiast wisieć nade mną w miejscu, które jest na wpół publiczne, obserwuje mnie z takiej odległości, żeby mi nie przeszkadzać. To znaczy nie licząc tego, jak sama jego obecność wpływa na moją koncentrację.

— Jesteś nerwowa jak kotka w rui, co się dzieje? — pyta Yve, przyglądając mi się uważnie. Mam wrażenie, że nie umyka jej żaden z moich nerwowych gestów.

— Nic, wszystko w porządku. Chyba wypiliśmy za dużo kawy dziś rano.

— W takim razie powinnaś chyba sobie chlapnąć więcej whiskey, żeby to złagodzić, co?

— Nie, dziękuję. Nie pijam whiskey, a już na pewno nie w pracy.

— W porządku, ale ja zamówię. Zrobiłam sobie wolne popołudnie. JP siedzi w sklepie z nowymi pracownikami. Zadzwońię po taksówkę.

— Oczywiście, nie krępuj się. Z przyjemnością podamy ci tyle whiskey, ile zdołasz wypić. — Przywołuję gestem kelnerkę. Yve zamawia whiskey dla siebie, a ja przystawkę dla nas. Gdy tylko kelnerka oddala się, przystępuję do konkretów. — Opowiedz mi o tej imprezie, którą chciałaś urządzić.

Przez telefon Yve wspomniała, że ma chęć urządzić imprezę połączona z degustacją whiskey w swoim butik, żeby przyciągnąć nowe klientki.

— Chcę to nazwać „Słodka Kicia pije whiskey”.

— Idealnie. — Uśmiecham się.

— Tak właśnie myślałam. Moja konkurencja urządza wieczorki z szampanem i zakupami, ale to już oklepane. Whiskey będzie o wiele zabawniejsza i uważam, że lepiej pasuje do mojej klienteli.

Otwieram kalendarz.

— O jakiej dacie myślałaś?

Omawiamy kilka możliwych terminów i wreszcie wybieramy jeden z nich. Podczas rozmowy nie mogę się powstrzymać i od czasu do czasu rzucam ponad ramieniem Yve spojrzenia na Kane'a.

Zamykam kalendarz i znowu na niego spoglądam, a Yve potrząsa głową.

— Serio, dziewczyno? To w ogóle nie było subtelne! — Ogląda się za siebie jak gdyby nigdy nic i zmiana jej postury dokładnie wskazuje moment, w którym go zauważa. Po chwili znowu przenosi swoją uwagę na mnie.

— Teraz rozumiem. Kim jest ten szczęściarz? — Milknie na chwilę i unosi palec. — Zaraz, zaraz, to on, prawda? Ten, z którym miałaś przygodę, a nie wiedziałaś, jak ma na imię?

— Ciii, proszę, nie mów nic. To nic takiego. Nic się nie dzieje. Nie ma między nami nic takiego.

Odchyła się na oparciu i przekrzywia głowę.

— Naprawdę nie potrafisz kłamać. Oczywiście, że to on. Teraz rozumiem, dlaczego ciągle tam wracałaś, też bym tak zrobiła. To znaczy, gdybym nie miała swojego faceta. Ten jest naprawdę apetyczny.

— To nic takiego, naprawdę. To do niczego nie prowadzi. — Już wypowiadając te słowa mam ochotę je cofnąć, bo nie chcę, żeby były prawdziwe. Ale, z drugiej strony, czy mogłyby nie być prawdziwe?

On jest płatnym zabójcą. Musimy wyśledzić mojego brata, znaleźć sposób, żeby zapewnić bezpieczeństwo zarówno jemu, jak i mnie, i pozbyć się ludzi, którzy pragną jego śmierci. A potem... to będzie skończone. Proste.

Yve spogląda na mnie kpiąco.

— Dziewczyno, dobrze rozumiem, że nie chcesz się angażować. Rozumiem nawet, że można kogoś nienawidzić albo to sobie wmawiać, chociaż najwyraźniej nie jest to twój problem. Czasem jednak wszechświat ma inne plany niż ty i nie da się z tym nic zrobić. — Udaje, że sięga po torebkę wiszącą na ścianie naszego boksu i znowu zerka przez ramię. Chwilę później odwraca się z powrotem do mnie. — On nie odrywa od ciebie wzroku.

— To nie tak, jak myślisz.

— Szszszsz, dziewczyno. Niemal pożera cię wzrokiem. Ten facet wygląda, jakby najchętniej złapał cię za włosy i zaciągnął do jaskini, zamiast zjeść tego burgera, którego ma przed sobą.

Nie kłamie. Gdy Kane przesuwają po mnie spojrzeniem, pożądanie w nim widoczne jest niezaprzeczalne.

— Nie wiem, co mam robić — szepczę.

— Czy to dobry człowiek?

To powinno być łatwe pytanie, jednak ja zamieram w bezruchu. *Czy Kane jest dobrym człowiekiem?*

— To chyba zależy od tego, jak definiujesz bycie *dobrym człowiekiem*.

— Czy cię bije? Poniża? Sprawia, że czujesz się głupia?

Yve spogląda na mnie uważnie i naprawdę przykro mi na myśl, że być może doświadczyła którejs z tych rzeczy, ale biorąc pod uwagę ostrość w jej głosie, chyba tak właśnie było.

— Nie, zdecydowanie nie.

— Czy jest nierozważny? Kłamie? Jest dupkiem? Jest niemiły dla dzieci lub psów?

Potrząsam głową.

— Nie, chociaż nigdy nie widziałam go z dzieckiem ani psem.

— Sądzisz, że zachowałby się wobec nich wrednie?

Próbuję sobie to wyobrazić, ale naprawdę nie mogę.

— Naprawdę nie sądzę.

— Ukryłby dla ciebie ciało?

Jej pytanie kompletnie mnie zaskakuje.

— Co?

— Czy chroniłby cię niezależnie od wszystkiego? Masz takie poczucie, gdy z nim jesteś?

Ona nie może tego wiedzieć, ale on już stara się mnie chronić i robić wszystko, żeby mi pomóc.

— Tak, zrobiłby to — odpowiadam zdecydowanie.

— Czy jest dla ciebie miły? Pomocny? Zawsze upewnia się, że miałaś orgazm?

Ma szczęście, że akurat nic nie jem, bo mogłabym ją opluć.

— Och, tak.

— W takim razie to dobry człowiek, a przynajmniej wystarczająco dobry.

Rozważam jej kryteria bycia dobrym człowiekiem i jestem odrobinę zaskoczona. To wszystko, o czym mówiła — pozytywne i negatywne — mogłyby rzeczywiście oddzielić dobro od zła... ale przecież to jest o wiele bardziej skomplikowane, prawda?

Żadna suma pieniędzy nie nakłoni mnie do przyjęcia zlecenia, jeśli nie mógłbym żyć sam ze sobą po jego wykonaniu.

Tak powiedział Kane, kiedy dzisiaj rano zadałam mu to niezręczne pytanie.

Może i robi czasem złe rzeczy, ale czy to czyni z niego złego człowieka? Mój brat też robi rzeczy, które dla wielu ludzi są złe, ale kocha mnie i zrobiłby dla mnie wszystko. Nie sądzę, żeby był złym

człowiekiem.

Koniec końców to chyba właśnie jest najważniejsze, *prawda?*

Uwagi Yve dają mi temat do przemyśleń na resztę dnia, a siedzący naprzeciwko mnie człowiek sprawia, że to wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane.

Obecność Kane'a powoduje, że jestem boleśnie świadoma każdego swojego ruchu, a nawet tego, jak materiał bluzki ślizga mi się po skórze, gdy się poruszam. W połowie przeglądania podań o pracę myśli nagle wracają mi do tego, co robiliśmy wczoraj pod prysznicem, i dziwnej mieszaniny siły i bezbronności ujawnionej przez tę sytuację.

Moja koncentracja całkowicie się ulatnia. Zamykam laptop.

— Koniec na dzisiaj.

Kane unosi brwi.

— Jesteś pewna?

Kiwam głową.

— Tak, doszłam do ściany.

Kane wstaje i przeciąga się.

— Wreszcie. Często dużo pracuję, ale ty jesteś prawdziwym wołem roboczym.

— Nie jestem pewna, czy podoba mi się ten opis.

Odłączam kabel laptopa i okręcam się na fotelu do tyłu, żeby podnieść z podłogi torbę. Gdy już ją chwycę, prostuję się na siedzeniu i właśnie mam odwrócić się z powrotem do biurka, jednak nagle czuję, że Kane znajduje się za mną. Nie słyszałam, jak się zbliżył, ale czuję jego obecność.

— Jesteś bystra, zdeterminowana, zdyscyplinowana. Jestem naprawdę pod wrażeniem. To miał być komplement.

Mam ochotę wtulić się w jego ciepło i wdychać czysty, ostry zapach, jednak te uprzejme słowa mnie powstrzymują. Mam wrażenie, jakbym coś przeoczyła.

Odwracam się razem z fotelem w jego stronę.

— Dlaczego mam wrażenie, że czegoś ode mnie chcesz?

Kładzie dłonie na podłokietnikach fotela, unieruchamiając mnie.

— Bo tak jest.

Moje serce gubi rytm.

— Czego takiego?

— Ciebie, nago.

Czuję, jak w podbrzuszu płonie mi ogień wywołany nie tylko jego słowami, lecz również buchającym od niego pożądaniem. Chcę ustąpić. Dać mu wszystko, czego pragnie. I to mnie przeraża.

Jak to możliwe, że pozwoliłam mu zdobyć nad sobą taką władzę?

— Wiesz, że nie musisz mnie najpierw rozmiękczać pochlebstwami, żeby to zdobyć? Oboje to wiemy.

Chcę odwrócić wzrok, ale on przyciąga bliżej fotel i tym samym jeszcze raz moją uwagę.

— Co to, u licha, ma oznaczać?

Zerkam na niego ze złością.

— Już i tak się z tobą pieprzę. Nie ma potrzeby, żebyś próbował mnie oczarowywać. To chyba oczywiste? Chyba że chcesz jeszcze czegoś?

Mruży oczy i na dłuższą chwilę zapada między nami cisza ciężka jak skrzynki z dynamitem.

— Nie widzisz tego. Jak to możliwe, że tego nie widzisz, do cholery? — pyta, ścigając brwi i potrząsając głową.

— O czym ty mówisz?

— Nie masz pojęcia o swojej wartości.

Jeżę się na tę uwagę.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— To widać. — Odpycha fotel i prostuje się. — Chodźmy. Jestem głodny.

Rozdział 20

Temperance

Napięta atmosfera utrzymuje się, aż docieramy do domu Kane'a.

Jak śmiała powiedzieć, że nie znam swojej wartości? Tak jakby był jakimś autorytetem w mojej kwestii, a ja nie miała o sobie pojęcia? Nie mam żadnych złudzeń odnośnie tego, kim i czym jestem.

Gdy drzwi garażu zamykają się za nami, zrywam czapkę z głowy.

— Każesz mi ją nosić za każdym razem?

Chrząka tylko.

Świetnie, teraz postanowił się nie odzywać. Doskonale.

Nadal zbieram swoje rzeczy, gdy on otwiera drzwiczki, żeby wypuścić mnie z samochodu. Nie zauważyłam wcześniej wozu, którym dziś jechaliśmy, w kolekcji, ale pewnie dlatego, że jest niższy i jakoś się ukrył pomiędzy pozostałymi. To czarny, niczym się niewyróżniający sedan marki Audi, z przyciemnianymi szybami przywodzącymi mi na myśl film *Transporter*, co zresztą jest chyba całkiem na miejscu. Aczkolwiek Kane przebija Jasona Stathama na każdym możliwym poziomie, wliczając w to poziom kozackości.

Bierze ode mnie torbę, którą trzymałam na ramieniu, i niesie do windy, ale pozwala mi zachować torebkę.

— Co na obiad? — pytam w windzie, żeby przerwać ciszę.

— Aligator.

Odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć.

— Serio? Chcesz, żeby dziewczyna z bagien poczuła się jak w domu?

Jego twarz posępnieje.

— Musisz popracować nad tym swoim kompleksem, bo zaczyna być większy od twojej głowy. Może po prostu lubię mięso aligatora. Jest chude i zdrowe, a poza tym zacząłem je marynować dziś rano.

— Och — szepczę.

Nie odpowiada. Winda dociera na piętro i zatrzymuje się ze stuknięciem.

— Co jest na pierwszym piętrze? — pytam, gdy on otwiera drzwi.

— *Nunya.*

Już chcę zapytać „co?”, ale wtedy sobie przypominam.

— Nie moja sprawa? Tak jak nazwa twojej firmy? To zabawne, tak swoją drogą.

Twój wreszcie mu łagodnieje.

— Mam poczucie humoru.

Gdy wychodzimy z windy, nadal nie mogę odpuścić tego pytania. Jestem jak pies wczepiony w kość.

— Naprawdę nic mi nie powiesz? Nawet nie dasz jakiejś wskazówki?

— Tam pracuję.

— Ach, to serce bat-jaskini. — To przynajmniej wywołuje u niego śmiech.

— Coś w tym rodzaju.

— Żadnych nowych wieści o moim bracie?

Kane potrząsa głową.

— Dostanę powiadomienie, jeśli użyje swoich kart kredytowych lub w jakiś inny sposób zostawi po sobie ślad, włączając w to nawiązanie z kimś kontaktu. Ale Ransom naprawdę potrafi się dobrze przyczaić. Użycie ciebie to najlepszy sposób, żeby wywabić go z kryjóWKi.

— Ale tak się nie stanie.

— Nie. Nie pozwolimy na to. — Odwraca się i rusza w kierunku lodówki. — Jeśli nie masz ochoty na aligatora, to mam też kurczaka.

Siadam przy barze.

— Aligator jest w porządku. I tak smakuje jak kurczak.

Nigdy nie sądziłam, że obserwowanie mężczyzny podczas gotowania może być takie podniecające. Mam też stuprocentową pewność, że nie jestem jedyną kobietą, która tak myśli. Ale chyba jedyną, która tak myśli przy Kanie... *Właściwie jakie on ma nazwisko?*

Mówię sobie, że wcale nie muszę tego wiedzieć, ale kłamię.

Chce wiedzieć o nim wszystko i to niedobrze. W klubie, gdy zaczęłam coś do niego czuć, wiedziałam, że muszę przeciąć wszystkie więzy, ale teraz, kiedy sytuacja się zmieniła, wygląda na to, że zdrowy rozsądek zupełnie mnie opuścił.

Kane jest niebezpieczny i nie ma to nic wspólnego z tym, że zapewne potrafiłby mnie wypatroszyć nożem, którym właśnie sieka warzywa. Bycie blisko niego i dostrzeżenie w nim kogoś więcej niż tylko faceta, który jest w łóżku niczym bóg seksu, naprawdę mnie wykańcza.

A skoro mowa o seksie... Przypominam sobie, jak w moim biurze powiedział, że chce mnie zobaczyć nago, i na tę myśl sutki prężą mi się pod bluzką. Dlaczego założyłam białą bluzkę z cielistym stanikiem, skoro wiedziałam, że będzie w pobliżu? Oto jest pytanie.

Muszę wyrzucić ten zestaw ze swojej szafy.

Odwracam się na przepięknym stołku barowym w stylu industrialnym i pożeram wzrokiem mięśnie na ramionach Kane'a, kiedy sieka i kroi coś na blacie. Jego seksowność to dla mnie zbyt wiele.

Zeskakuję ze stołka zdecydowana, żeby zwiększyć odległość między nami, abym mogła oczyścić umysł z szalonych myśli. Zatrzymuję się przed półką, na której książki ułożone są w artystycznym nieładzie. Obok stoi rzeźbiona drewniana misa na nóżkach. W środku znajdują się mniejsze miseczki.

Unoszę ostrożnie jedną z nich.

— Czy to łupina orzecha kokosowego?

Kane zerka przez ramię, sprawdzając, gdzie jestem, po czym kiwa głową.

— To na kawę.

— Kawę?

— To napój sporządzany przez ludzi z wysp. Dostałem te miski od starszyny wioski na Fidżi.

Z rozwieszonych w mieszkaniu fotografii domyśliłam się, że wiele podróżował, jednak rzucanie określeń w rodzaju „starszyna wioski na Fidżi” mówi mi, że jego podróżowanie to coś innego niż turystyczne rejsy do Meksyku z Nowego Orleanu, na które wybierają się pracownicy destylarni — skądinąd jest to kolejna rzecz, której nigdy nie robiłam.

— Fidżi? Nieźle.

— Wolę Fidżi od Tahiti. Mniej komercyjne, mnóstwo tam jeszcze nieodkrytych miejsc, w których można się zagubić. A poza tym mieszkają tam dobrzy ludzie.

Wygląda na doświadczonego, a ja... nic nie wiem.

— Nigdy nie wyjeżdżałam z Luizjany.

Tym razem to on odwraca się, żeby spojrzeć na mnie ze zdumieniem.

— Naprawdę?

Potrząsam głową.

— Naprawdę. Gdy byłam dzieckiem, nie mieliśmy pieniędzy. Wakacje w dzieciństwie oznaczały co najwyżej jednodniową wycieczkę do miasta albo oglądanie korowodu pogrzebowego. Gdy poszłam na studia, przez cały czas albo byłam na zajęciach, albo się uczyłam, albo pracowałam. Nie miałam żadnych dodatkowych środków, żeby pojechać do Panamy czy gdziekolwiek tam ludzie jeździli na ferie wiosenne.

— Spodobałoby ci się na Fidżi.

— Na pewno — śmieję się. — Jak każdemu.

Uśmiecha się.

— Ale wątpię, żeby smakowała ci kawa, przynajmniej nie od razu. Wygląda jak brudna woda i trochę tak smakuje. Robi się ją z korzenia, który wykopuje się, wkłada do torebki i namacza.

— Dlaczego ktokolwiek to pija? Brzmi obrzydliwie.

Żałuję tych słów natychmiast po wypowiedzeniu, bo jego uśmiech poszerza się i teraz widać, że *ma doleczki*. To naprawdę nie fair!

— Po długim dniu pracy mężczyźni gromadzą się i jeden z nich przygotowuje napój. Siadają razem i piją go miska za miską. Po mniej więcej dwudziestu odczuwa się euforię i spokój. To naprawdę relaksujące i lekko halucynogenne.

— Dwadzieścia miseczek? Czegoś, co smakuje jak woda z błotem? Wydaje się to nadmiernym poświęceniem, żeby być na lekkim haju.

Znowu pokazuje dołączki w uśmiechu i coraz mniej obchodzą mnie Fidzi i kawa.

— Do tego mają dostęp, a poza tym to starożytna tradycja. W taki sposób się odprężają i budują więzi. To część ich dziedzictwa.

— A dlaczego starszyzna wioski ofiarowała ci taki prezent?

— Wyświadczyłem im przysługę.

— Kogo zabiłeś? — pytam i mam ochotę się kopnąć, gdy jego uśmiech znika.

— Nikogo. — Kane opuszcza wzrok i wraca do krojenia.

Odstawiam miseczkę na miejsce i wchodzę do kuchni. Staję obok niego.

— Przepraszam, to było naprawdę wredne z mojej strony.

Dłoń zamiera mu nad łodygą selera. Unosi wzrok i widzę w jego oczach błysk.

— Naprawdę jestem czymś więcej niż tylko swoją pracą. Z jakiegoś powodu sądziłem, że to zrozumiesz, ale chyba nie.

— Przepraszam — Nabieram powietrza i wypuszczam je. — Ja... nie jestem w tym dobra. Nie mam przyjaciół, nie mam żadnych relacji z ludźmi. Mam tylko brata, a przynajmniej miałam. — Potrząsam głową.

— Nie chcę się usprawiedliwiać, po prostu chcę ci powiedzieć... Dorastałam w nędznej chacie na bagnach, sama nauczyłam się alfabetu i pisałam patykiem na ziemi. Gdy przez kilka lat nie mieliśmy pieniędzy na benzynę, żeby zawozić mnie do szkoły, mama uczyła mnie z książek, które Rafe ukradł. Nie jestem normalna, Kane. Nie wiem nawet, czym jest normalność.

Jego rysy łagodnieją tak samo jak spojrzenie.

— Ja też nie wiem, czym jest normalność, więc chyba jesteśmy w takiej samej sytuacji.

Nóż brzęczy na blacie. Kane robi krok w moją stronę, przypierając mnie do szafek.

— Normalność jest przereklamowana — szepczę.

— Żebyś wiedziała.

Kane przechyla głowę i muska wargami moje usta.

— Kolacja będzie później, bo przez cały dzień umierałem z pragnienia, żeby cię pocałować. Mówiłem sobie, że się powstrzymam, ale się okłamywałem.

Jego pocałunek jest równie tajemniczy, jak on sam, jednocześnie łagodny i mocny. Skomplikowany i prosty. A przede wszystkim — niemożliwie cudowny.

Nie całuje jedynie wargami, lecz wykorzystuje całe ciało. Zanurza mi dłonie we włosy, po czym odwraca mnie i prowadzi tyłem, aż opieram się o niższe szafki po drugiej stronie kuchni.

Gdy wreszcie puszcza moje włosy, które splecione spadają mi na ramiona, odsuwa się ode mnie.

— Zamierzam cię przelecieć tu i teraz, chyba że mnie powstrzymasz.

Nic nie mówię. Kolacja może poczekać.

Rozdział 21

Kane

Wstaję od biurka i zerkam na zegar.

Trzecia nad ranem.

Wiele godzin spędziłem, szukając w sieci jakiegokolwiek śladu aktywności Ransoma. Muszę się z nim skontaktować, zanim ta sytuacja stanie się jeszcze bardziej popieprzona.

Gdy Mount do mnie zadzwonił, nie miał pojęcia nie tylko o tym, że coś mnie łączy z Temperance. Nie wiedział również, jakiego rodzaju ładunek niedostarczony przez Ransoma zapoczątkował tę całą aferę.

Żywy towar.

Ransom wdepnął w prawdziwą kupę gówna. Przyjął niewłaściwą robotę; nie mam pojęcia dlaczego, bo zawsze nienawidził handlarzy ludźmi.

Teraz ukrywa się gdzieś wraz z tymi, których przemycił, bo domyślam się, że nie potrafiłby żyć sam ze sobą, gdyby dokończył pracę. Z jednej strony mam ochotę wybić mu wszystkie zęby za narażenie własnej siostry na niebezpieczeństwo, z drugiej poniekąd go rozumiem.

Nie mam pojęcia, kto miał przyjąć tę dostawę, ale biorąc pod uwagę katastrofę, z którą mamy do czynienia, bez wątpienia jest to ktoś, kto nie mógł dać się złapać — stąd wysoka stawka i pilność zlecenia.

Chcieli, żebym wykonał robotę w ciągu dwóch tygodni. Odpowiedziałem, że potrzebuję sześciu. W końcu stanęło na czterech, ale wyczuwam, że nie byli z tego zadowoleni, a to z kolei oznacza, że moja wyłączność może być nic niewarta. Jeśli mam rację odnośnie tego, jak daleko to sięga, może się okazać, że mamy dużo mniej czasu, nim gówno walnie w wentylator. Podejrzewam, że nie jestem jedynym człowiekiem, który próbuje odnaleźć Ransoma.

Muszę go znaleźć pierwszy. To jedyne wyjście.

— Chyba mam pomysł — mówi Temperance, gdy wślizguję się do łóżka.

— Powinnaś spać. — W ciemnościach ledwo jestem w stanie dostrzec jej rysy i zdeterminowany wyraz twarzy.

— Naprawdę sądziłeś, że nie zauważę, jak wymykasz się w środku nocy?

Ignoruję tę uwagę.

— Jaki masz pomysł?

Bierze głęboki oddech, tak jakby nie była pewna, czy chce mi o tym opowiedzieć.

— Musisz mi obiecać, że nie powiesz o tym nikomu innemu. Nigdy.

To dla mnie łatwa przysięga.

— Chcesz przysięgi na krew?

Teraz, kiedy wzrok zaczyna mi się przyzwyczajać do ciemności, z łatwością dostrzegam, jak marszczy nos. To nie powinno być aż tak słodkie, ale w końcu to Temperance.

— Woląabym uniknąć rozlewu krwi, dzięki.

— No więc jaki to pomysł?

— Jest pewne miejsce, gdzie być może ukrywa się Rafe, albo gdzie może trafić prędzej czy później.

— Gdzie?

— Na bagnach.

— Daj mi wskazówki, jak je znaleźć.

Śmieje się w odpowiedzi.

— Nawet gdybym mogła to zrobić, i tak byś tam nie trafił.

— To jak w takim razie mam się tam dostać?

— Nie ty. *My*.

Obawiałem się, że to powie.

— Przede wszystkim potrzebujemy ślizgacza wodnego. I muszę przełożyć jutrzejsze spotkania.

Rozdział 22

Temperance

Ślizgacz przemyka po wodzie. Zakręcamy i uśmiech wypływa mi na twarz. Już zapomniałam, jak uwielbiam to uczucie. Jest jak latanie.

— Na pewno wiesz, dokąd płyniemy? — pyta Kane, przekrzykując ryk silnika, kiedy zwalnim na tyle, żeby móc pokonać kolejny zakręt, po czym znowu dodaję gazu.

— Nie — odpowiadam ze śmiechem. — Zapewne zgubiliśmy się i będziemy musieli polować na aligatory, żeby przetrwać.

Zaciska mi dłoń na kolanie, odwracając się na siedzeniu, żeby na mnie spojrzeć.

— Powiedz, że kłamiesz.

— Nie mogę. Dopóki nie znajdę tego drzewa, którego szukam, nie wiem, gdzie jestem.

— Drzewa? Które być może zniknęło od czasu, kiedy byłaś tu ostatnio? Jezu, Temperance, mówisz poważnie?

— Człowieku małej wiary! — krzyczę zwycięsko, gdy dostrzegam je niecałe sto metrów przed nami. Nie da się go pomylić z innym. Lata temu Rafe powiedział mi, że Indianie zaplatali namorzyny, żeby dzięki temu łatwiej znajdować drogę. Niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie, ułatwia mi to pamiętanie o tym punkcie orientacyjnym. — Tutaj musimy skręcić i przez jakiś czas kierować się na północ.

Kane spogląda na mnie z niedowierzaniem, lecz nie protestuje. Wprawdzie trochę wygląda to, jakby ślepy prowadził kulawego, ale i tak nie wpadłam na lepszy pomysł, żeby odnaleźć Rafe'a. Nikt nie zna tych bagien tak dobrze, jak mój brat. To one utrzymywały go przez całe życie: najpierw wykorzystywał je do polowania i wędkowania, a potem do przemytu.

Wiem tyle, żeby dotrzeć do jednej z jego chat... albo pozwolić nam się zgubić. Pół na pół.

Zakręcam wokół pnia, który wygląda znajomo... a przynajmniej mam taką nadzieję.

Przed nami przelatuje czapla i chwytą z wody rybę, po czym ląduje na gałęzi martwego drzewa. Zauważam obok odpoczywającego na pniu aligatora i klepię Kane'a po plecach, żeby mu go pokazać.

— Widzisz go? To jeszcze młodziak. Sporo urośnie.

— Skąd wiesz?

Zazwyczaj próbowałabym ukryć swoją wiedzę na temat rzeczy związanych z mokradłami, ale w obecności Kane'a coś sprawia, że powrót tutaj ma inny smak.

— Pochodzę stąd. — Po raz pierwszy w życiu, mówiąc to, nie czuję się *gorsza*. To po prostu fakt, jak każdy inny. Może to Kane tak na mnie wpływa.

Zauważam w oddali zarysy budynku.

— O, tam. Widzisz? Przed nami.

Kane odwraca głowę w tamtą stronę i kładzie dłoń na czterdziestce piątce.

— Podpłyn powoli.

Zwalnim na tyle, że ślizgacz właściwie płynie siłą rozpędu. Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, kiedy Kane nie zaprotestował na wieść, że będę prowadziła.

— I tak nas usłyszą.

Silnik ślizgacza jest przerażająco głośny, dlatego przez całą drogę musieliśmy mieć założone nauszники i do siebie wrzeszczeć.

— Nie to mnie martwi. — Wyciąga broń i celuje w chatę.

— Nie zastrzel mojego brata.

— Nie mogę tego obiecać, jeśli on wypali pierwszy.

Wiem, że to się nie zdarzy, więc spokojnie kieruję ślizgaczem, aż uderzamy w pale, na których stoi chata. Wyłączam silnik.

Gdy ściągam ochraniacze, cisza aż dzwoni mi w uszach. Słyszać jedynie szum liści na wietrze, głosy

ptaków i chlupot wody.

— Nie ma go tutaj. — Wprawdzie nie pozwalałam sobie na nadzieję, że na pewno tu będzie, ale i tak czuję ukłucie rozczarowania.

— Może nie teraz, ale mógł być wcześniej.

Kane wyskakuje z łódki i chwytając cumę dziobową, żeby ją przywiązać. Ja robię to samo z rufą.

— Zaczekaj tu! — woła i najpierw obchodzi chatę, po czym otwiera drzwi i zagląda do środka. Chwilę później krzyczy: — Czysto.

Wyskakuję na brzeg i ruszam w stronę drzwi. Gdy tylko przekraczam próg, wiem, że Rafe tu był, bo w powietrzu nadal unosi się zapach jego ulubionej przyprawy kajeńskiej.

— Musiał tu być jeszcze niedawno.

— I najwyraźniej wiedział, że ktoś będzie go tu szukał — Kane wskazuje na ścianę.

Na drewnie nabazgrane są trzy słowa, których jednak nie byłby w stanie odczytać nikt poza mną. Stenografia używana przez Rafe'a nie jest standardowa.

— Co to znaczy? — pyta Kane.

Serce zaciska mi się boleśnie.

— *Nie szukajcie mnie.*

— Sukinsyn.

— Tak. — Całe pełne nadziei podekscytowanie towarzyszące mi w tej wyprawie teraz się ulatnia. — Nie chce zostać znaleziony.

— To cholerna szkoda. — Kane odwraca się i uderza pięścią we framugę. — Pieprzony Ransom.

Rozglądam się po wnętrzu chaty, jakbym mogła na tej podstawie dowiedzieć się, co tu się wydarzyło. Zamykam oczy i wdycham zapach, wyobrażając sobie, jak Rafe gotuje w żeliwnym kociołku nad niewielkim ogniem gulasz z aligatora.

— Na pewno nie umiera z głodu. Nie jest ranny. Po prostu się ukrywa. Ale jaki u diabła ma plan? Musi mieć jakiś plan. — Spoglądam na Kane'a. — Musi też wiedzieć, że to się nie uda. Musi wiedzieć, że mnie w to wciągnął, prawda?

Kane kiwa głową.

— Wie też, że Mount nie pozwoli, żeby coś ci się stało, więc uznał, że jesteś bezpieczna.

— Tak mu się wydaje.

— Nie, ma rację. To jedyna rzecz, na którą może liczyć.

— Skoro mój pomysł nic nam nie dał, co teraz robimy?

Rozdział 23

Kane

Temperance może już się poddała, jeśli chodzi o własny plan, ale ja jeszcze nie zakończyłem inspekcji chaty. Przykucam obok stosu drewna i dostrzegam świstek papieru. Zerkam przez ramię i widząc, że ona już kieruje się do drzwi, szybko go wyjmuję i rzucam okiem, po czym wsuwam do kieszeni.

Dzięki, Ransom.

Wsuwam między drewno telefon na kartę, który ze sobą przyniosłem. Jest w nim zapisany tylko jeden numer, więc nie będzie wątpliwości, do kogo chcę, żeby zadzwonił.

Wstaję i idę za nią.

— Myślisz, że doprowadzisz nas z powrotem do przystani, nie gubiąc się?

— Może.

Temperance wchodzi znów do ślizgacza i podobnie jak za pierwszym razem, gdy usiadła za sterem, uderza mnie, jak bardzo jest kompetentna.

Inne znane mi kobiety piszcząłyby ze strachu na widok pająka, którego ona po prostu zmiotła z lekko zapleśniałego siedzenia. Temperance po drodze wskazywała mi aligatory tak, jak inne kobiety mogłyby pokazywać kwiaty.

Naprawdę jest jedyna w swoim rodzaju.

— Przykro mi, że zmarnowałam twój czas. Pomyślałam sobie, że może...

— Nie przepraszaaj. Tak naprawdę... — Wyjmuję z kieszeni niewielki notes, bez którego nigdzie się nie ruszam. — Zostawmy mu wiadomość. Nie wiadomo, może tam jeszcze wrócić.

— Co mu napiszemy?

— Czy ty też potrafisz się posługiwać tą stenografią?

Kiwa głową.

Podchodzę bliżej. Wydieram kartkę z notesu i podaję jej wraz z długopisem.

— Powiedz mu, że jesteś bezpieczna, ale chcesz z nim porozmawiać. Musisz wiedzieć, czy jest cały i zdrowy.

Odwraca się, żeby oprzeć kartkę na burcie, a po chwili mi ją oddaje. Zerkam na papier. Pismo wygląda jak niemające sensu gryzmoły.

— Poważnie?

Sztywnieje.

— Nie ja to wymyśliłam. On mnie tego nauczył.

— Nie osądzam. To bardzo wygodne, że możecie posługiwać się szyfrem, którego nikt inny nie zna.

Zaraz wracam.

Zaciska usta, podczas gdy ja wracam do chaty i jeszcze raz rozglądam się dookoła, po czym przybijam kartkę do ściany jakimś znalezionym na podłodze gwoździem.

Lepiej zadzwoń, dupku. Jeśli w ogóle zależy ci na swojej siostrze...

Z tym cichym rozkazem odwracam się i wychodzę.

Rozdział 24

Temperance

— Skręć tu w prawo. Drugi podjazd po prawej. Skrzynka pocztowa zrobiona jest z rury wydechowej.

Kane uniósł tylko brew, gdy powiedziałam mu, że po zwróceniu łódki do sklepu wędkarskiego muszę pojechać w pewne miejsce, ale nie protestował. Może chodziło o ton głosu, którym o to poprosiłam, a może podświadomie obiecywałam mu jakieś seksualne usługi. Tak czy siak, jechaliśmy na złomowisko i przez parę godzin mogłam nie pamiętać, że mój plan odnalezienia brata spalił na panewce.

— Tu? — Zwalnia na widok skrzynki pocztowej Elijaha.

Nadal pamiętam dzień, kiedy ją zrobiliśmy, a ojciec zdzielił go za wykorzystanie części nadających się jeszcze do sprzedaży. Zmarł zresztą sześć miesięcy później i nikt z obecnych na pogrzebie nie płakał. Elijah i ja wywodzimy się z podobnych rodzin.

— Tak, to ta.

Wcześniej skrzywiłabym się na samą myśl, żeby przywieźć tu Kane'a, ale już pokazałam mu jedną z chat brata na bagnach. Zakosztował mojego talentu do prowadzenia ślizgacza i nie wydaje się patrzeć na mnie inaczej niż wcześniej, więc postanowiłam zaryzykować.

Naprawdę gotowa jestem na wiele się poważyc, żeby tylko dostać w ręce spawarkę lub lutownicę i jakiś metal. Jak narkoman na głodzie potrzebuję swojej działki.

Kane przejeżdża przez otwartą bramę z siatki.

— A więc to tu wszystko się zaczęło? Spawałaś metal na złomowisku?

Kane rozgląda się po rzędach zezłomowanych samochodów i zastawiam się, czy tak jak ja widzi w nich potencjał, czy też odpady — jak wszyscy pozostali.

— Coś w tym rodzaju.

— Przez lata spędziłem sporo czasu na złomowiskach. Nie zawsze można znaleźć nieużywane części potrzebne do renowacji czegoś.

Coś w tej uwadze sprawia, że zaczyna we mnie kiełkować dziwna nadzieja. *Widzi możliwości.*

— Jedź tą drogą aż do metalowego baraku. Możemy zaparkować obok niego.

Kiwa głową i powoli toczymy się wzdłuż alejek.

— O, nieźle, widziałaś tego wagoneera? — Kane hamuje. — Jest w kiepskim stanie, ale przydałoby mi się trochę części, żeby odnowić swojego.

— Kto ci odnawia samochody?

— Dużą część pracy wykonuję sam. Tyle, ile jestem w stanie. Nie przepadam za remontowaniem silników, to czasem zlecam komu innemu.

— To musi trwać całe lata.

Wzrusza ramionami, tak jakby to nie było nic takiego, ale dla mnie jest inaczej.

— Niektóre kupiłem już po renowacji. Innych po prostu nie mogłem zostawić; jak na przykład ten wagoneer... Mógłby być początkiem ciekawego przedsięwzięcia.

Czuję w piersi rozchodzące się ciepło.

— Eli zapewne pozwoli ci się rozejrzeć, jeśli go poprosisz. Jeśli jednak chodzi o negocjacje, twarde z niego zawodnik. Zwłaszcza gdy wyczuje pieniądze.

— Wątpię, żeby wyczuł je ode mnie. — Kane zerka na swoją poplamioną smarem koszulkę, podarte dżinsy i ciężkie buty.

Gdy zobaczyłam go rano, omal nie dostałam zawału. Ten facet jest jak kameleon. Wybiera kostiumy, jakby starał się dopasować do sytuacji. Teraz jednak jest po prostu sobą. I najwyraźniej trzeba poplamionej koszulki i podartych dżinsów, żebym zaczęła rozpaczliwie pragnąć zerwać z niego ubranie.

— Nawet pod takimi ciuchami będzie potrafił je rozpoznać.

— Poradzę sobie — mówi i nie mam wątpliwości, że tak będzie. Ten człowiek jest bardziej

kompetentny niż ktokolwiek, kogo znam. W każdych okolicznościach promieniuje cholernie podniecającą pewnością siebie.

I jeśli zaraz nie przestanę myśleć w ten sposób, nigdy nie wysiadziemy z tego tahoe.

Sięgam do klamki.

— Wejdźmy do środka.

— Co do kurwy, Tempe? Dobrze wiesz, że nie powinnaś nikogo tu przywozić! — Elijah z wściekłością rzuca kątówkę na warsztat i rusza w naszą stronę. — Kim ty jesteś, dupku?

Kane zaciska szczęki i zaczynam się zastanawiać, jak bardzo skopałam sprawę, nie uprzedzając Elijaha, że przyjedziemy. Wygląda na to, że za chwilę będę świadkiem bójk.

— Nie waż się mówić do niej w taki sposób! — Kane staje przede mną i zaciska przy ciele dłoń w pięści.

— Będę do niej mówił, jak tylko zechcę. Jesteś u mnie, na moim terenie i to ja tutaj dyktuję zasady.

— Przepraszam, Eli, nie pomyślałam.

Kane zerka na mnie przez ramię.

— Nie przepraszaj go.

Staje twarzą w twarz z Elijahem pośrodku dużej blaszanej szopy. W ich zasięgu znajduje się zbyt wiele przedmiotów potencjalnie służących jako broń, więc naprawdę żałuję impulsywnej decyzji, żeby tu przyjechać.

— Przychodzisz do mnie i gadasz jakieś głupoty? Myślisz, że możesz mnie pokonać, twardzielu?

— Przepraszam panią! — rozkazuje Kane.

— Za nic nie będę przepraszać. Powinna wiedzieć lepiej. Nie wolno tu nikogo przyprowadzać, a jeśli to zrobi, to ta osoba już stąd nie wyjdzie.

Kane przykładając Elijahowi pistolet do skroni tak szybko, że nawet nie zdążam dostrzec, kiedy go wyciągnął.

— Czyżby?

— Proszę, Kane, nie rób tego. On wcale nie chce być dupkiem, po prostu czasami nie potrafi się powstrzymać.

Kane nawet na mnie nie patrzy.

— Nikomu nie wolno tak do niej mówić. W dupie mam, kim jesteś albo ile samochodów sprzedałeś na części. Zakopię cię na twoim własnym podwórku, skurwielu.

Na dłuższą chwilę zapada cisza i zastanawiam się, czy Elijah ją przerwie, czy też będę musiała chwycić jakiś klucz i przydzwonić im obydwu po łbach, zanim ktoś naprawdę zginie.

— Pieprz się — wykrztusza w końcu Elijah.

Świetnie.

— Przestańcie obydwaj, proszę. — Spoglądam na Elijaha. — On mnie broni, bo Rafe wpakował się w jakieś niezłe gówno. To rozkaz Mouna. Nic nikomu nie powie.

— Temperance — zaczyna Kane, ale Elijah patrzy raz na mnie, raz na niego, szeroko otwartymi oczami.

— Jesteś jednym z jego pieprzonych sługusów, tak? Wydaje ci się, że jesteś kimś ważnym, bo twój szef trzęsie całym miastem, tak?

— Nie jestem niczym sługusem i jeśli nie przeprosisz Temperance, to będę tym facetem, który najpierw spuści ci światowej klasy manto, żeby cię nauczyć, jak należy traktować kobiety, a potem z tobą skończy.

— Eli, do jasnej cholery, przepraszam!

Elijah chyba słyszy moją desperację, bo nie mam wątpliwości, że Kane byłby gotów zrealizować swoje groźby. Elijah może być największym sukinsynem w całej okolicy, ale Kane to zupełnie inna liga.

— Przepraszam, Tempe. Wiesz, że nie mówiłem poważnie.

— Wiem. — Przenoszę wzrok na Kane'a. — Proszę, schowaj broń. Gramy w tej samej drużynie.

— Masz na myśli drużynę „Bzyknąłem Temperance”? — pyta Elijah z głupawym uśmieszkiem.

Matko Boska, jacy ci faceci są czasami durni!

Kane z powrotem wyciąga gnata.

— Kane, błagam, nie!

— Jedyńm powodem, dla którego nie pociągam za spust, jest to, że mnie o to poprosiła. Przepróś jeszcze raz i uważaj na to, co gadasz.

Elijah spogląda mi w oczy i widzę w jego spojrzeniu ziarno szczerości.

— Przepraszam, Temperance. Poproś swojego psa stróżującego, żeby mnie nie zabijał.

— Nie zabije cię. Nie trzeba cię zabijać — mówię przekonana, że to prawda. — To nie w jego stylu.

— Jeśli nie będzie trzymał gęby na kłódkę, może jeszcze okazać się, że się mylisz — warczy Kane, opuszczając pistolet.

Elijah cofa się, poprawia koszulę i mierzy Kane'a wzrokiem.

— Chyba nie powinienem być zaskoczony, że Mount wysłał kogoś, żeby ją chronił. Kim tak w ogóle jesteś?

— Czy to ma znaczenie?

Elijah unosi brodę.

— Chcę wiedzieć, że jest bezpieczna.

Spodziewam się, że Kane powie mu, żeby się pierdolił, jednak tego nie robi.

— Mówią do mnie Saxon.

Jeśli wcześniej zdawało mi się, że Elijah szeroko otworzył oczy, to teraz wygląda, jakby za chwilę miały mu wyskoczyć z tej durnowatej głowy.

— Niemożliwe, kurwa — szepcze, spoglądając na mnie i na Kane'a. — Temperance, to pieprzony zabójca na zlecenie, nie ochroniarz. Jezu Chryste.

— Wiem. Wszystko w porządku. — Staję bliżej Kane'a w nadziei zademonstrowania, że stanowimy jeden front. Zupełnie jakby nie mógł się powstrzymać, obejmuje mnie ramieniem w talii.

— Nie jest, kurwa, w porządku. Nie wiesz, kim on jest. Nigdy nie zawiódł, zawsze wypełnia zlecenia.

— Elijah porusza się niespokojnie, spoglądając raz na mnie, raz na Kane'a. — Nigdy nie zdarzyło się, żeby nie wypełnił kontraktu, więc zarabia obłędne pieniądze.

W odpowiedzi na lęk i podziw Elijaha czuję jakiś niepokój, rodzący się w żołądku.

— To prawda? Naprawdę nigdy nie zdarzyło się, żebyś nie wypełnił zlecenia? A więc Rafe...

Elijah wpatruje się w dłoń Kane'a spoczywającą na moim biodrze.

— Zaraz, chcesz powiedzieć, że ten facet przyjął zlecenie na twojego brata? A ty... — macha palcem między nami — ...się z nim *pieprzysz*? Chyba sobie żartujesz.

Czuję, jak Kane sztywnieje, i wiem, że muszę rozładować sytuację, zanim dojdzie do wybuchu.

— Nie będę się przed tobą tłumaczyć, Eli.

— Cóż, powinnaś się komuś tłumaczyć, żeby zrozumieć, jak bardzo to popieprzone.

— Koniec tematu, chyba że widziałeś Rafe'a. Wtedy mógłbyś nam pomóc.

Elijah zaciska usta w wyrazie uporu i przez moment sądzę, że nie odpowie, jednak po chwili potrząsa głową.

— Nie. Miałem robotę dla niego, więc wysłałem mu wiadomość. Nie odpowiedział. Od ponad tygodnia. Sądziłem, że po prostu w końcu wpadł, a ja jakimś cudem o tym nie słyszałem. W co on się w ogóle wpakował?

— To długa historia.

Elijah wzrusza ramionami.

— No cóż, nawet szczęście Ransoma musiało się w końcu wyczerpać.

Rozdział 25

Kane

Ten sukinsyn ma szczęście, że go nie zabiłem. Temperance miała rację — nie *trzeba* go zabijać, ale szczerze mówiąc sam się o to prosi każdym wypowiedzianym słowem. Naprawdę muszę się z całej siły powstrzymać przez kolejne dwie godziny, podczas gdy ona pracuje, żeby nie pociągnąć za spust.

Dopiero kiedy niesiemy rzeźbę Temperance do samochodu, Elijah rzuca prawdziwą bombę.

— Wiem, gdzie cię wcześniej widziałem! W tej kafejce na rogu, niedaleko mieszkania Tempe! Powinienem być wcześniej cię rozpoznać.

— Jeśli chcesz żyć, lepiej, żebyś zaraz zapomniał, że mnie rozpoznałeś.

Jeży się.

— Nie lubię cię.

— A ja mam w dupie, czy mnie lubisz, czy nie.

— Przestańcie się kłócić, obydwaj! Przysięgam, jesteście gorsi niż psy podwórzowe, które trzyma Eli!

— Co? Czyżbyś chciała nas za to winić? Obaj chcemy cię oznaczyć jako swoje terytorium — mówi ten śmieć.

— Uważaj! — warczę ostrzegawczo.

— Wystarczy! Dziękuję, że pozwoliłeś mi tu dzisiaj popracować, Eli. Zadzwoń, jeśli dowiesz się czegokolwiek na temat Rafe'a. Proszę. On jest wszystkim, co mi zostało.

Ten dupek ściska ją na pożegnanie i rzuca mi cwaniacki uśmieszek. Aż mnie ręce świerzbią, żeby znowu przytknąć mu czterdziestkę piątkę do głowy.

Kiedy wyjeżdżamy przez bramę na główną drogę, odwracam się do Temperance i przekazuję jej wieść, jakiej nie ma ochoty słyszeć.

— Więcej tu nie przyjedziesz.

— Co? — odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć, i niebieska bandana, którą związała włosy do pracy, zsuwa jej się z głowy.

— Nie podoba mi się.

— Jestem pewna, że to uczucie jest odwzajemnione.

— Mam to w dupie.

— Co to ma być? Jakiś konkurs, kto ma dłuższego kutasa?

— Nie ufam mu. Skoro sprzedaje na części kradzione samochody, to znaczy, że ma swoje słabości i znajomości. Ktoś mógłby go przeciągnąć na swoją stronę. To zbyt ryzykowne.

Temperance spogląda na mnie, jakbym właśnie powiedział jej, że ten facet jest seryjnym zabójcą.

— Znam go przez całe życie. Nie sprzeda mnie.

Zatrzymuję się przed znakiem stopu.

— Jeśli w to wierzysz, to jesteś bardziej naiwna, niż sądziłem.

Krzyżuje ramiona na piersi.

— I dlatego właśnie jesteś sam.

— Dzięki temu wciąż żyję.

— On nie zrobiłby niczego, żeby mnie skrzywdzić — mówi zdecydowanie, po czym szybko odwraca wzrok, jakby chodziło o coś więcej.

— Co?

— Kiedyś mnie zdradził... ale to dlatego, że chciał, żebyśmy wyjechała z bagien. Nie chciał, żeby tu została i żyła w taki sposób, wiedział, jak bardzo pragnęłam od tego uciec — Temperance urywa. — Pozwolił mi odejść, chociaż tego nie chciał.

— Co nie znaczy, że nie spróbuje przyciągnąć cię z powrotem, gdy będzie miał taką szansę.

— To nie tak.

— Akurat! Tak byłoby w przypadku każdego faceta, który pozwolił ci odejść. Sądysz, że nie marzy o tym, żebyś wróciła, żeby spróbować jeszcze raz?

— A więc tu nie chodzi o moje bezpieczeństwo, tylko po prostu jesteś zazdrosny!

Otwieram usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale zamykam je z powrotem. Nie mogę powiedzieć, że nie jestem zazdrosny. Nigdy wcześniej nie byłem, więc to moje pierwsze doświadczenie z tym uczuciem.

Tak czy siak, to nie ma znaczenia. Jedyne, co się liczy, to żeby Temperance była bezpieczna.

Milczę, ale w środku zżera mnie jedno pytanie.

Czy ja będę potrafił z niej zrezygnować?

Może faktycznie Elijah jest ode mnie lepszy, bo nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Rozdział 26

Temperance

Kane i ja rozchodzimy się w milczeniu po powrocie do domu. Nadal jestem wściekła z powodu tej przepychanki, w którą wdał się z Elijahem. Biorę prysznic, przebieram się w czyste, postrzępione jeansy i zabieram za odpowiadanie na e-maile, które przysłyły w czasie, kiedy uganiałam się za duchami. Wysyłam też Valentinie wiadomość, że mam gotową kolejną rzeźbę.

Jak on śmie mówić mi, że nie mogę wrócić na złomowisko? Ta decyzja nie należy do niego.

Pożeram jakieś znalezione w lodówce jedzenie. Kane nie pokazuje się od paru godzin. Zakładam, że siedzi w centrum bat-jaskini, próbując wytropić Rafe'a lub ludzi, którzy pragną jego śmierci.

Rafe jest bystry, powtarzam sobie. Nikt go nie znajdzie, o ile nie zachce być znaleziony.

Tyle że był dostatecznie głupi, żeby wpakować się w to bagno. Mam ochotę trzasnąć go w łeb.

Zeskakuję ze stołka i zaczynam nerwowo chodzić w tę i z powrotem, zastanawiając się, jak nas wydobyć z tego gówna i skąd teraz wytrzasnę metal i konieczne narzędzia, żeby tworzyć rzeźby dla Valentyny, jeśli nie będę mogła jeździć do Elijaha. Nie uświadamiam sobie nawet, że tupię jak stado słońi, dopóki Kane nie pojawia się za mną, omal nie przyprawiając mnie o zawał.

— Nie zakradaj się do mnie w ten sposób!

— Nadal jesteś zła?

— Tak. — Nawet nie próbuję kłamać. Próbuję też nie zwracać uwagi na to, że wziął prysznic, przebrał się i pachnie teraz niemożliwie atrakcyjnie.

— Chodź. Wychodzimy.

Na chwilę zapominam o gniewie.

— Znalazłeś coś? Jakiś ślad?

Nie odpowiada, jedynie kieruje się w stronę windy.

— Ale...

Otwiera kratę.

— Idziesz czy nie?

Czy zamierzam ślepo zaufać płatnemu zabójcy, który sądzi, że może mi rozkazywać? Odwracam się na pięcie i idę za nim. Najwyraźniej odpowiedź jest twierdząca.

— Dokąd jedziemy? — pytam po chwili.

Gdy wyjeżdżamy na przedmieścia, ściąga mi z głowy czapkę. Na zewnątrz jest już ciemno i zapewne powinnam się zastanawiać, czy popełniam błąd, ufając mu, ale tego nie robię.

— Zobaczysz.

— Co to znaczy?

Chrząka i skręca w nieoświetloną drogę. Mija kolejne dziesięć minut, nim uświadamiam sobie, dokąd jedziemy, i otwieram usta ze zdumienia.

— Chyba żartujesz! Nie możemy tam jechać!

Spogląda na mnie, odwracając na moment wzrok od drogi.

— Dlaczego nie?

Macham dłońmi przed twarzą, wskazując na brak makijażu, postrzępione džinsy i koszulkę zdecydowanie pamiętającą lepsze czasy, chociażby kiedy ją dostałam jeszcze w college'u.

— Nie mogę się tam tak pokazać. Wyrzucą mnie. Jestem pewna, że to niezgodne z obowiązującymi zasadami ubioru, o których nikt mnie nie poinformował.

Reflektory oświetlają kutą metalową bramę na końcu drogi i krótki moment paniki przeradza się we wściekłość, którą już wcześniej chciałam uwolnić.

— Zawróć. Już. Chcę do domu — Brzmie jak rozpieszczony bachor, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie mam zamiaru poniżyć się, wchodząc do tej wspaniałej rezydencji w ciuchach, w których mogłabym

jedynie pojechać na złomowisko.

Hamuje przed bramą i opuszcza szybę, warcząc „Saxon!” w kierunku domofonu. Zamyka, zanim zdąży usłyszeć, czy pada jakakolwiek odpowiedź, jednak brama otwiera się i Kane przejeżdża.

— Nie waż mi się tego robić. Naprawdę nie jestem w nastroju, Kane. Czy Saxon. Czy kimkolwiek dzisiaj jesteś. Zabierz mnie do domu.

Zerka na mnie.

— Nie.

Panie, chroń mnie przed samcami alfa, którym się zdaje, że mogą mną dyrygować.

Krzyżuję ramiona na piersi.

— Nie wysiądę z samochodu. Możesz iść, jeśli chcesz, a ja tu poczekam, aż skończysz.

Nic nie mówi, tylko zatrzymuje się przy parkingowym.

— Nie zamierzam tego zrobić. — Głos mi drży i skłamałabym, mówiąc, że mimo gniewu nie odczuwam również podniecenia między nogami.

Ale nigdy się do tego nie przyznam.

Gdy parkingowy otwiera drzwiczki, Kane pozdrawia go skinieniem głowy i wysiada. Ja nadal siedzę na swoim miejscu.

Przecież nie...

Nie zdążyłam dokończyć myśli, bo Kane obchodzi maskę i otwiera drzwi pasażera.

— Pasy.

— Nigdzie nie idę.

— Pasy — powtarza.

— Pieprz się — szepczę na tyle cicho, żeby stojący tuż obok Kane’a parkingowy nie mógł słyszeć.

— Nic z tego, księżniczko. Dzisiaj zamierzam cię pieprzyć, aż nie zostanie w tobie nic z tego tupetu.

Wyciąga rękę, jednak nie kieruje jej w stronę gniazda pasów, jak się spodziewałam. Zamiast tego chwyta taśmę tuż ponad moim ramieniem i widzę w przyćmionym świetle błysk. Pas opada mi na kolana, po czym zostaje wciągnięty.

Nóż. To niemożliwe. Nie zrobił tego.

W czasie gdy nadal usiłuję pojąć, że Kane właśnie przeciął mój pas bezpieczeństwa, on sięga po mnie i podnosi z siedzenia, a potem przerzuca sobie przez ramię.

— Och, nie waż się nawet...

— Wejdę od tyłu — mówi do kogoś, kogo nie widzę.

— Nawet nie myśl o moim tyle, dupku. Powiedziałam, że chcę wracać do domu!

Śmieje się i podrzuca mnie wyżej na ramieniu.

— Czasami sama nie wiesz, czego potrzebujesz, księżniczko. Ale ja to widzę. Żar, który płynie w twoich żyłach, każe ci się mi sprzeciwiać. Ale tak naprawdę potrzebujesz, żebym pokazał, dlaczego wciąż tu wracałaś, chociaż mówiłaś sobie, że nie powinnaś.

Słyszę skrzypnięcie drzwi. Wchodzimy do środka i czuję, że Kane niesie mnie w dół po schodach.

— Potrzebujesz kogoś, kto potrafiłby ukierunkować twoją energię, powiedział ci, że nie ma nic złego w tym, że chcesz więcej, pokazał ci, jak to wziąć. Nie jestem twoim strażnikiem, asystentem ani pieprzonym ochroniarzem, Temperance. Jestem twoim facetem i najwyższy czas przypomnieć ci, dlaczego chciałaś, bym nim był.

Jego deklaracje sprawiają, że odejmuje mi mowę i nie jestem w stanie zaprzeczyć, bo zawiesiłam się na słowach „jestem twoim facetem”.

Czy tym właśnie jest? Nie pozwalałam sobie nawet rozważać, że moglibyśmy stworzyć coś razem, kiedy ta zwariowana sytuacja dobiegnie końca. Naprawdę myśl, że gdy to wszystko się skończy, on po prostu zniknie, a mnie pozostaną jedynie wspomnienia czasu, w którym wreszcie poznałam równego sobie mężczyznę, rozdzierała mnie na strzępy.

Mój facet.

Czuję wzdłuż kręgosłupa dreszcz niemający nic wspólnego z tym, że wchodzimy do nieznanego mi wcześniej pomieszczenia.

Kane stawia mnie na podłodze i ujmuje w dłonie moją twarz.

— Tak, księżniczko. Twoim facetem. Tym właśnie jestem, rozumiesz? — Wpatruje się we mnie tak

intensywnie, że zamieram. — Musisz mi powiedzieć, że to rozumiesz i że tego pragniesz.

Zaciskam usta całkowicie obezwładniona burzą emocji, które się przeze mnie przetaczają.

— Chcesz być ze mną? Jeśli nie, powiedz tylko i wyjdziemy z powrotem przez te drzwi.

Odwracam wzrok i rozglądam się dookoła.

— Gdzie my jesteśmy?

— W pokoju BDSM.

Czuję falę podniecenia i odruchowo zaciskam uda.

— Tak czy nie, Temperance. Podejmij decyzję.

Już wiadomo, co powiem, jak zawsze gdy dotyczy to Kane'a.

— Tak.

Skoro tylko wypowiadam to słowo, Kane puszcza moją twarz, podnosi mnie i przekłada przez jakąś ławę.

— Co ty robisz?

— Upewniam się, że nie będzie żadnych pieprzonych wątpliwości, do kogo należysz. Czy kiedykolwiek byłaś związana? — pyta.

— Nie.

— To zaraz będziesz. Jeśli to dla ciebie za dużo, wystarczy, że powiesz „przestań” albo „nie”. Nie potrzebujemy żadnego wymyślnego hasła bezpieczeństwa, żebym przerwał, kiedy będziesz miała dość. — Zatrzymuje się, trzymając dłoń na mojej kostce. — Pasuje ci to?

— Tak.

— Dobra dziewczynka. — Oplata mi kostki u nóg i nadgarstki więzami i zapina je.

Pociągam za miękko wyściełane paski i serce mi przyspiesza, tym razem nie z gniewu, lecz z oczekiwania wymieszanego z odrobiną lęku. Jego dłonie obejmują moją talię i chłoną ciepło jego ciała. Ten mężczyzna wyzwolił we mnie jakąś dzikość, coś, co potrzebuje dominacji, żeby poczuć zaspokojenie.

Kane szybko rozpiną guziki moich dżinsów i zsuwa je z tyłka wraz z majtkami, po czym, nie marnując czasu, wymierza mi pierwszego lekkiego klapsa w prawy pośladek.

Wyginam plecy w łuk, jakby prosząc o więcej.

— Sądziś, że nie wiem, że tego pragniesz? Sądziś, że nie widzę, kiedy czujesz się niepewna lub przestraszona i nie wiesz, jak poprosić o to, czego potrzebujesz, by te uczucia zniknęły? Ja cię rozumiem, Temperance. Widzę i rozumiem każdą część ciebie, nawet te, których sama nie chcesz zobaczyć.

Jak to możliwe, że on widzi to, do czego wstydzę się przyznać nawet sama przed sobą?

Wymierza mi kolejnego klapsa, Wypinam się bardziej, a on masuje moją gorącą skórę, jednocześnie łagodząc i intensyfikując palący ból.

— Ten tyłek? Należy do mnie. Będę dawał ci klapsy, wsadzał korek, pieprzył i robił z nim wszystko, co mi się zamarzy. — Czuję kolejne uderzenie i jęczę. — A ty będziesz zachwycona każdą minutą, ponieważ... *należysz do mnie.* — Ostatnie trzy słowa podkreśla kolejnymi uderzeniami, które rozpalają wszystkie zakończenia nerwowe mojej skóry.

Boleśnie go pragnę... gdybym nie była związana, błagałabym go i wspinała się na niego.

— Proszę... — to słowo brzmi płacząco.

— Co, księżniczko? Potrzebujesz więcej?

— Tak — szepczę.

— Dostaniesz tyle, ile będziesz w stanie znieść. To ci mogę obiecać — Jeszcze trzykrotnie uderza mnie w pośladki, po czym klepie w wewnętrzną stronę ud.

— Rozszerz kolana. Chcę sprawdzić, jak mokra jest moja cipka.

Jego cipka. To, jak zawłaszcza moje ciało, nie powinno budzić we mnie takiego dreszczu rozkoszy... ale tak się dzieje. Nigdy nie sądziłam, że będę mogła zdobyć tego mężczyznę, a teraz wygląda na to, że on uważa mnie za swoją własność — a to znaczy, że on należy do mnie. I będę mogła go zatrzymać.

Nigdy nie pragnęłam nikogo zatrzymać tak bardzo, jak teraz Kane'a.

Sięga od tyłu pomiędzy moje nogi i czuję, jak opuszki prześlizgują się po nagromadzonej tam wilgoci.

— Zawsze jesteś tak zajebiście mokra, tak gotowa na mnie. Uwielbiasz to, prawda?

Próbuję powstrzymać kolejny jęk, ale gdy Kane wsuwa we mnie gruby palec, nie daję rady.

— Tak!

Pieprzy mnie palcem, aż czuję, że zbliżam się do granic utraty zmysłów i zaczynam napinać więzy, próbując się uwolnić. Ale tak naprawdę pragnę tylko więcej tego, co może mi zaofiarować.

I wtedy przeciąga mokrym palcem od cipki w kierunku odbytu.

— Powiedz mi, jeśli mam przerwać i zostawić tę słodką ciasną dupkę w spokoju. — Okręza palcem moją dziurkę. — Czy tego chcesz, księżniczko? Żebym przestał?

Poruszam biodrami, napierając na jego palec, pragnąc silniejszego nacisku. On jednak zabiera dłoń i wymierza mi klapsa w biodro.

— Odpowiedz, albo przestaniemy.

— Nie chcę, żebyś przestawał.

— Jesteś pewna?

Odsuwa się ode mnie i słyszę dźwięk rozdzieranego opakowania.

— Co robisz?

— To nie jest właściwe pytanie, Temperance. Chcę wiedzieć, jak daleko zechcesz się posunąć. Ile pozwolisz mi sobie dać.

Napinam więzy.

— Nie możesz się ruszyć, dopóki cię nie uwolnię. A teraz odpowiedz na pytanie albo dzisiejszy wieczór dobiegnie końca.

— Chcę wszystkiego, do jasnej cholery! — Te słowa brzmią jak okrzyk bojowy, po czym dodają ciszej: — Chcę wszystkiego, co masz. Chcę całego ciebie.

Znowu zaczyna gładzić mój tyłek.

— Dobrze. Bo właśnie to zamierzam ci dać. Każdy pieprzony kawałek mnie, aż do głębin mojej duszy. Masz mnie, Temperance. Masz mnie całego. Teraz ci to pokażę.

Wylewa na mój tyłek coś zimnego i przechodzi mnie dreszcz.

— To żel nawilżający, księżniczko, nie martw się.

Być może wcześniej by mnie to przestraszyło, ale ufam Kane'owi... Mogę zawierzyć mu swoje ciało i o wiele więcej. Rozprowadza mi śliski żel po tylnej dziurce, a następnie wsuwa pomiędzy łąwkę a łechtaczkę coś gładkiego, co natychmiast zaczyna wibrować.

— Dojdiesz tak mocno, że zapomnisz wszystko, nawet własne imię.

Jestem przyciśnięta do wibrującej zabawki, a Kane zaczyna okręzać mój odbyt, coraz mocniej naciskając i cofając. Wreszcie wsuwa czubek grubego palca do środka na tyle głęboko, żeby przełamać opór zwieracza, po czym wyciąga go z powrotem.

Krótko mówiąc, doprowadza mnie do szaleństwa.

— Jeszcze — błagam.

— Dostaniesz to, co chcę ci dać, gdy będę widział, że jesteś na to gotowa.

Następnym razem wsuwa palec głębiej, może do pierwszego stawu... Jego palec wydaje się olbrzymi. Czuję najbardziej perwersyjne rozciąganie w życiu.

— Chciałem pieprzyć cię w tyłek, odkąd pierwszy raz weszłaś do tamtego pokoju w idealnej spódniczce i bluzeczce, a potem zaczęłaś się wic po biurku, kiedy tamten facet powiedział swojej kobiecie, że będzie ją posuwał w dupeczkę... Wydawało mi się wtedy, że za chwilę dojdiesz na samą myśl o tym.

Nie byłabym w stanie wymazać tego wspomnienia z pamięci, choćbym chciała. Zaczynam się teraz wiercić, przypominając sobie intensywne doznania tamtej chwili.

— Powiedział jej, że kręciła tyłkiem przed innymi ludźmi, a on jej pokaże, do kogo należy — przypominam.

Kane wsuwa we mnie palec jeszcze głębiej. Sutki mi twardnieją, a łechtaczka pulsuje w rytm wibracji zabawki.

— Tak właśnie czułem się wcześniej na tym złomowisku. Patrzenie, jak się tam kręcisz w tych potarganych dzinsach i koszulce, z rozczochranymi pod bandaną włosami... on przyglądał ci się, jakbyś robiła przedstawienie specjalnie dla niego, i naprawdę potrzebowałem całej samokontroli, żeby nie zająć cię od tyłu, przerzucić przez warsztat i pokazać mu dokładnie, dlaczego nigdy więcej nie będzie cię miał.

Ten opis powinien doprowadzić mnie do wściekłości. To, że chciał pokazać Elijahowi, że należę do niego... Jestem niezależną, samowystarczalną kobietą i nie potrzebuję faceta, ale — klnę się na Boga — nie

sądę, żeby było coś złego w tym, że pragnę go mieć... albo że pragnę, żeby raz na jakiś czas obchodził się ze mną w taki właśnie sposób.

— A potem co byś zrobił? — pytam.

Wydaje z siebie niski pomruk i wsuwa mi palec głębiej w tyłek, podczas gdy wibrator pulsuje stałym, powolnym rytmem.

— Chcesz, żebym powiedział ci dokładnie, co sobie myślałem?

— Tak — szepczę. — Każde świńskie słowo.

Nachyla się do przodu z jękiem i przygryza mi zębami ucho, zanim powie:

— Gdy już bym go przepędził, zerwałbym ci spodnie i sprzął ten twój słodki tyłeczek, aż stałby się czerwony, a ty błagałabyś o więcej.

Powolny, równy rytm, w jakim posuwa mnie w tyłek, doprowadza mnie do szaleństwa. Napieram na niego, pragnąc większej intensywności, i on posłusznie mi tego dostarcza.

— A potem pieprzyłbym cię na tym warsztacie, aż wykrzyczałabyś moje imię tak głośno, że cały świat by usłyszał.

Jego słowa budzą we mnie gorączkę, ocieram się o zabawkę, potrzebując jeszcze czegoś więcej, marząc o tym, żeby to Kane jednocześnie pieścił mnie i wypełniał.

— Potrzebuję więcej.

Zamiera z palcem zanurzonym w moim tyłku.

— Potrzebujesz mojego kutasa, księżniczko. Oto, czego ci trzeba.

— Tak!

Odsuwa się znowu na kilka chwil. Słyszę odgłos płynącej wody, a potem szelest kolejnego opakowania. Wreszcie wraca do mnie, a ja desperacko pragnę czegoś więcej.

— Zanim będę cię pieprzył, włożę ci korek, żebyś wiedziała, jak to jest mieć wypełnione obie dziurki jednocześnie.

Czuję, jak główka jego penisa ociera się o moją szparkę.

— Tak. *Błagam*. — Jęczę, zupełnie pozbawiona kontroli, ale mam to gdzieś. Potrzebuję *więcej*.

— Jeszcze nie.

Słyszę, jak otwiera butelkę z żelem i znowu nakłada mi go w okolicach odbytu. Następnie naciska czymś na moją dziurkę i napinam się.

— Odpręż się, księżniczko. Jest tylko trochę większy niż mój palec. Dasz radę. Jesteś gotowa?

Kiwam głową, on jednak nie porusza się.

— Muszę to usłyszeć.

— Tak, jestem gotowa.

Mam tak twarde sutki, że mogłabym nimi ciąć szkło. Wsuwa mi korek, co przeszywa mnie rozkosznym, mrocznym dreszczem. To rozkosz zarazem tak niewłaściwa, nieprzyzwoita i cudowna.

— Kurwa, wyglądasz tak słodko z tym korkiem w tyłku. — Naciska na niego i odsuwam się w pierwszej chwili, potem jednak odwzajemniam nacisk. — Moja dziewczyna uwielbia korek w tyłku — mówi i czuję, jak coś we mnie raduje się tą pochwałą.

Potem znowu czuję nacisk — tym razem czubek jego kutasa zbliża się do mojej szparki. Wcześniej miałam wrażenie, że jest duży, teraz jednak wydaje mi się *olbrzymi*.

— Nie zmieści się — szepczę, obawiając się, że moje ciało nie jest w stanie go przyjąć.

— Zmieści się, obiecuję. — Wsuwa się we mnie kawałek. — Jesteś tak cholernie ciasna, ale się zmieści. Zadaławisz mnie tą słodką cipką, księżniczko. To najśłodsza cipka, jaką kiedykolwiek pieprzyłem. — Wsuwa się do końca i oboje jęczymy głośno, po czym zamieramy, ciężko dysząc.

To niemal zbyt wiele...

A potem on zaczyna się poruszać.

— O mój Boże! — krzyczę, gdy zagarnia mnie pierwszy orgazm.

Rozdział 27

Kane

Temperance jest kurewsko niewiarygodna, a gdy budzi się w niej dzikość, zaczynam się obawiać, że dojdę w sześćdziesiąt sekund jak jakiś szesnastolatek.

Jej wewnętrzne mięśnie zaciskają się wokół mnie, gdy przeżywa orgazm, a korek sprawia, że jest jeszcze ciaśniejsza niż zwykle.

— Jezu Chryste! — Walczę ze sobą i ledwo daję radę się powstrzymać. Jeszcze nie jestem gotowy. Cholernie nie jestem gotowy, żeby już skończyć. Zamieram w bezruchu i skupiam się na kamiennej ścianie przed sobą. Oddycham głęboko, żeby się uspokoić w takim sam sposób, jak robię to, zanim pociągnę za spust.

Sięgam pod nią i wyciągam wibrator, żeby móc jej pieścić dłonią łechtaczkę.

Jest mokra.

— Jeszcze, błagam. — Rzuca głową na boki i żałuję, że nie mogę widzieć jej twarzy. Temperance na krawędzi jest najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem, i chciałbym to oglądać każdej nocy przez resztę swojego życia.

A zresztą nie tylko *nocy*. Po południu, rano... wszystko mi jedno. Po prostu jej pragnę.

— Jeszcze — prosi znowu. Wychodzę z niej i wchodzę znowu, po chwili odnajdując równy rytm, który oboje nas zabiera nad krawędź rozkoszy.

Przypominam sobie jeszcze o czymś, sięgam do kieszeni dzinsów po pilot i wciskam guzik.

Temperance krzyczy, gdy wibrator w korku analnym ożywa, wprowadzając nas na nowy poziom doświadczeń.

— Nie mogę, nie mogę, nie wytrzymam. — Rzuca głową na boki. Wyciągam dłoń i zanurzam jej palce we włosach.

— Możesz i wytrzymasz. Dasz radę, słyszysz mnie? Jeszcze nawet nie wziąłem tego twojego małego tyłeczka. Możesz to znieść. — Pieprzę ją pewnymi ruchami. — Czujesz to?

— Tak!

— Chcesz, żebym przestał?

— Nie!

— W takim razie zniesiesz to wszystko.

— Tak, Kane, proszę!

Wykrzykuje moje imię i jestem stracony. Łańcuch samokontroli pęka i tracę panowanie nad sobą. Mój kutas wchodzi w nią i wychodzi raz za razem, aż ona krzyczy moje imię wielokrotnie, szczytując i zaciskając się wokół mojej pały. Mój orgazm narasta z takich głębin, że obawiam się, że umrę, kiedy wreszcie eksploduję.

Gdy to następuje, utrzymuję się na nogach tylko dzięki temu, że trzymam Temperance.

Rozdział 28

Temperance

Kane myje mnie, a potem odpina więzy i masuje mi kostki i nadgarstki, po czym pomaga stanąć na nogach.

Ciało nadal mi drży po nadmiarze doznań zmysłowych i chwilę trwa, nim jestem w stanie skupić się na otoczeniu.

W pokoju znajdują się specyficzne ciężkie drewniane meble. Kamienne ściany przywodzą na myśl średniowieczny loch pomimo kosztownego orientalnego dywanu pod naszymi stopami.

Za Kanem stoi drewniana komoda z otwartymi drzwiczkami, która przyciąga moją uwagę. W środku na półkach mieszczą się różne erotyczne zabawki, butelki z żelem nawilżającym, wszystko w nowiutkich opakowaniach, tak jak w sklepie erotycznym.

Obok znajduje się niewielka umywalka, częściowo przesłonięta malowanym chińskim parawanem. Podobnie jak reszta wewnątrz w klubie, sprawia wrażenie dostatku czy wręcz przepychu, tutaj jednak łączy się to z funkcjonalnością i praktycznością.

— A więc to jest loch? — pytam głosem schrypniętym od krzyku, co brzmi przez to szorstko.

Kane rozgląda się dookoła, jakby po raz pierwszy widział to wnętrze.

— To prywatny pokój. Loch to otwarta przestrzeń publiczna. Jednak sprzęt BDSM znajduje się głównie tutaj.

Bierze chusteczkę odkażającą i wyciera ławeczkę, do której byłam przywiązana.

— A to jak się nazywa?

Uśmiecha się, spoglądając na mnie przez ramię.

— Ławeczka do klapsów. — Wraca do jej czyszczenia. — Chyba musimy sobie taką sprawić do domu.

Czuję przypływ podekscytowania. *On mówi o przyszłości. O naszej przyszłości.*

Bałam się o tym choćby pomyśleć, odkąd uświadomiłam sobie, że zaczynam się do niego przywiązywać, ale teraz zaczynam się powoli oswajać z takimi wyobrażeniami. Nie zamierzam zacząć wybierać poduszek pasujących do jego kanapy, ale pozwalam sobie na myślenie o nas razem za kilka dni, a nie tylko godzin, co stanowi sporą odmianę.

Jednak nie chcę się dać ponieść marzeniom — mój brat nadal musi się ukrywać, bo wkurzył niewłaściwych ludzi. Może jestem jak struś chowający głowę w piasek, ale nie dam rady przez cały czas myśleć tylko o nim, bo czuję się wtedy strasznie bezradna.

Opieram się o Kane'a, a on obejmuje mnie ramieniem.

— Podoba ci się ten pomysł?

Przypominam sobie, że mówi o ławce do klapsów, i spoglądam na niego spod rzęs.

— Nie powiem, że nie.

Uśmiecha się, pokazując dołeczki w policzkach. Ten facet jest aż zbyt piękny, nawet jeśli to prawdziwie męski typ urody i nawet jeśli sam nigdy by się tak nie określił.

Cóż, myliłby się.

— A teraz co?

— A teraz jedziemy do domu.

Miłe uczucie, które wypełnia mnie na dźwięk słowa „dom”, znika mniej więcej po dziesięciu sekundach od wyjścia na szeroki korytarz.

W naszą stronę pędzi Magnolia.

— Nie wyjdziecie stąd, dopóki nie dowiem się, co się dzieje, do cholery! Zasluguję na to, żeby

wiedzieć.

Kane zamiera obok mnie.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Gdzie on jest? Wiecie coś? Muszę wiedzieć!

Spoglądam raz na mężczyznę u swojego boku, raz na zaniepokojoną kobietę stojącą przed sobą. Ubrana jest w purpurowy gorset i czarną skórzaną minispódniczkę. Niemal wibruje od niepokoju, chwiejąc się na dziesięciocentymetrowych obcasach.

— Nie tutaj i nie teraz.

— Nie wyjdziecie stąd, dopóki nie dostanę jakichś cholernych odpowiedzi. Nikt nie chce mi nic powiedzieć! — Wymija nas i otwiera drzwi do pomieszczenia, z którego właśnie wyszliśmy. — Każę parkingowym przecinać wam wszystkie opony, więc nawet nie próbujcie stąd wychodzić, nie udzieliwszy mi odpowiedzi.

Wyraz twarzy Kane'a, i tak nieprzenikniony, staje się kamienny.

— Nie będziesz mi mówić, co mam zrobić.

— Jesteś mi to winien.

Szczęka Kane'a drga, jednak wchodzi za nią do pokoju, a ja za nimi.

— Ona nie wie — mówi, kiedy tylko Magnolia zamyka za mną drzwi. — Ale najwyraźniej masz to gdzieś i zamierzasz wymusić rozmowę na ten temat.

Spoglądam raz na jedno, raz na drugie, jakbym obserwowała, jak Forrest Gump gra w ping-ponga.

— Czy ktoś wreszcie mi powie, o czym, do cholery, rozmawiacie?

— O twoim bracie — mówi Magnolia, krzyżując ramiona na piersi.

Gapię się na nią, jakbym dopiero uczyła się mówić w tym samym języku.

— Zaraz... Ty i mój brat?

Unosi podbródek.

— A co, uważasz, że jest dla mnie za dobry? Bo zdaje się, że ty też nie jesteś księżniczką błękitnej krwi, przynajmniej kiedy ostatnio sprawdzałam.

— Zaraz! — wyciągam przed siebie dłonie, jednak Kane wtrąca się.

— Uważaj, jak do niej mówisz. Nie miała nic złego na myśli, po prostu jest zaskoczona. Dlaczego miałyby być inaczej? Naprawdę starałaś się zachować w tajemnicy to, jak się za nim uganiałaś.

— Uganiałam? Mówisz, jakby on uciekał przede mną. Nikt nie ucieka przed Magnolią Maison! Powinien dziękować swoim szczęśliwym gwiazdom, że mi się spodobał.

Kane przechyla głowę na bok.

— A jednak oto jesteś i błagasz nas o jakiegokolwiek wiadomości.

— Powiedziałam ci, że słyszałam, że spieprzył dostawę ludzkiego ładunku, a ty nie powiedziałeś mi, że została wyznaczona cena za jego głowę i że to *ty* przyjąłeś ten kontrakt, pieprzony dupku!

— Zaraz, jak to *ludzkiego ładunku*? — Czuję się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w żołądek. — Mój brat jest zaangażowany w handel ludźmi? Chyba się porzygam. — Czuję, jak kolana się pode mną uginają, i rozglądam się, żeby usiąść, zanim przewrócę się na podłogę.

Kane obejmuje mnie ramieniem i prowadzi do fotela w rogu, jednak nie odrywa przy tym wzroku od Magnolii.

— Czy to, kurwa, naprawdę było konieczne? Lepiej ci teraz?

Spoglądam na niego.

— Czy to prawda?

— To prawda. — Spogląda na mnie uważnie. — I jestem pewien, że właśnie z tego powodu nie dokończył roboty. Nie mógłby żyć sam ze sobą, gdyby to zrobił. Twój brat też ma granice, których nie chce przekraczać, jak my wszyscy.

— Nie wierzę, że mógłby... — Nie chcę nawet o tym myśleć.

— Uwierz, bo tak było. Ale teraz ktoś musi mi powiedzieć, co, do diabła, się dzieje. Gdzie on się podział? Jeśli ucieka, to chcę jechać z nim. — Magnolia brzmi jak kobieta, która traci zmysły ze zmartwienia. Dla mnie tego wszystkiego jest za dużo.

— Czy możemy już iść?

— Co? Nie jesteś w stanie znieść myśli o tym, co robi twój brat, żeby opłacać rachunki? Myślisz, że

jesteś lepsza od nas, bo złapałaś tę dobrze płatną pracę od Ke-Ke?

Nie wiem, dlaczego Magnolia jest na mnie wkurzona, ale jej ton mnie oburza.

Mrużę oczy i spoglądam na nią.

— Nie masz pojęcia, co teraz czuję! I jak mogłaś mi nie powiedzieć, że jesteś z Rafem? Wciążasz mnie tu, wciskasz mi jakieś półprawdy i jakieś bzdurne ostrzeżenia. W co ty grasz, Magnolio?

Sztywnieje.

— W jedyną grę, w której kiedykolwiek zależało mi na wygranej — w życie.

— Wystarczy — mówi Kane. — Koniec tej rozmowy. Nie wiemy, gdzie on jest. Gdybym wiedział, i tak bym ci nie powiedział. Nie tutaj, nie teraz. Tu jest zbyt wiele uszu i zbyt wiele oczu. A poza tym nie ufam ci za grosz, Magnolio. Będziesz więc musiała poczekać, aż sprzątniemy ten bałagan.

— Ty sukinsynu!

— Skończyliśmy.

Kane pomaga mi wstać i wychodzimy z pokoju. Czekam z pytaniami, aż zostawimy Magnolię możliwie jak najdalej za sobą.

Jednak zamiast wyjść z budynku jak najszybciej, Kane zatrzymuje się tak nagle, że z rozpędu wpadam mu na plecy.

— Spiesz się do wyjścia, co?

Nie od razu przypominam sobie ten głos, jednak gdy zerkam znad ramienia Kane'a, rozpoznaję tego człowieka. To mężczyzna, którego spotkałam tego wieczoru, kiedy Magnolia oprowadzała mnie po klubie i zdradziła wtedy jego imię.

Giles.

— Tak, proszę pana, właśnie ich wyprowadzam, bo zdaje się, że zapomnieli swoich masek — mówi Magnolia, wymijając mnie i stając obok Kane'a.

— Ach, Magnolio, kochanie, czyżbyś była niegrzeczna i bawiła się, zamiast pracować?

Głos tego faceta sprawia, że mam ochotę wskoczyć pod gorący prysznic i szorować się aż do czerwoności.

— Nie, po prostu pilnuję, żeby zasady panujące w klubie były przestrzegane. A teraz przepraszam, musimy iść.

Podczas tej wymiany zdań Kane nawet nie drgnie, ale też nie spuszcza wzroku z tego mężczyzny.

— Chyba nie miałem jeszcze przyjemności spotkać tego młodego człowieka. — Giles wyciąga rękę. — Jestem jednym z nowych partnerów w Przystani.

— Słucham? — pyta Magnolia ze zdumieniem.

— Od wczoraj. Sądzę, iż to oznacza, że jestem teraz twoim szefem, Magnolio. Ty to masz szczęście.

Magnolia sztywnieje i unosi podbródek.

— Czyż to nie interesujący rozwój sytuacji?

Jej słowa aż ociekają pogardą i mam poczucie, że jest typem kobiety, która nie ugnie się przed żadnym mężczyzną niezależnie od tego, w jaki sposób próbowałby trzymać ją w szachu. I najwyraźniej jest zainteresowana moim bratem. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić.

Cisza staje się niezręczna, kiedy Kane nie odpowiada ani nie wyciąga ręki do Gilesa.

— Wychodzimy.

Kane ciągnie mnie za sobą w stronę schodów. Oglądam się przez ramię i widzę, że zarówno Giles, jak i Magnolia, patrzą na nas.

Czuję zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Naprawdę nie lubię tego człowieka i nie podoba mi się, że zostawiliśmy Magnolię z nim samą.

Kane odzywa się, dopiero gdy wsiadamy do tahoe i z rykiem ruszamy wzdłuż podjazdu, oddalając się od klubu.

— Wszystko w porządku?

— Tak.

Brama otwiera się przed nami i Kane wciska mocniej gaz, aż żwir pryska spod kół.

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczysz tego człowieka, uciekaj od niego najdalej, jak tylko możesz. Znajdź bezpieczne miejsce i napisz albo zadzwoń do mnie. Nie przestawaj, aż odbiorę, rozumiesz?

Znowu czuję ten sam zimny dreszcz, co wcześniej.

— Kto to jest?

— Lewis Giles, senator stanowy.

Wiem, że to nie może być wszystko, widząc, jak Kane zaciska dłonie na kierownicy, aż bieleją mu kostki u dłoni.

— I? — dopytuję.

— To straszna kupa gówna.

— Taki ktoś, kogo powinno się zabić? — pytam z wahaniem.

— O tak, zdecydowanie.

Przełykam ślinę.

— Skąd go znasz?

Wreszcie spogląda przez chwilę na mnie.

— Z poprzedniego życia.

Chwytam ten kawałek informacji, jakby był grudką złota. Zakładałam, że musiało się zdarzyć coś strasznego, żeby Kane wstąpił na drogę, którą podąża, i jestem pewna, że się nie myliłam.

— To dlaczego on nadal żyje?

Kane hamuje i spogląda mi w oczy.

— Bo nikt nie zaferował kontraktu na niego. Jeszcze.

Rozdział 29

Kane

Nie wiem, jak to możliwe, że nie wiedziałem, że Giles zajął się Przystanią. Zapewne byłem zbyt zaabsorbowany Temperance, żeby sprawdzać zwykłe źródła informacji i zadawać pytania. Kolejny punkt przeciwko Magnolii, ponieważ powinna mi o tym powiedzieć. Giles współwłaścicielem Przystani — tego jeszcze brakowało.

To oznacza, że moje członkostwo w Przystani dobiegło *końca*.

Nie mogę uwierzyć, że wrócił.

Mógłbym go nienawidzić przez samo skojarzenie z ojczymem — jest jego bratem. Jako prokurator generalny pomógł mu przyskrzynić dziesiątki biedaków, którzy narazili się w jakiś sposób rodzinie Gilesów.

Gdyby kiedykolwiek ktoś zaproponował na niego kontrakt, przyjąłbym go bez chwili wahania. Nie obchodzi mnie, że dopilnował, żeby moja mama dostała odszkodowanie z polisy na życie swojego męża, kiedy go sprzątnąłem. Interesuje mnie tylko, żeby ten gnojek trzymał się od niej z daleka. Ale tutaj nie musiałem interweniować — Gilesa nie interesują kobiety w średnim wieku. Z tego, co słyszałem, są dla niego o wiele za stare.

Szukałem potwierdzenia, wykorzystalem kilka przysług. Niczego nie znalazłem. Ten facet naprawdę dobrze zaciera za sobą ślady. Nie ma żadnych dowodów, że kiedykolwiek w swoim gównianym życiu zrobił cokolwiek złego.

Ale na pewno w końcu noga mu się powinie.

Nie podoba mi się, że zostawiłem z nim Magnolię, ale ona nie robi niczego, na co nie ma ochoty, i potrafi o siebie zawalczyć, jeśli trzeba. Zwłaszcza że jej najlepsza przyjaciółka jest żoną Mounta, co sprawia, że Magnolia żyje pod parasolem ochronnym podobnie jak Temperance. Nawet Giles nie odważy się wystawić na próbę autorytetu Lachlana Mounta.

Gdy zbliżamy się do miasta, spoglądam na czapeczkę, leżącą między siedzeniami. Nie mam ochoty prosić Temperance, żeby zasłoniła nią oczy, zwłaszcza teraz, jednak dla jej bezpieczeństwa lepiej, jeśli nie będzie wiedziała, dokąd jedziemy.

Jakby czytała mi w myślach, sama bierze ją do ręki.

— W porządku, Kane. Po prostu chcę już do domu.

Dom. To, że mówi w ten sposób o moim mieszkaniu, spływa na mnie niczym kojący balsam, łagodząc rany, o których nawet nie wiedziałem, że istnieją.

— Dziękuję.

Nakłada czapkę, po czym ściska moją dłoń.

— Nie sądz jednak, że to oznacza, że się o to z tobą nie pokłócę następnym razem.

— Na to liczę.

Rozdział 30

Kane

Budzę się gwałtownie, zlany zimnym potem, i wyciągam rękę po pistolet leżący na nocnym stoliku, zanim jeszcze zdążę uświadomić sobie, co robię. Mrugam, pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności. Czuję ciepłe ciało zwinięte obok siebie na łóżku.

To był tylko sen.

Ale, kurwa, to nie był dobry sen.

Wypuszczam z dłoni zimny metal kolby pistoletu i poruszam dłońmi, a potem przyciągam do siebie Temperance jeszcze bliżej. Mam ochotę otoczyć ją swoją siłą, zadbać o bezpieczeństwo, nie pozwolić, by kiedykolwiek cokolwiek ją skrzywdziło.

Wydaje jej się, że wie, jak bardzo popieprzony potrafi być ten świat, ale tak naprawdę nie ma pojęcia.

Zamykam oczy i wdycham jej zapach zmieszany z moim. Chciałbym, żeby czekało nas jeszcze wiele takich nocy, tyle tylko że bez demonów ścigających którekolwiek z nas.

Wiem, że to jedynie marzenia, ale przez resztę nocy pozwolę sobie w nie wierzyć.

Rozdział 31

Temperance

Powrót do destylarni po kilku dniach nieobecności jest trudniejszy, niż powinien być. Pewnie dlatego, że mam na głowie organizację kolejnej imprezy i dogranie wszystkich związanych z tym szczegółów.

Jeśli chodzi o moje potrzeby, to nie jesteśmy w stanie dostatecznie szybko zatrudnić osoby odpowiedzialnej za organizację imprez.

Godzinę temu powinnam była przejrzeć listę rzeczy do zrobienia na ostatnią chwilę, ale rozproszyłam się mailem od Valentyny pytającej, jak prędko jestem w stanie dostarczyć kolejną rzeźbę. Teraz pragnę jedynie wrócić do warsztatu, wskoczyć do samochodu i popędzić do Noble Art tak szybko, jak tylko potrafię.

— Przysięgam, Keira celowo zaplanowała wyjazd wakacyjny akurat na ten tydzień. Nie była zachwycona pomysłem szybkich randek, odkąd Mount zagroził, że zlikwiduje każdego, kto spróbuje ją podrywać.

Kane opiera się o szybę, za którą rozciąga się panorama Nowego Orleanu, podczas gdy ja biegam wśród stolików, po raz ostatni sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, i poprawiając aranżacje kwiatowe. Próbował mi pomóc, ale faceci niekoniecznie mają pojęcie o właściwej dekoracji stołów.

— Sądziłam, że zatrudniłeś go, żeby zajmował się takimi bzdurami — mówi Odile, wchodząc do wydzielonej na imprezę części restauracji. Dopiero drugi raz wykorzystujemy modułową ściankę stylizowaną na stojaki na beczki, żeby nasi goście mogli się poczuć, jakby siedzieli w głębi destylarni.

Odile odstawia tacę z zakąskami na bok i spogląda ostro na Kane'a.

— A zatem co on robi? Gapi się, jak ty wykonujesz całą robotę?

— Obserwuję mistrza przy pracy — wtrąca gładko Kane.

— Bardziej prawdopodobne, że zabroniła ci cokolwiek dotykać, bo wszystko musi być idealnie tak, jak ona tego chce. — Odile grozi mi palcem. — Nawet nie waż się zmieniać ułożenia moich przystawek, dowiem się o tym!

— Nie zamierzam dotykać twoich przystawek. Lubię mieć wszystkie palce na swoim miejscu — odpowiadam, poruszając właśnie wszystkimi palcami w jej stronę.

Kiwa głową i spogląda znowu na Kane'a.

— Ucz się od niej. Jest bystra. Jeśli narozrabiasz, pozwolę jej pożyczyć z mojej kuchni nóż do filetowania.

Tym razem Kane prostuje się na całą wysokość.

— Sam go jej podam, gdyby uznała, że potrzebuje.

Odile krzyżuje ramiona na piersi.

— Chyba masz jakiś dziwny fetysz...

— Odile, błagam, nie teraz.

Odile fuka z oburzeniem.

— A poza tym — dodaję — mam własny nóż, gdybym go potrzebowała. — Puszczam oczko do Kane'a, on jednak nie uśmiecha się, lecz spogląda na mnie z powagą, jakby naprawdę gotów był prędeziej wręczyć mi nóż, żebym odcięła mu dłoń, niż mnie skrzywdzić.

Tydzień temu mogłabym się zastanawiać, czy to prawda, ale teraz nie mam wątpliwości. Tak samo jak wiem, że bez wahania zabiłby każdego, kto chciałby mnie skrzywdzić.

Mój facet jest szalenie opiekuńczy.

Mój facet. Ciągle dziwnie mi o nim myśleć w ten sposób, ale jestem zdecydowana się do tego przyzwyczaić.

Odile idzie do kuchni po kolejną tacę i w tym momencie ktoś stuka w ściankę.

Zarówno Kane, jak i ja, odwracamy głowy w tamtą stronę.

Jeff Doon. Chłopak Keiry z czasów szkoły średniej, obecny szef izby handlowej. Biorąc pod uwagę,

jak zaborczy jest Mount, dziwię się, że pozostawił Jeffa przy życiu, kiedy się o tym dowiedział.

— Cześć, Jeff. Jesteś... trochę za wcześnie! — staram się brzmieć entuzjastycznie i chyba mi się to udaje, bo Jeff uśmiecha się.

— Temperance, dobrze cię znowu widzieć.

Szybko przemierza dzielący nas dystans. Wyciągam do niego rękę, jednak on próbuje mnie uściskać, co sprawia, że ramię wygina mi się pod dziwnym kątem i w końcu opieram dłoń na jego piersi.

Pierwsza myśl, zanim jeszcze poczuję zakłopotanie, nie jest zbyt profesjonalna — miękkie ciało Jeffa dzielią lata świetlne od twardych mięśni Kane'a. Odskakuję, jakby jego skóra stanęła w płomieniach po tym, kiedy objął mnie niezręcznie ramieniem. Czuję wzrok Kane'a wbijający mi się w plecy.

— Jeff, naprawdę miło cię widzieć, chciałabym cię przedstawić mojemu nowemu asystentowi — macham dłonią w kierunku Kane'a i widzę, jak Jeff poważnieje na jego widok.

— *Szlag*, niezły garnitur, ta posada asystenta musi być niezłe płatna.

Uwaga Jeffa nie zaskakuje, wzięwszy pod uwagę, że garnitur Kane'a już na pierwszy rzut oka wygląda na szyty na miarę. Prążkowany materiał uwydatniony jest bielą koszuli i poszetki. Kane nie nosi krawata.

Nigdy wcześniej nie znałam nikogo, kto nosiłby poszetkę, i nie sądziłam, że może to wyglądać tak ponętnie. Mogę to zapisać pod hasłem „rzeczy, których nauczyłam się od swojego chłopaka, płatnego zabójcy”.

Zaraz, *czy on jest moim chłopakiem?* Nie mam teraz czasu zastanowić się nad odpowiedzią na zadane samej sobie pytanie, bo Jeff akurat się do mnie odzywa.

— Temperance, może nas sobie przedstawić?

— Tak, oczywiście, przepraszam, zamyśliłam się. Tyle mam jeszcze do zrobienia — wyjaśniam i zwracam się w stronę Kane'a. — Jeff, to mój nowy asystent, Ken Sax. Ken, poznaj Jeffa Doona.

Kiedy Kane wczoraj w drodze do pracy podał mi imię, którego chciał używać służbowo, głośno się roześmiałam i zapytałam, jak je wybrał.

— Z książki telefonicznej — odpowiedział, a następnie wyjął coś, co wyglądało jak zupełnie prawdziwe prawo jazdy, na którym widniało jego zdjęcie oraz imię i nazwisko Ken Sax. Gdy zapytałam, ile jeszcze dowodów tożsamości posiada i czy którykolwiek z jego pseudonimów to Bruce Wayne lub Mroczny Rycerz, szybko zmienił temat.

— Miło cię poznać, Ken. Pochodzisz gdzieś stąd? — pyta Jeff, jednak przerywam im, zanim zdążą się pograć w pogaduszkach.

— Nie gniewaj się, Jeff, ale przydałaby mi się twoja pomoc: trzeba sprawdzić, czy tabliczki z nazwiskami są prawidłowo rozstawione. Wspominałeś, że mogą być jeszcze jakieś zmiany w ostatniej chwili. Czy mógłbyś się tym zająć?

— Nie ma problemu. Zrobię wszystko, żeby impreza przebiegła bez zgrzytów, Temperance. — Odwraca się do stolika i zatrzymuje. — A właśnie, miałem ci powiedzieć o jednej zmianie i mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

W jego głosie brzmi wahanie, co od razu budzi mój niepokój.

— Co takiego?

— Moja sekretarka miała wziąć udział w imprezie, ale w ostatniej chwili pojawił się jakiś problem z opieką do dziecka, więc brakuje nam jednej kobiety. Miałem nadzieję, że zgodzisz się zająć to miejsce.

Zamieram jak szop prac przyłapaną na grzebaniu w śmietniku.

— Słucham?

— Louise nie mogła przyjść, więc...

— Słyszałam tę część, ale wydawało mi się, że się przesłyszałam, kiedy powiedziałaś, że mam zająć jej miejsce. Muszę prowadzić imprezę, nie mogę... brać udziału w szybkich randkach.

Jeff wzdycha.

— Nie ma problemu. Poproszę Erniego, żeby też się wycofał. Wprawdzie ostatnio zupełnie mu nie szło na polu damsko-męskim, ale chyba to jakoś przeżyje.

Nie mam pojęcia, kim jest Ernie, ale naprawdę nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek umówi się z kimkolwiek na randkę.

Ale Jeff jeszcze nie skończył.

— Chyba że... może pozwolisz swojemu asystentowi poprowadzić imprezę? Rzucisz go na głęboką wodę, no wiesz. Co ty na to, Ken?

Zerkam prosząco ponad ramieniem, żeby Kane uratował mnie z tej katastrofy, jednak w tym momencie Odile wnosi ostatnią tacę.

— To by cię nie zabiło, gdybyś zamiast gnić w biurze porozmawiała trochę z przystojnymi mężczyznami. Jeff miał dobry pomysł.

— To idealnie! — Twarz Jeffa rozjaśnia się. — Przygotuję ci plakietkę z imieniem, Temperance, i pozbędę się tabliczki Louise.

Boże, dopomóż.

Rozdział 32

Kane

Nie lubię Jeffa Doona, ale o ile mi wiadomo, nie trzeba go zabijać. Co jednak może się zmienić w każdej chwili.

Doon wydaje się nieszkodliwy i zarazem całkowicie przejrzysty. Nie wiem, jak to możliwe, że Temperance nie uświadamia sobie, że zapewne powiedział biednej Louise, że nie może przyjść i że on sam zajmie ostatnie męskie miejsce tuż przed pierwszą rundką szybkich randek. Gdy wślizguje się na krzesło, mam wrażenie, że wściekłe spojrzenie, jakim obrzuca go Temperance, mogłoby dostarczyć prądu całemu miastu, co zupełnie umyka jego uwadze.

Nawet gdyby była samotna, ten facet nie miałby szans. To jak usiłować przejść do pierwszej ligi z ligi podwórkowej, takie rzeczy po prostu się nie dzieją.

Musiałem sprawdzić w Google, czym są szybkie randki, kiedy Temperance po raz pierwszy wspomniała o tej imprezie, bo naprawdę nie miałem pojęcia, na czym polegają. Zupełnie nieznanymi ludźmi siadają razem przy stoliku, jedna grupa przesiada się co pięć minut. Podczas tych pięciu minut, siedząc przy jednym stoliku, dwie osoby mają najkrótszą randkę w ciemno w całej historii randek w ciemno.

Nie zdziwiłbym się też, gdyby Doon zapisał Louise jako fałszywą uczestniczkę tylko po to, żeby ją w ostatniej chwili wycofać. Najprawdopodobniej sądził, że Keira tu będzie i że Temperance bez problemów zajmie zwolnione miejsce. Musiał być naprawdę zdesperowany, żeby zasugerować, że to ja, świeżo upieczony asystent, mogę się wszystkim zająć. Kto wie, może Doon zaplanował całą tę imprezę tylko po to, żeby móc spędzić pięć minut sam na sam z Temperance.

Nie mogę go winić za gust — sam gotów byłbym zrobić o wiele więcej niż zorganizowanie całej imprezy, żeby tylko móc z nią spędzić trochę czasu.

W odróżnieniu od jej puszącego się byłego, Doon nawet nie wywołuje we mnie jakiejś szczególnie negatywnej reakcji. Wiem, że potrzebowałby sześciu żyć, a nie pięciu minut, żeby umówić się na randkę z kobietą taką jak Temperance. Gdybym wyciągnął broń, tak jak zrobiłem na złomowisku, pewnie by się posikał, a potem zemdlął.

Kolejny raz obchodzę salę, udając, że wszystkiego doglądam, ale tak naprawdę nie spuszczam oczu z Temperance.

Mimo że nie mam obaw co do Doona, i tak nie zamierzam jej zostawić bez ochrony.

Tak uważnie obserwuję Doona i Temperance, że dłużej niż powinno zajmuje mi dostrzeżenie, że znajduje się tu inny mężczyzna, który poświęca zdecydowanie zbyt dużo uwagi jej pogawędkom z różnymi facetami, z których bez wątpienia każdy chętnie zabrałby ją dzisiaj ze sobą do domu.

Zmieniam pozycję, żeby móc go obserwować. Siedzi przy barze na jednym z dwóch stołków dających widok na zamkniętą część restauracji, w której odbywa się impreza. O ile instynkt mnie nie myli, to tkwi od dłuższego czasu nad tą samą szklaneczką whiskey — widzę, jak machnięciem dłoni odprawia barmankę pytającą, czy podać coś jeszcze. Jest jakoś w okolicach czterdziestki, ma ciemne włosy siwiejące na skroniach, wąskie ramiona. Udaje zajętego swoim telefonem, ale tak naprawdę nie odrywa wzroku od Temperance.

Nie znajduję się w miejscu, w którym mógłbym, zrobiwszy mu zdjęcie, przepuścić je przez program do rozpoznawania twarzy, więc nie potrafię na razie poznać jego tożsamości, ale załatwię to, o ile stąd nie ucieknie. Nie ma mowy, żeby Temperance wyszła, zanim nie dowiem się, kim jest ten facet i dlaczego tak się nią interesuje.

Instynkt podpowiada mi, że pracuje dla handlarzy ludźmi próbujących dopaść Ransoma, ale nie jestem w stanie tego udowodnić.

Mija następne pięć minut i mężczyźni muszą się przesiąść do kolejnych stolików. Szybko ich przeliczam, zastanawiając się, jak długo jeszcze potrwa to szaleństwo.

Więcej niż jedna kobieta biorąca udział w zabawie spoglądała na mnie, ale patrzyły w złym kierunku — dla mnie są jedynie potencjalnym zagrożeniem i niczym więcej.

Jedyną liczącą się dla mnie kobietą w tym pomieszczeniu jest ta, którą nie mogę się nasycić — w łóżku i poza nim.

Odkąd Temperance wzięła do ręki tę miskę na kawę, nie mogę przestać jej sobie wyobrażać na tarasie domu na Fidżi, leżącego nad oceanem w pobliżu rafy. Widzę, jak wiatr rozwiewa jej włosy i jak wchodzi do basenu, żeby splukać z siebie trudy dnia.

Byłem zszokowany, że nigdy nie wyjeżdżała z Luizjany, ale po wyjaśnieniach rozumiem powody. Sam mam w sobie pociąg do włóczęgi i oprócz posiadłości w Nowym Orleanie jeszcze domy w czterech innych krajach. Lubię spędzać w nich trochę czasu każdego roku. Chciałbym być mężczyzną, który zabiera Temperance w te miejsca. Chciałbym doświadczyć ich na nowo dzięki spojrzeniu na nie jej oczami.

Na pewno spodobałby się jej wodospad nad cenotą w dżungli na terenie posiadłości w Meksyku. Pływalibyśmy nago w chłodnej, świeżej wodzie i jedli mango prosto z drzewa w ogrodzie, a potem pilibyśmy najlepszą na świecie tequilę i pieprzyli się pod szklanym sufitem w sypialni, aż na niebie pojawiłyby się gwiazdy.

Patrzyłaby z zachwytem na Alpy z salonu w górskim domku w Chamonix we Francji. Wyobrażam sobie, jak siedzi ubrana w ciepły sweter przed kominkiem, z parującym kubkiem gorącej czekolady w dłoni.

A Hiszpania... Widzę ją pijaną cudownym winem, kiedy objadamy się paellą i patrzymy z okien willi na zachód słońca nad wodą.

Chcę ją oglądać we wszystkich miejscach, do których nigdy jeszcze nie zabrałem żadnej ludzkiej istoty. Ba, aż do tej pory nawet *nie chciałem* nikogo tam zabrać.

Temperance to zmieniała. Zmienia mnie.

Jednak żadne z nas nie może zmienić konsekwencji działań jej brata.

Rozdział 33

Temperance

Jeśli wcześniej nie miałam ochoty udusić Jeffa, teraz już tak. Nie mogę uwierzyć, że musiałam wysiedzieć na niemal tuzinie szybkich randek, bo *on* chciał mnie mieć tylko dla siebie przez pięć minut.

Niejednokrotnie już wymijająco odpowiadałam na jego propozycje, ale wiem, że nie będę mogła się tak migać zawsze. To oznacza, że muszę poprosić Keirę o pomoc, bo to ona natchnęła go pomysłem, że moglibyśmy do siebie pasować.

Przy moim stoliku siada kolejny facet i spogląda na mnie oczami pełnymi nadziei.

Naprawdę żałuję, że nie mogę mu powiedzieć, że *nic z tego nie będzie*, po czym oboje moglibyśmy się zająć jedzeniem pysznych zakąsek przygotowanych przed Odile, nie marnując czasu na czcze pogaduszki.

— Nigdy jeszcze nie widziałem cię na żadnej z imprez organizowanych przez izbę handlową — zagaja facet. — A na pewno bym cię zapamiętał.

— Nie mam czasu, żeby zbyt często się na nich pojawiać — odpowiadam z wymuszonym uśmiechem. — *Ciągle* pracuję.

— Wiem, jak to jest. Moja mama ciągle robi mi wyrzuty, że za dużo czasu spędzam w biurze.

— Jesteście sobie bliscy z mamą? — pytam, bo pytanie „Czy jesteś maminsynkiem?” nie brzmiałoby za dobrze.

— Mieszkam z nią. Tak jest dużo łatwiej, nie muszę sam pracować, gotować ani sprzątać. Nikt nie umie wyprasować moich koszul tak jak mama.

— Uch. — Z gardła wrywa mi się jakiś dźwięk nieprzypominający żadnego słowa, jednak on niezrażony mówi dalej.

— A jej bułeczki z czekoladą? Niebo w gębie, nigdy nie jadłaś niczego lepszego. Może chciałabyś wpaść i ją poznać? Zawsze przygotowuje smakołyki, kiedy mamy gości. Chciałaby mieć jakieś towarzystwo w tym roku.

Mam gulę w gardle i jestem niemal pewna, że zaraz się udławię z powodu szoku. Kaszlę dwukrotnie.

— W porządku?

Kiwam głową i sięgam po wodę. On czeka, aż skończę kaszleć.

Niezręczna cisza przedłuża się, więc w końcu ją przerywam.

— Jak się nazywasz? Nie usłyszałam twojego imienia, kiedy się przysiadłeś. — Gryzmoł na plakietce wygląda, jakby jego imię zaczynało się od C. Może *Carl*?

— Crabs.

Tym razem naprawdę się krztuszę.

— Słucham? — Ocieram zażawione oczy. — Masz na imię Crabs?

— Nie, to przezwisko ze studiów. Jakoś do mnie przyłgnęło i tak się go trzymam.

— To naprawdę... interesujące. — Nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

— Tylko wtedy wyprowadziłem się z domu i musiałem sam robić pranie, ale było warto. Teraz niezbyt mogę przyprowadzać dziewczyny, skoro mama czeka na mnie z kubkiem kakao co noc. No chyba że pozna je w ciągu dnia i zaakceptuje. Nie lubi rozwiązłych kobiet.

Rozglądam się dookoła, niemal spodziewając się, że zaraz ktoś wyskoczy z okrzykiem „Jesteś w ukrytej kamerze!”, ale ten facet mówi poważnie.

— Interesujące — powtarzam, nie mając nic innego do powiedzenia.

Mam za to w tej chwili ogromną ochotę, żeby wygłosić uwagę w rodzaju „Lubię chodzić do seklubów”, ale nie jest to coś, co mogłabym powiedzieć, będąc w miejscu pracy. A może... może jednak mogę i to sprawi, że go wystraszę i ucieknie do mamy?

— Co sądzisz o BDSM? — pytam.

Sztywnieje i rozszerzają mu się oczy. Wygląda na tak zszokowanego, że naprawdę mam obawy, że resztki włosów po prostu mu wypadną.

— Kto ci powiedział?

O słodki Jezu w morelach, to chyba naprawdę jakiś żart.

— Kto mi powiedział co? — pytam bez zastanowienia i natychmiast tego żałuję.

— Że lubię być więziony... Zamykany. — Spuszcza wzrok. — No wiesz, *w klatce*. Aż moja pani wypuści mnie, żeby się pobawić.

W tym momencie rozlega się brzęczyk i wysyłam podziękowania wszystkim świętościom.

Podaje mi wizytówkę.

— Zadzwoń do mnie. Chciałbym porozmawiać o naszych wspólnych zainteresowaniach.

Uśmiecham się, jednak nawet nie jestem w stanie skinąć głową z uprzejmości.

Po drugiej stronie stolika siada kolejny mężczyzna i uśmiecha się, ukazując olśniewająco białe zęby jak z reklamy pasty. To muszą być licówki. Są równie idealne jak jego doskonale ostrzyżone blond włosy, symetryczne brązowe oczy i zawiązany na windsorski węzeł krawat.

Wyciąga do mnie dłoń i przedstawia się, kiedy ją ściskam.

— John Trout. Zajmuję się stomatologią estetyczną. Mam dwa golden retrievery. W wolnym czasie lubię biegać, interesuję się historią, pijam kawę bezkofeinową. Lubię volvo.

— Miło mi cię poznać, John. Kawa bezkofeinowa i volvo... Lubisz życie na krawędzi.

— Cenię szczerłość. Jeśli szukasz silnych emocji, nieprzewidywalności i dzikiej zabawy, to nie jestem facetem dla ciebie.

— Rozumiem.

Spogląda na moją tabliczkę z imieniem.

— Temperance. Biorąc pod uwagę imię, wydajesz się idealna dla mnie. Mój terapeuta by się z tym zgodził. Często tu przychodzisz?

Sama nie wiem, czy próbuje być zabawny, czy usiłuje flirtować, ale śmieję się.

— Pracuję tutaj.

Na jego twarzy pojawia się rozczarowanie.

— W takim razie nie pasujemy do siebie. Należę do AA. Nie mogę mieć żony, która pracuje w destylarni whiskey.

— Żony? Zwolnij, turbo.

— Nie uznaję turbo. To zbyt ryzykowne. — Mówi John, potrząsając głową. — Nawet w przypadku volvo, które generalnie są bardzo bezpieczne.

Przez resztę czasu prowadzimy chyba najbardziej niezręczną rozmowę w historii świata, aż wreszcie znowu rozlega się brzęczyk.

On wstaje.

— Zanim zapomnę — gdybyś kiedykolwiek chciała porzucić tę grzeszną branżę i mnie odnaleźć, oto moja wizytówka. Na odwrocie jest zdjęcie mojego penisa, żebyś mogła ocenić nasze dopasowanie.

Otwieram usta ze zdumienia i czekam, aż zacznie się śmiać, on jednak zamiast tego kładzie mi wizytówkę na dłoń i rusza do następnego stolika.

Upuszczam kartonik z obrzydzeniem na stolik. Łąduje niewłaściwą stroną do góry.

Nie żartował. Czuję, jak zbiera mi się na wymioty. Zgarniam wizytówkę z blatu i chowam do kieszeni. Muszę pamiętać, żeby ją później spalić.

Pewnych rzeczy nie da się odzobaczyć.

— Wszystko w porządku?

Z drugiej strony stolika dobiega mnie głęboki głos. Spoglądam na mężczyznę, który właśnie wślizguje się na krzesło.

— Tak, dziękuję. Po prostu odkryłam, że szybkie randki nie są dla mięczaków.

— Nawet mi nie mów. Miałem już dwie propozycje zrobienia laski na parkingu i wizyty w najbliższym motelu na godziny celem uprawiania biernego seksu analnego.

— W takim razie nawet nie musimy zawracać sobie głowy rozmową, twój harmonogram jest wypełniony. — Nie wiem, jakim cudem udaje mi się to wypowiedzieć z poważnym wyrazem twarzy.

— Nie mam nic przeciwko fellatio, ale nie wkładam sobie niczego w zadek. Panna źle mnie

oszacowała. Założę się jednak, że facet, z którym rozmawiałaś przed chwilą, byłby w stanie na to przystać. — Spogląda na dentystę. — Pod tym idealnym, odprasowanym wizerunkiem faceta z perfekcyjnymi zębami kryje się niezły świntuch.

Mam ochotę powiedzieć mu o wizytówce z wizerunkiem penisa, ale nie mogę się zmusić do wyznania tego na głos.

— Może po prostu napijemy się whiskey i nie będziemy rozmawiać?

Facet kiwa głową na znak zgody.

— Spoko, i tak na koniec przelecę tę blondynę. Zrobiłem jej palcówkę pod stolikiem, więc nie byłoby w porządku, gdybym próbował kręcić z tobą.

Zrywam się z krzesła.

— Przepraszam, muszę skorzystać z łazienki, zaraz wracam. — *Nigdy*, dodaję w duchu.

Jedyne, o czym mogę myśleć, to żeby umyć ręce *natychmiast*, zanim zwymiotuję.

Niemal biegnę do łazienki, prawie zderzając się po drodze z kelnerem i jednym z gości.

— Przepraszam! — rzucam w przelocie. Nie mogę się zatrzymać, dopóki nie wpadnę do łazienki.

Myję ręce tak długo, że aż zaczynają mnie piec.

— Ohyda, ohyda, ohyda!

Jeśli tak właśnie wygląda chodzenie na randki, to naprawdę nie jestem zainteresowana. Ani teraz, ani w przyszłości, i nawet nie dlatego, że każdy mężczyzna wydaje się beznadziejny w zestawieniu z Kanem.

Zamieram, sięgając po papierowy ręcznik.

Żaden mężczyzna nie może się z nim równać.

Nie chodzi tu tylko o stronę fizyczną, lecz *o wszystko*. On jest inny.

Rozumie mnie. Rozumie, czego pragnę, czego potrzebuję. Rozumie nawet to, o czym *ja* jeszcze nie wiem. Widzi mnie jak jeszcze nikt wcześniej.

I nie chcę nigdy z niego zrezygnować.

Uświadamiam to sobie i gwałtownie wychodzę z łazienki, mocno popychając drzwi — żeby zaraz za nimi wpaść na czyjąś twardą pierś.

— Przepraszam, nie patrzyłam, dokąd...

— No właśnie i nie wypadaj więcej w ten sposób.

Spoglądam w oczy Kane'a.

— Przepraszam, to naprawdę była pilna sprawa.

Spogląda na mnie ostrzej.

— Co się stało? Ktoś ci coś powiedział? — Rozgląda się gwałtownie dookoła, jakby szukając w otoczeniu drapieżników.

— Nie, po prostu... jakiś świr podał mi rękę po tym, jak chwilę wcześniej robił palcówkę innej kobiecie pod stołem. — Samo wypowiedzenie tego sprawia, że omal nie puszczam pawia.

— Żartujesz sobie?

Potrząsam głową.

— Nie i żałuję, że tak nie jest.

— Który to był?

— Nie rób scen, proszę. Jestem w pracy. A poza tym był jeszcze ten facet, który dał mi wizytówkę ze zdjęciem swojego kutasa.

Nozdrza Kane'a rozszerzają się, kiedy na mnie spogląda.

— Ktoś dał ci zdjęcie swojego kutasa? Co, u diabła, jest nie tak z tymi ludźmi?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, jednak w tym momencie zaczyna wyć alarm przeciwpożarowy.

Alarm przeciwpożarowy?

— Kurwa — warczy Kane. — Nie oddalaj się ode mnie, niezależnie od wszystkiego.

— Ale muszę zająć się pożarem...

— Nie, jeśli istnieje ryzyko, że ktoś celowo usiłuje wywołać chaos, żeby cię porwać. Muszę cię stąd zabrać.

— Nie mogę teraz stąd wyjść!

— Możesz i zrobisz to. — Kane obejmuje mnie ramieniem. — Chodź, ruszmy się. Trzymaj się mnie, jakbyś była moim cieniem, dobrze? Jeśli ten dupek, którego obserwowałem... — Urywa nagle, gdy podbiega

do nas Jules, menedżer restauracji.

— Nie jestem pewien, co się dzieje, ale musimy ewakuować wszystkich gości, bo inaczej grożą nam złe recenzje.

— Jasne, wyprowadź wszystkich. — Spoglądam znowu na Kane'a. — Naprawdę sądzisz, że ma to związek ze mną?

— Nie zamierzam ryzykować, nie w twoim przypadku. Nigdy.

Rozdział 34

Kane

— Poproś, żeby wysłali ci mailem nagrania z kamer bezpieczeństwa. Chcę je obejrzeć.

Temperance powtarza moje polecenie przez telefon komuś w biurze. Jesteśmy w drodze do domu. Wprawdzie protestowała, ale naprawdę nie zamierzam ryzykować.

Jest zbyt ważna.

Temperance Ransom nigdy nie była dla mnie tylko pracą. Nawet gdyby Mount do mnie nie zadzwonił i tak robiłbym dokładnie to samo, co robię teraz.

Może nawet nie uświadamiałem sobie tego od początku, ale taka jest prawda. Nie potrafię się trzymać od niej z daleka. Świadomość, że grozi jej niebezpieczeństwo, odwodzi mnie od zdrowych zmysłów.

Gdy wybiegła z sali podczas szybkich randek, niemal zabiłem faceta, z którym siedziała wtedy przy stoliku. Bez żadnych pytań i bez wahania.

Okazuje się, że w przypadku Temperance nie potrzebuję zlecenia i pieniędzy, żeby mieć ochotę pociągnąć za spust. Zrobiłbym to z radością za darmo i bez cienia wyrzutów sumienia.

Jedyne, czego nie wiem, to jak zatrzymać tę maszynę, którą wprawiłem w ruch.

Temperance rozłącza się i mówi:

— Powinnam je mieć, zanim dojedziemy do domu.

— Dobrze — odpowiadam spokojnie, chociaż to nie pierwszy raz, kiedy powiedziała o moim mieszkaniu „dom”, i naprawdę cholernie mi się to podoba.

— Naprawdę sądzisz, że facet, którego widziałeś, miał z tym coś wspólnego?

— Nie wiem, ale to możliwe.

Gdy wyjeżdżaliśmy audi z parkingu przed destylarnią, rozglądałem się za furgonetką, którą ktoś mógłby zaparkować blisko wyjścia, gdyby chodziło o porwanie. Sam to robiłem, więc wiem. Jeden samochód jakoś się wyróżniał, zapamiętałem rejestrację i sprawdzę ją, skoro tylko dotrzemy do bat-jaskini.

O, proszę. Ona mnie zmienia. Zmienia absolutnie wszystko.

Naprawdę aż za bardzo mi się to podoba.

— Co dalej? — pyta.

Zerkam na czapkę, którą trzyma na kolanach.

— Serio? Nadal?

W jej głosie brzmi frustracja, więc próbuję wyjaśnić.

— Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Chodzi o to, że...

Wduszam gwałtownie hamulec, kiedy ciężarówka przejeżdża przed nami na czerwonym świetle, i oboje zawisamy na pasach. Omal nie powiedziałem czegoś, czego nie powinienem był powiedzieć.

Gdy już bezpiecznie możemy przejechać przez skrzyżowanie, skręcam w lewo, żeby znowu sprawdzić, czy ktoś za nami nie jedzie.

— O co chodzi? — pyta.

Zerkam we wsteczne lusterko i widzę, że ciemny sedan jadący dwa samochody za nami skręca również.

Kurwa. Wciskam gaz i uciekam w boczną uliczkę. Skręcam kilkakrotnie raz za razem, nim udaje mi się go zgubić.

Temperance ogląda się przez tylną szybę.

— Mamy ogon, prawda?

— Załóż czapkę na oczy, proszę. Przysięgam, że to dla twojej ochrony, nie mojej.

Prycha, ale spełnia prośbę.

— Kiedyś będę mogła zobaczyć, gdzie to jest, prawda?

— Tak — odpowiadam z przekonaniem. — Na pewno.

— Świetnie. Ale wtedy to ja cię gdzieś zabiorę i każę ci zasłonić oczy. Być może będę to robić całymi miesiącami.

Czuję ucisk w piersi i po raz pierwszy w życiu — żal.

Rozdział 35

Temperance

Kane nie pozwolił mi obejrzeć nagrania z kamery bezpieczeństwa i gdy następnego ranka dzwoni mój telefon, jesteście w trakcie kolejnej sprzeczki na ten temat.

Wsiadamy do samochodu i właśnie zapinam pasy, kiedy rozlega się dzwonek. Ściągam czapkę i zaczynam szukać aparatu w torebce.

Keira.

— Halo?

— Hej, jak tam? Słyszałam, że wczoraj doszło do jakiegoś incydentu?

Jestem naprawdę najgorszą dyrektorką operacyjną w historii. Nie poinformowałam szefowej, co zaszło, i dowiedziała się tego od kogoś innego. Świetnie.

Próbuję to rozegrać jak gdyby nigdy nic.

— To nie było nic poważnego, poradziłam sobie. — Krzywię się na to kłamstwo, bo zostałam wyprowadzona z budynku. — Nie chciałam zakłócać twoich wakacji.

— Wiesz, że zawsze możesz zadzwonić z czymś takim. Jesteśmy już w drodze do domu i będę w biurze jutro. Ale... — Odchrząkuje i wiem, że zaraz powie coś, czego wcale nie ma ochoty mówić.

— Ale co? — ponaglam ją.

— Nie chcę, żebyś jechała dzisiaj do destylarni, Temperance.

Nagle w ustach robi mi się sucho jak na Saharze. Próbuję zrozumieć, co właściwie chce powiedzieć.

— Co masz na myśli?

— Lachlan wolałby, żebyś nie jechała do Seven Sinners, żeby nie było tam więcej żadnych incydentów. Możesz to uznać za zgodę na pracę zdalną przez jakiś czas. — Keira próbuje przemawiać wesołym tonem, ale i tak czuję przemożne poczucie winy sprawiające, że żołądek zawiązuje mi się na supeł.

Krzywię się, nim odpowiem, i widzę, jak Kane się spina.

— Tak mi przykro, Keiro. Naprawdę nie chciałam, żeby do tego doszło. To się już więcej nie powtórzy.

— Masz rację, nie powtórzy się. — W słuchawce rozlega się nagle inny głos. To Mount. — Przełącz na głośnik, chcę, żeby Saxon też to słyszał.

— Tak, proszę pana. — Szukam na ekranie ikonki pozwalającej przełączyć na głośnik. — Proszę mówić, on też słyszy.

Spoglądam na kolana Kane'a zbyt zakłopotana, żeby spojrzeć mu w oczy. Jestem pewna, że za chwilę zostanę wdeptana w glebę. Wolałabym nie mieć w takiej chwili publiczności, ale nie zamierzam ryzykować sprzeciwu wobec przerażającego męża swojej szefowej.

— Saxon?

— Słucham.

— Masz plan?

— Tak.

— Zamierzasz to zakończyć?

— Tak.

— To dobrze.

Połączenie urywa się i przez chwilę wpatruję się w litery w telefonie zawiadamiające o tym fakcie. W końcu odrywam spojrzenie od ekranu i patrzę na Kane'a.

— Co to miało znaczyć?

— To znaczy, że Mount ma dosyć. Jest już gotowy to zakończyć i nie chce, żeby to odbiło się negatywnie na Keirze lub destylarni.

— Co zrobimy?

— *My nic nie zrobimy. Ja sobie poradzę.*

To stwierdzenie nagle mnie wkurza.

— Mój brat sprowadził to na nas wszystkich. Jestem tego częścią, niezależnie czy chcesz, czy nie. A teraz moja szefowa nawet nie chce, żebym przychodziła do pracy. Jezu... Jak bardzo to wszystko jeszcze może się popieprzyć?

Spogląda na mnie surowo.

— Postaw się na miejscu Mounta. Ktoś ściąga kłopoty na twój dom, zagraża twojej kobiecie i jej pracy... Na jego miejscu postąpiłabyś identycznie. To nie jest nic osobistego. A poza tym nawet nie lubisz swojej pracy.

Aż się prostuję na siedzeniu.

— Co ty opowiadasz? Oczywiście, że lubię swoją pracę.

— Mówiąc o niej, nie rozświeglasz się jak wtedy, kiedy opowiadasz o swojej sztuce. Nie uśmiechasz się w swoim biurze tak, jak wtedy, kiedy trzymasz w dłoni lutownicę lub spawarkę. Nie śmiejesz się w destylarni jak wtedy, kiedy przekopywałaś się przez złom i znalazłaś arkusz blachy.

Jak już mówiłam wcześniej, Kane naprawdę mnie rozumie. *Całą* mnie.

— Bo sztuka to dobra zabawa, to nie *praca*.

— A jednak mogłabyś poświęcić wszystkie swoje siły, żeby zarabiać robiąc to, co naprawdę kochasz... tyle że boisz się spróbować.

Jeżę się.

— Próbuję! Mam rzeźbę, którą zamierzam dostarczyć Valentinie, skoro tylko wszechświat przestanie mi rzucać kłody pod nogi. Ale bądźmy realistami — mam też rachunki do zapłacenia. Nie mogę po prostu rzucić porządnej, dobrze płatnej pracy, licząc na to, że uda mi się utrzymać ze sztuki. Potrzebuję najpierw jakiegoś zabezpieczenia. Planu. Siatki asekuracyjnej.

— Życie nie daje nam siatki zabezpieczającej ani pieprzonego spadochronu! — Kane potrząsa głową. — I jest cholernie krótkie, zbyt krótkie, żeby zwlekać z czymś, co cię uszczęśliwia. Wczoraj mogła w nas uderzyć ta ciężarówka i mogłabyś nigdy nie mieć już takiej szansy.

— A więc teraz jesteś autorytetem w kwestii tego, co mnie uszczęśliwia? — Odwracam się do niego, odpinając pas. — Tego, jak powinnam żyć?

— Nie autorytetem, ale sądzę, że dostrzegam to jaśniej niż ty sama. Otwórz oczy, Temperance. Zobacz, co masz tuż przed nosem.

Przetykam ślinę i postanawiam postawić wszystko na jedną kartę. Żadnego zabezpieczenia, żadnej siatki.

— Moje oczy są szeroko otwarte, Kane. *I widzę ciebie.*

Jego ciało tężeje.

— Nie o to mi chodziło.

— Gówno prawda. Kłamiesz. Chcesz, żebym podążyła za tym, co mnie uszczęśliwia — to obejmuje ciebie. A więc powiedz mi, jak to będzie? Bo ja naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

Odwraca wzrok.

— Co? Nie masz już żadnych sugestii, jak powinnam żyć, kiedy chcę, żebyś ty też był obecny w moim życiu?

Odpowiedzią jest milczenie. Na ślepo macam drzwiczki w poszukiwaniu klamki, hamując łyzy napływające do oczu i ignorując dziwny ból w okolicy serca.

— Temperance, poczekaj.

— Nie, nie sądzę.

Otwieram drzwiczki, wyskakuję na zewnątrz i zatrząskuję je za sobą.

Dobrze wiedzieć, że nie wszystkie marzenia się spełniają.

Kane zostawia mnie w spokoju na całą godzinę, podczas której jak Keira chodzę po drugim piętrze domu w tę i z powrotem.

Gdy Kane wreszcie pokazuje się w kuchni, robi to z innego powodu, niż się spodziewałam.

— Mam tu miejsce, metal, narzędzia, wszystko, czego potrzebujesz. Zamiast się miotać, możesz

wyobrażać sobie, że kawałek metalu to ja, i porządnie walić w niego młotkiem.

— Ale...

— Moja oferta jest aktualna. Ja muszę popracować. — Odwraca się i rusza w kierunku windy.

Przygryzam wargi, mając ochotę odrzucić tę propozycję, jednak uświadamiam sobie, że naprawdę rozpaczliwie potrzebuję takiego ujścia dla emocji, jakie mi zaoferował.

— Nie mogę używać twoich kosztownych materiałów. Korzystam ze złomu, odpadów. Nie z nowych rzeczy.

Zatrzymuje się na chwilę.

— Możesz wykorzystać, co tylko zechcesz. Należy do ciebie.

Nie tak spodziewałam się spędzić dzień, ale nie mogę zaprzeczyć, że zaciśnięty w supeł żołądek rozluźnia się z każdą godziną poświęconą cięciu, kształtowaniu, waleniu młotem i spawaniu.

Tylko przez kilka minut wyobrażam sobie, że jeden z kawałków metalu to Kane.

Co za uparty dupek.

Ale nie mogę kłamać... jego narzędzia i dostępne części podsunęły mi nowe pomysły, bo mam tu do dyspozycji więcej niż kiedykolwiek w warsztacie Elijaha. I jakimś cudem, kiedy pracowałam ze słuchawkami na uszach, udając, że Kane nie istnieje, do warsztatu dostarczono dwie palety złomu.

Kane zniknął, zanim mogłam zdecydować, czy mu podziękować, czy nie.

Umysł mam pełen nowych pomysłów i projektów. Znajduję między skrzyniami z narzędziami notatnik i pożyczam go, a potem spędzam bitą godzinę na szkicowaniu.

Mój telefon milczy. Nikt nie dzwoni z destylarni z prośbą o pomoc. Zastanawiam się nawet, czy Keira poleciła im, żeby się ze mną nie kontaktowali, ale dopóki trzymam w dłoni ołówek, nie zamierzam pozwolić sobie na takie rozważania.

Po jakimś czasie żołądek zaczyna mi się skręcać z głodu i dopiero wtedy odkładam narzędzia.

Gdy docieram do kuchni, znajduję na blacie kartkę z informacją, że obiad dla mnie jest w lodówce.

Tak mogłoby wyglądać życie... Moje wymarzone życie. Przez cały dzień pracowałabym nad moją sztuką, a noce spędzałabym z mężczyzną rozumiejącym mnie w stopniu, do którego nikt inny nawet się nie zbliżył. Z mężczyzną, w którym... zaczynam się zakochiwać.

I który nie widzi dla mnie miejsca w swojej przyszłości.

Dzieciństwo nauczyło mnie, żeby niczego nie pragnąć, bo wszystko prędzej czy później było mi odbierane. Dlatego zbudowałam wokół siebie mur i nikogo nie dopuszczałam.

Kane jednak zburzył go jak buldożer. Sprawił, że zaczęłam znowu chcieć różnych rzeczy.

Gdy odgrzewam przygotowany przez niego posiłek, uświadamiam sobie, że powinnam wiedzieć lepiej.

Nie będę miała swojego happy endu.

Rozdział 36

Temperance

Tego ranka dostałam od Keiry mail mówiący, że jestem do dowożenia na urlopie, więc robię jedyną rzecz, która pozwala mi zachować poczucie własnej wartości i zdrowe zmysły — zwłaszcza że Kane nie przyszedł dziś w nocy do łózka.

Pracuję.

Mam trzy nowe ukończone rzeźby: w tahoe jest pejzaż miejski, który zrobiłam u Elijaha, a tu mam jeszcze dwie: skrzypce ze strunami z drutu idealnie nadające się do ozdoby stołu i taką, której nie pokażę Valentinie.

To mały wojskowy jeep.

Nawet spawając, nie pozwalałam sobie myśleć, że robię go dla Kane'a.

Jako podziękowanie.

Może również jako pożegnanie.

Ta myśl pali jak kwas. Odstawiam jeepa na skrzynię z narzędziami i sięgam po notatnik.

Może jeśli się postaram, uwierzę, że krople plamiące kartki to deszcz, a nie łzy.

Rozdział 37

Kane

Nieznany numer: Otwórz garaż.

Wiedziałem, że się pojawi, ale nie sądziłem, że przyjedzie za wcześnie. Nie dał mi nawet dwunastu godzin. *Świetnie, kurwa, świetnie.*

Kane: Pierdolone hasło.

Nieznany numer: Otwórz ten pieprzony garaż.

Przybliżam obraz z kamery przed garażem. System rozpoznawania twarzy pokazuje mi jednego z ludzi Mounta.

Niedobrze.

Wybieram numer z listy kontaktów i dzwonię.

— Nie mam zwyczaju się powtarzać. — Głęboki głos, który słyszę, jest dla mnie równie rozpoznawalny jak własny.

— Nigdy dość ostrożności.

Rozłącza się. Zamykam oczy i zaciskam pięści.

Nie mam innego wyboru.

To nie oznacza, że jestem gotowy zrobić to, co muszę. *Powinienem jej powiedzieć dziś rano. Ale nie byłem w stanie spojrzeć jej w twarz. Jestem pieprzonym tchórzem.*

W głębi duszy zawsze wiedziałem, że do tego dojdzie, ale przez jakiś czas pozwalałem sobie się ludzić. Tak jakby płatny zabójca miał szansę na szczęśliwe zakończenie i zdobycie ukochanej...

Przytkam przełącznikiem i wszystkie monitory w biurze wyłączają się. Wolnym krokiem człowieka idącego na szafot wychodzę z centrum dowodzenia.

Czas spotkać się z samym diabłem i przekonać go, że plan, o którym rozmawialiśmy, musi zostać wdrożony.

Zbiegam truchtem po schodach, a muzyka ZZ Top dobiegająca z głośników sprawia, że się uśmiecham, nim przypomnę sobie, co za chwilę nastąpi.

Temperance przecina jakiś fragment metalu i iskry sypią się wszędzie dookoła. Mam ochotę wyjąć jej z ręki kątówkę i sam to zrobić, chociaż wiem, że ona doskonale zna się na tej robocie. Nie zmienia to jednak faktu, że chciałbym ją ochronić przed pryskającymi iskrami... i przed wszystkim, co tylko możliwe.

Pieprzyć cię, Ransom. Dlaczego przyjąłeś tę cholerną robotę? Gdyby jej brat stanął teraz przede mną, walnąłbym go pięścią w twarz.

Potem robię wyrzuty sobie. *Dlaczego musiałeś się w niej zakochać, Kane? Wiedziałeś, że nie powinieneś sobie na to pozwalać. Wiedziałeś, że powinieneś pozwolić jej odejść.*

— Temperance! — wrzeszczę, ale ona nie słyszy mnie przez ryk muzyki. Wyłączam stereo, więc odwraca się gwałtownie, kiedy w pomieszczeniu zapada cisza.

— Hej!

Wskazuję głową drzwi.

— Mamy towarzystwo. Zrób sobie przerwę i idź na górę.

Wyłącza kątówkę, odkłada na warsztat i przesuwa gogle na czoło. Nawet nie patrzy mi w oczy.

Tak, zdaje się, że świetnie mi idzie sprawianie, żeby mnie znienawidziła.

Nic się nie martw, księżniczko. Już blisko finału.

— Jakie towarzystwo?

Potrząsam głową, zamiast odpowiedzieć.

— Czy mój brat tu jest?

Podekscytowanie, które słyszę w jej głosie, niemal mnie zabija, ale też potwierdza, że dokonałem właściwego wyboru. Jedyne go możliwego wyboru.

— Nie.

Radość na jej twarzy gaśnie. Opiera dłonie na biodrach i wreszcie spogląda na mnie ciemnymi oczami.

— W takim razie kto?

Telefon znowu brzęczy i wiem, że mój czas się kończy.

— Mount. — Odpowiadam, idąc w stronę panelu kontrolującego otwieranie drzwi garażowych. — Schowaj się za tę metalową ściankę. Nie mam zamiaru ryzykować, że ktoś, kto ich śledził, spróbuje do ciebie strzelić.

Rozdział 38

Temperance

„Nie mam zamiaru ryzykować, że ktoś, kto ich śledził, spróbuje do ciebie strzelić”.

Te szorstkie słowa ranią. Tak właśnie wygląda teraz moje życie.

Chowam się za stalową ścianką, którą Kane najwyraźniej zbudował tu specjalnie, zapewne po to, żeby móc się ukryć, gdyby kiedykolwiek ktoś przebił się przez właśnie się otwierające wzmocnione drzwi garażowe.

Mount przyjechał.

Powinam się spodziewać, że się pojawi, i nie jestem pewna, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej. Keira powiedziała, że wracają, więc powinam była się domyślić, że skoro stałam się problemem numer jeden dla jej firmy, Mount postanowi się mną zająć.

Zająć się.

Krew ścina mi się w żyłach.

Czy on mnie zabije? Czy stałam się na tyle dużym problemem, że lepiej, jeśli nie będę żyła? Czy zamierza mnie ukarać za problemy, których przysporzył mu mój brat?

Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe, kiedy kolejne możliwości przelatują mi przez głowę. Natychmiast zaczynam szukać jakichś wyjaśnień pozwalających się z tego wywinąć.

Keira nie pozwoliłaby mi na to. Przecież już obiecał, że zatroszczy się o moje bezpieczeństwo. Gdyby nie obchodziło go, czy zginę, to nie wysłałby do mnie Kane'a.

Prawda?

Niestety nie mam pojęcia, co on sobie myśli.

Jednego jestem pewna: że Keira nie pozwoliłaby mi mnie skrzywdzić, niezależnie od wszystkiego. Może i jemu na tym nie zależy, ale i tak nie pozwoli, żeby cokolwiek mi się stało.

Powoli biorę oddech, próbując zachować spokój, i powtarzam sobie, że to wszystko nie skończy się za chwilę strzelaniną i rozlewem krwi. *Proszę, Boże, nie pozwól, żeby tak się stało.*

Słyszę trzaśnięcie dwojga drzwi w samochodzie. Brama garażowa zamyka się, podczas gdy ja ślę w niebo swoje modlitwy.

— Gdzie ona jest?

— Jest zajęta.

— Nie mam czasu na zabawy, Kane. Czy jest gotowa?

— Nie. Jeszcze jej nie powiedziałem.

Czego mi nie powiedział? Czuję, jak żołądek ściska mi się jeszcze bardziej, i jestem pewna, że cokolwiek to będzie, nie jest to dla mnie nic dobrego.

— To na co, do kurwy nędzy, czekasz?

— To nie jest takie proste.

— Owszem jest. Powiedz jej, że pojedzie do swojego brata. Koniec pieśni.

Na słowa Mounta węzeł w moim żołądku lekko się rozluźnia.

Wychylam się zza ścianki i natychmiast widzę wycelowane w siebie lufy dwóch pistoletów.

— Opuście broń! — rozkazuje Kane, wyciągając ramię i robiąc dwa kroki, żeby stanąć pomiędzy mną a potencjalnymi kulami, gdyby obydwaj mężczyźni wystrzelili.

Próbuję sobie wmawiać, że robi to tylko dlatego, że czuje się za mnie odpowiedzialny.

— Będę mogła zobaczyć się z Rafem?

Tylko to ma dla mnie w tej chwili znaczenie. Jakaś część mnie już zdążyła pogodzić się z faktem, że już nigdy więcej nie zobaczę brata i muszę nauczyć się z tym żyć. Teraz jedna czuję, jak wzbiera we mnie nadzieja, niczym woda, która za chwilę wytryśnie z fontanny.

— Kiedy? Gdzie?

— Temperance — zaczyna Kane, jednak Mount mu przerywa.

— Dziś wieczorem. — Wskazuje głową na mężczyznę, który stoi za nim. — Weź torbę.

Mężczyzna kiwa głową i otwiera bagażnik, po czym wyjmując z tyłu maybacha torbę.

Zastanawiam się, co może się w niej znajdować. *Pieniądze? Informacje? Broń?*

Mount wraz z drugim mężczyzną podchodzą do Kane'a, wyciągając w naszą stronę zarówno torbę, jak i kluczyki do maybacha.

Co, u diabła, się tu dzieje? Kane odbiera torbę i kluczyki, rzucając następnie mężczyźnie inny komplet.

— Nie miałem dla ciebie nowiutkiego range rovera, więc mam nadzieję, że zadowolisz się tahoe.

Dlaczego wymieniają się samochodami? Naprawdę mam ochotę zadać to pytanie, jednak coś każe mi milczeć.

— Dobrze, o ile dostanę mój z powrotem w jednym kawałku.

— To oczywiste.

Mount spogląda na mnie, mrużąc oczy.

— Mam nadzieję, że jesteś gotowa.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, bo nie wiem, co się w ogóle dzieje. Robię więc dobrą minę do złej gry.

— Jestem gotowa na wszystko, byle tylko Rafe był bezpieczny.

Mount niemal niedostrzegalnie unosi brwi.

— Jesteś lepszą siostrą, niż on zasługuje. — Następnie spogląda na Kane'a. — Samolot będzie gotowy o siódmej. Nie spóźnij się.

Samolot? Supeł w moim żołądku znowu się zaciska i rośnie. Kto, u diabła, ma lecieć samolotem?

— Będziemy tam.

Mount kiwa głową i kieruje się do tahoe zaparkowanego przy drzwiach. Jego człowiek siada za kierownicą, a Mount na siedzeniu pasażera. Okna stają się czarne.

Kane przechodzi do konsoli sterowania.

— Schowaj się — poleca, wskazując ściankę. Wykonuję polecenie i drzwi garażowe zaczynają się otwierać.

Mount odjeżdża tak samo szybko, jak się pojawił, chociaż w zupełnie innym samochodzie.

Kiedy tylko drzwi garażowe zamykają się, wyskakują zza ścianki i zarzucam Kane'a pytaniami.

— Co się dzieje? O co chodzi z samolotem? Kto ma odlecieć? Rafe? Dokąd?

Kane odsuwa się od konsoli z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Kane... Błagam, musisz mi coś powiedzieć.

Zatrzymuje się przede mną.

— Rafe musi opuścić kraj...

Mam wrażenie, że czyjaś ręka złapała mnie za serce i ściska, ale Kane jeszcze nie skończył.

— I ty też.

Rozdział 39

Kane

Cała krew odpływa z twarzy Temperance i chce się zastrzelić za to, że jej nie przygotowałem, mając okazję. Powinienem był ją ostrzec.

To moja wina. Nie byłem gotowy się z nią rozstać.

Powinno się mnie zastrzelić.

Omiotam wzrokiem całą jej postać, poczynając od bandany, którą związała brązowe włosy na czubku głowy, poprzez starą koszulkę z napisem *You Better Belize It* zwiniętą z mojej szuflady, a na postrzępionych dżinsach i znoszonych butach roboczych kończąc. Ta niesamowita kobieta obdarzyła mnie swoim zaufaniem. Nie mam innego wyboru, jak z niej zrezygnować.

— Co to znaczy, że *ja też*? Nigdzie się stąd nie ruszam. Mam tu życie. Nie mogę... — Kolejne słowa zamierają jej w gardle. Podchodzę bliżej.

— To jedyny sposób, Temperance.

Spogląda na mnie.

— Jedyny sposób? Ale co, jeśli... Jeśli zobaczę się z Rafem i to on wyjedzie? Czy nie mogłabym zostać?

Chwytam ją za ramiona i ściskam, nie odrywając spojrzenia od jej oczu.

— Nie przestanę cię ścigać, jeśli nie będą mogli go odnaleźć. Nigdy nie będziesz bezpieczna. Oboje musicie zniknąć. Nie ma innego wyboru i innej możliwości. — Ściskam ją mocniej, żałując, że nie mogę objąć ramionami i przycisnąć mocno do siebie. — Tylko w ten sposób będziesz bezpieczna.

W jej ciemnych oczach odbijają się silne emocje i czuję, jak ściska mnie w dołku.

— Odprawiasz mnie od siebie. Tak samo jak on. Starasz się być szlachetny.

Tu się myli. Nie ma w tym niczego szlachetnego. To rezultat tego, że zostałem zapędzony w kozi róg i nie widzę innej drogi wyjścia.

— To jedyny sposób — powtarzam.

Nagle coś przychodzi jej do głowy i spogląda na mnie z nadzieją.

— Mógłbyś odnaleźć tych złych i wszystkich ich zabić. Albo możesz pojechać z nami i zacząć wszystko od nowa, być kimś innym.

Nie wie, że już to robiłem w przeszłości, a jeden człowiek może umrzeć jedynie określoną liczbę razy.

Gdy otwieram usta, żeby jej odpowiedzieć, przyciska do nich palec.

— Nie mów „nie”. Nie pozwalam ci powiedzieć „nie”. Ja... — urywa. — Kane, nie chcę przeżyć reszty życia bez ciebie.

Rozdział 40

Temperance

Kane zaciska szczęki, jakbym właśnie zadała mu nożem cios w serce. Gdy krzywi się i porusza palcami, wpijając je w moje ramiona, niemal czuję jego rozdarcie i cierpienie.

Albo tak sobie wmawiam, ponieważ chciałabym, żeby to była prawda.

— Proszę, nie próbuj być szlachetny, Kane. Nie mogę z ciebie zrezygnować, nie zrobię tego i nie możesz mnie o to prosić. — To dziwne, jak obawa przed utratą czegoś może w jednej chwili scementować nasze przywiązanie szybciej, niż mogłoby to uczynić cokolwiek innego.

Zanim Mount nie przyjechał i nie ogłosił swojego werdyktu, powtarzałam sobie, że jeśli Kane mnie nie chce, muszę pozwolić mu odejść. Teraz nie zgadzam się, żeby ktokolwiek odebrał nam szansę na bycie razem, nawet sam Kane.

Puszcza jedno moje ramię i dotyka dłonią mojego policzka.

— Temperance...

Nie chcę słyszeć, jak mówi „nie”. To nie jest odpowiedź, którą mogłabym zaakceptować, więc robię jedyną rozsądną rzecz — wyciągam do niego obie ręce i obejmuję za szyję, żeby przyciągnąć do siebie i pocałować.

Moje wargi wpijają się w jego usta, przyciskam się do niego całym ciałem. Początkowo nie odpowiada, jakby zmuszał się, żeby się ode mnie odsunąć, jednak ja mu na to nie pozwolę.

Nie jestem kimś, kto się łatwo poddaje.

Całuję go coraz mocniej, aż wreszcie traci nad sobą kontrolę i odwzajemnia pocałunek tak, jak umierający z głodu człowiek rzuca się na jedzenie: jakby miał ostatnią szansę, żeby skosztować jedynej rzeczy, którą kocha.

Ale to jeszcze nie koniec. Odmawiam porzucenia Kane’a.

Odsuwa się na tyle, żeby chwycić mnie i zanieść na maskę maybacha.

W normalnych okolicznościach byłabym przerażona możliwością zadrapania lakieru, zwłaszcza w sytuacji gdy samochód należy do kogoś tak groźnego. Ale teraz mam to gdzieś.

Teraz nic nie ma znaczenia, tylko ten mężczyzna i ta chwila. Staram się wyryć każdą sekundę w pamięci, *tak na wszelki wypadek.*

Stawia mnie na podłodze i na chwilę odrywa się od moich ust.

— Potrzebuję cię. Teraz.

— Tak.

Nie odrywając spojrzenia od moich oczu, chwytam mnie za dekolt koszulki i rozrywa ją z przodu.

— Niezależnie od tego, co się stanie, Temperance, nigdy cię nie zapomnę. Dałaś mi coś, czego nie dał mi nigdy nikt inny — spokój.

Jego słowa prawdopodobnie mają na celu ułagodzić mnie, ale odnoszę wrażenie, że rozdierają mnie na kawałki. Nie chcę słyszeć słów „niezależnie od wszystkiego”, o ile po nich nie pada „zawsze będziemy razem”.

Gorączkowo chwytam skraj koszulki i ściągam mu ją przez głowę. Przesuwam dłońmi po jego ciele — tym pięknym, muskularnym, stworzonym do walki ciele — zapamiętując je.

Przestań myśleć w ten sposób, Temperance.

Dłonie Kane’a wędrują do dżinsów i szybko mnie z nich uwalniają. Kopnięciem odrzucam je na bok, pomagam mu się rozebrać, po czym tutaj, w garażu, przy samochodzie króla Nowego Orleanu, padam przed nim na kolana i wielbię go.

Nigdy mnie nie zapomni. Nigdy.

Wypina się przed moją twarzą i tym razem się nie waham, polykam każdy centymetr, pozbywając się wszelkich zahamowań. Liżę i ssę, gładzę go, aż czuję, jak plecy wyginają mu się w łuk, a jądra napinają.

— Nie w usta.

Wypowiada te słowa chrypliwie, po czym ujmuję mnie pod pachami i podnosi z kolan. Gdy tylko się prostuję, obejmuje mnie dłońmi w talii i sadza na masce samochodu. Czuję pod gołym tyłkiem ciepło blachy od rozgrzanego silnika.

Opadam do tyłu, opierając się na łokciach, i rozsuwam nogi.

— Spraw, żebym zapamiętała to na zawsze.

Jego nozdrza rozszerzają się. Ujmuje swój członek u nasady jedną dłonią i staje między moimi nogami.

— Będiesz mnie czuła jeszcze jutro.

Wchodzi we mnie jednym pchnięciem, pierwotnym i pełnym furii. Jesteśmy niczym zwierzęta dążące do tego, żeby nawzajem naznaczyć się w sposób wykraczający poza sam seks.

Tak, to pierwotne, barbarzyńskie i nieskończenie, kurwa, cudowne.

Wykrzykuję głośno, kiedy doświadczam orgazmu i zaciskam się wokół jego kutasa, a on pieprzy mnie jeszcze mocniej, aż sam wykrzykuje moje imię.

Rozdział 41

Kane

— Jesteś gotowa?

Temperance ma na sobie ubrania Keiry i rudą perukę odpowiadającą kolorem włosom szefowej. Olbrzymie ciemne okulary zasłaniają jej większą część twarzy.

Nie podoba mi się, że wygląda jak ktoś inny. *Nie tak będę ją pamiętał*, przysięgam sobie. Będę ją pamiętał z wygiętym w łuk ciałem, gdy wykrzykiwała z rozkoszą moje imię. Będę ją pamiętał, gdy słodko spała w moim łóżku. Będę pamiętał, jak się śmiała, pijąc bourbona na mojej sofie. Będę pamiętał ją ze szlifierką kątową w dłoniach.

Niezależnie od wszystkiego, nigdy jej nie zapomnę.

— Tak. Nie. Nie wiem. — Jej głos drży i nienawidzę niepewności, którą w nim słyszę. Ściąga okulary i odwraca się do mnie. — Jesteś pewien, że nie ma innego sposobu?

Potrząsam głową.

— Tak musi być.

Bierze drżący oddech.

— W takim razie chyba nie ma znaczenia, czy jestem gotowa, czy nie, bo to i tak się zdarzy.

— Otworzę ci.

Otwieram tylne drzwi maybacha. To samochód, którym V zwykle wozi Keirę, i wprawdzie nie jestem aż tak potężny, jak człowiek-góra zatrudniony przez Mouna, ale założyłem obszerniejszy garnitur i postarałem się możliwie wiernie naśladować jego wygląd. To nie moje pierwsze rodeo.

Temperance wślizguje się na tylne siedzenie i chwytą mnie za nadgarstek, zanim zdążę się wycofać.

— Proszę, znajdź mnie. Obiecuj, że mnie odnajdziesz.

Nie mogę jej okłamywać.

— Jeśli będzie to możliwe, znajdę sposób.

Kiwa głową. Może nie to chciała usłyszeć, ale tylko tyle mogę jej zaoferować.

Zamykam drzwiczki i siadam za kierownicą, dostrzegając po drodze swoje odbicie w lusterku.

Przedstawienie czas zacząć.

Rozdział 42

Temperance

Nigdy nie zastanawiałam się, jak to wygląda z perspektywy ludzi, którzy bez uprzedzenia zostają objęci programem ochrony świadków i muszą bez żadnego planu zostawić całe swoje życie. Jest to zarazem straszliwie trudne i niewiarygodnie łatwe.

Nie wolno mi było do nikogo zadzwonić, nikomu nic powiedzieć, właściwie nie mogłam spakować niczego poza niewielką walizeczką. Gdy jednak zostawia się swoje serce, to jakie znaczenie mają ciuchy?

Wypuszczam powoli powietrze i patrzę, jak ostatni raz wyjeżdżamy z tego domu i tego garażu.

Nie mam zasłoniętych oczu. Co tym bardziej uświadamia mi, że to się dzieje naprawdę. Kane'a nie obchodzi teraz, czy dowiem się, gdzie dokładnie jest to miejsce, bo już tu nie wrócę.

Nigdy już tu nie wrócę.

Czuję lodowate zimno w piersi, a żołądek wywija kolejne tego dnia salto.

Temperance Ransom, życie, które znalazłaś do tej pory, dobiegło końca.

W innym momencie życia byłabym zachwycona, gdyby ktoś powiedział mi coś takiego. Teraz jestem zrozpaczona. Właśnie zaczęłam się dowiadywać, kim naprawdę jestem, czego naprawdę pragnę, *kogo naprawdę pragnę.*

I teraz to wszystko zostaje mi odebrane, ponieważ mój brat zrobił coś głupiego.

Ale przynajmniej wszyscy będziemy bezpieczni. Próbuję pamiętać, że tak naprawdę tylko to się liczy. Żadne z nas nie zginie ani nie będzie torturowane.

Można żyć ze wszystkim... bylebym tylko w ogóle przeżyła.

Unoszę wzrok i widzę, że Kane przygląda mi się we wstecznym lusterku.

— W porządku? — pyta.

— Nie zadawaj mi takich pytań.

Zaciska szczęki, po czym pyta ponownie:

— Trzymasz się jakoś?

— Ledwie.

— Dasz radę. Pamiętaj, jeden krok naraz. Będę obok ciebie.

Dopóki nie wsiądę do samolotu, by już nigdy cię nie zobaczyć.

— Dam radę — powtarzam, żeby sprawić mu przyjemność oraz dlatego, że sama potrzebuję to usłyszeć. Jaki mam wybór? Według Kane'a i Mounta — żadnego.

Spoglądam na zegarek Keiry na nadgarstku i widzę, jak wskazówki zbliżają się do siódmej. Zastanawiam się, czy tak właśnie czuje się więzień skazany na śmierć, patrząc na zegar odliczający czas do północy na dzień przed jego egzekucją.

To ponure myśli.

Odpycham je od siebie.

Kane mnie odnajdzie. On też to do mnie czuje, po prostu stara się zachować szlachetnie. Będziemy mieli wspólną przyszłość w jakimś egzotycznym i pięknym miejscu. Może domek na plaży w raju.

Nagle uświadamiam sobie, że właściwie nigdy nie zapytałam, dokąd lecimy. To nie wydawało mi się ważne, skoro nie miało być *tutaj.*

— Dokąd się udajemy? To znaczy dokąd leci ten samolot?

Kane znowu spogląda mi w oczy w lusterku.

— Nie mogę ci tego powiedzieć, przykro mi.

— Ale ty wiesz?

Potrząsa głową.

— Bezpieczniej jest, jeśli nie będę wiedział. Bezpieczniej jest, jeśli nikt tego nie wie.

— A plan lotu?

Przechyla głowę na bok.

— Mount ma swoje sposoby.

Znowu zapada między nami cisza. Kompletnie zapomniałam się rozglądać, żeby wiedzieć, gdzie jest

dom Kane'a. Ale to już teraz nie ma znaczenia.

Przyjeżdżamy na prywatne lotnisko. Widzę kilka kręcących się osób, ale zupełnie nie przypomina to gwaru i rozgardiaszu panującego w innych terminalach, przynajmniej wnosząc z tego, co oglądałam w telewizji. Nigdy nie byłam na lotnisku w Nowym Orleanie, więc obrazy z telewizora to jedyne, z czym mogę porównywać to, co teraz widzę.

Kane parkuje przed wejściem, nie na parkingu.

— Wolno tak robić?

Odwraca się i spogląda na mnie przez ramię.

— Wszystko wolno, gdy jest się Mountem. Czy jesteś gotowa stać się Keirą?

Prawdziwa odpowiedź brzmi „nie”, ale nie to pragnie usłyszeć Kane.

— Bardziej gotowa już nie będę.

— Dobrze. Już czas. Nikomu się nie kłaniaj. Pamiętaj, jesteś teraz królową, księżniczko.

Prawie wybucham płaczem, słysząc to słowo, jednak odnajduję w sobie jakieś ostatki woli i prostuję się dumnie. Nie mam sił na nic więcej.

Kane wysiada z samochodu i chwilę później otwiera mi drzwiczki.

Staram się poruszać jak Keira, co nie jest takie trudne, ponieważ od dawna próbowałam naśladować jej pewny siebie krok.

Nawet nie miałam szansy się z nim pożegnać.

Odsuwam od siebie tę okropną myśl, poprawiam okulary słoneczne i trzymam się blisko Kane'a, gdy prowadzi mnie przez rozsuwane drzwi do wnętrza terminalu.

W środku jest mnóstwo otwartej przestrzeni. Spodziewałam się tłumów, jednak hol jest niemal pusty. Jakaś kobieta siedzi na skórzanym fotelu, mężczyzna rozmawia z kimś za dużym, drewnianym biurkiem. Przez ogromne okna widzę zaparkowane niewielkie odrzutowce. Bezpośrednio za kolejnymi przesuwными drzwiami stoi czarny, smukły model, do którego schodków prowadzi czerwony dywan.

— To ten? — pytam szeptem. — Samolot?

Kane kiwa głową.

— Tak.

— A gdzie...?

Wyciąga dłoń, chwytając mnie za łokieć i lekko ściska, przypominając mi, że nie mogę wypowiadać imienia Rafe'a. Milknę i rozglądam się po holu w poszukiwaniu brata, mając wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi.

Wtedy przypominam sobie, że będzie przebrany za Mounta, bo mamy ich udawać.

Kane znowu ściska moje ramię i milcząco przekazuje mi, że powinnam się odwrócić. Wykonuję polecenie i serce zamiera mi w piersi, kiedy dostrzegam idącego pewnym krokiem mężczyznę ubranego w trzyczęściowy garnitur. Przechodzi właśnie przez szklane drzwi.

Nigdy nie widziałam swojego brata ani tak wystrojonego, ani z tak starannie przystrzyżoną brodą. Wygląda niemal szacownie, co zakrawa na ironię, biorąc pod uwagę, za kogo jest przebrany.

Robię pół kroku w jego stronę, jednak palce Kane'a zaciskają mi się mocniej na ramieniu i zamieram.

Kane puszcza moje ramię i spogląda na mnie zrozpaczony.

— Przepraszam. To naprawdę jedyny sposób.

W jednej chwili jego dłoń jest pusta, w następnej już trzyma pistolet wymierzony w Rafe'a.

Pociąga za spust.

Wokół wybucha chaos, kiedy huk wystrzału odbija się echem w holu lotniska. W głowie nagle zapada mi cisza, kiedy widzę, jak Rafe ze zdziwionym wyrazem twarzy chwytając się za pierś.

Nie słyszę nawet swojego krzyku.

Nic nie słyszę.

Kolejny wystrzał niweczy moje marzenia o przyszłości. Ciało mojego brata rozrywa następna kula i osuwa się on bez życia na podłogę.

Ciąg dalszy Trylogii Nieposkromionych w książce *Miłość wyrzutków*.

O autorce

Meghan March, autorka bestsellerów „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today”, nigdy nie pożałowała decyzji o porzuceniu kariery prawniczej na rzecz pisania romansów. Opublikowała ponad trzydzieści powieści, które sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków, dzięki czemu mogą się nimi cieszyć miłośniczki romansów na całym świecie. Meghan ma duszę nomadki, a obecnie wiezie szczęśliwe życie w lasach północno-zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych wraz ze swoim prawdziwym samcem alfa.

Uwielbia kontakt z Czytelniczkami.

Możesz go nawiązać za pośrednictwem strony:

www.meghanmarch.com

TRYLOGIA NIEPOSKROMIONYCH #2

W Nowym Orleanie miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety

Kane Savage był niebezpiecznym mężczyzną. Silnym, bezwzględny, gotowym na wszystko. Nikomu nic nie był winien i bez wahania podejmował ryzyko, jakiego nie podjąłby się nikt inny. To, przez co przeszedł w armii, spotęgowało jego brutalność. To, z czym się zderzył po powrocie do domu, wzbudziło w nim gniew, który szybko przerodził się we wściekłość i w zimną, zabójczą determinację. Wszystko to sprawiło, że przyjął ofertę, jakiej nikt by nie przyjął – podjął się zadania, które każdy inny człowiek by odrzucił.

Z Temperance Ransom Kane zetknął się jakiś czas temu. Z całą pewnością nie powinni się nigdy spotkać, ale los bywa przewrotny. Połączyła ich obsesyjna namiętność. Temperance nie stoczyła się w otchłań nowoorleańskiego półświatka tylko dzięki ciężkiej pracy i uporowi. Jednak nawet żelazny charakter nie uchronił jej przed uczuciem do Kane'a. Pragnęła go każdą cząstką siebie, choć w miarę jak odkrywała kolejne warstwy kłamstw, coraz bardziej zdawała sobie sprawę, z jak niebezpiecznym człowiekiem ma do czynienia.

Dla Kane'a Tempe była jedyną kobietą na świecie. To było silniejsze od wszystkiego, czego dotąd oboje doświadczyli. Mężczyzna zdawał sobie jednak sprawę, że przez swoje pożądanie naraża Tempe na straszliwe niebezpieczeństwo. W końcu musiał wyznać ukochanej, że jest płatnym mordercą, który przyjął kolejne zlecenie. Jego następną ofiarą miał być brat Temperance...

 **editio**red / editio.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-9048-5



9 788328 390485

Cena: 42,90 zł